

ESTEJA.

KTO ZWYCIĘZCĄ?

NOVELLE.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. Lewentala.

*Kto
zwycięzca?*

NOVELLE

PRZEZ

ESTEJĘ.



WARSZAWA

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA

Nowy-Świat Nr. 41.

Zbiory specjalne



92469

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Декабря 1893 года.

K-41/79/98820

WARSZAWA
Wydawnictwo Salewskiego

Nr. 1

Najmilszej dla mnie

parze narzeczonych

AUTORKA.

KTO ZWYCIĘZCA?

Esteja. — Kto zwycięzca?

— Czekam na ciebie, obiecałeś się na 3-ia, jesteś punktualnym, możemy rozmawiać spokojnie, służba ma rozkazy nie przyjmować nikogo.

— Nie zasłużyłem na tyle dobroci.

— Powiedz lepiej: „na tyle ciekawości”.

— Więc gdyby nie ciekawość, nie byłbym otrzymał posłuchania?

— Może nie, gdyby każdy z panów żądał ode mnie łaski specjalnej...

— O! łaski — *c'est beaucoup dire...*

— Jakto? więc ty nie uważasz za dowód łaski, że cię przyjmuję, drzwi zamykając dla wszystkich?

— Powiedziałaś, że ciekawość skłoniła cię do tego.

— To wszystko jedno... rezultat ten sam.

— Przepraszam... z rezultatów sądzić nie wolno ludziom wyższego umysłu; pobudka wiele ważniejszą gra rolę, a tym razem powód „łaski wyjątkowej” nie może mi pochlebiać.

— Naturalnie, spodziewałeś się pochlebstwa! Któryż z panów powątpiewa o prawach osobistych do względów kobiet! Masz może ochotę, abym ci wy-

raziła jasno i dobitnie, że inaczej postąpić nie mogłam, gdy... o ciebie chodziło.

— Bynajmniej... chciałam tylko, abys mnie nie zaliczała „do wszystkich mężczyzn”... Miałem nadzieję, że, choć o atom drobny, choćby tylko o koniec paluszka twego, wyróżniony jestem z pośród tłumu.

— Tak skromne miałeś pretensye?

— Sama przyznasz, że skromniejszych mieć nie mogłem...

— Ja mam przyznać?... Nie nie przyznaję, proszę we mnie nie wmawiać. Wyraziłam tylko podziw mój nad twymi skromnymi pretensjami.

— Ale przyznaj...

— Raz powiedziałam, że nie nie przyznaję!

— Pozwólże mi dokończyć... masz okropne usposobienie... Ja przemawiam cicho, łagodnie, spokojnie — nic to nie pomaga. Niech tylko nie wpadnę w ekstazę nad twymi afirmacyami, czy denegacyami, już z gniewu zębki mi pokazujesz.

— Jak ty się wyrażasz?... To jest okropne! Wychowanie panów teraz jest czémś zastraszającym na przyszłość; to szczęście, że nie jestem swoją córką, ale sobą, bo w przyszłej generacji, gdy kobieta ośmieli się zaprzeczyć wam, poprostu rzucicie się na nią z pięściami.

— Zamiast do jój nóg! Może... bo, jeżeli wszystkie kobiety będą miały twoje usposobienie, to przy-

szła generacya mężczyzn u Pasteur'a, albo jego następców, leczyć się będzie...

— Dziękuję ci... znam twój miły charakter od dawna, więc jeżeli przyszedłeś w zamiarze przedstawienia mi go w całej glori, to lepiej się pożegnajmy...

— Pożegnać się? teraz? w tej chwili?... Nigdy w życiu! Nie widziałem cię dwa lata; ostatni raz, t. j. przy naszym pierwszym spotkaniu się po mojej podróży, nie mogliśmy wiele z sobą mówić, a dzisiaj, ledwie wszedłem i chcę z tobą dłużej porozmawiać, ty, się unosisz, gorączkujesz...

— Dowodzisz może, że mnie rozgorączkowałeś?

— Ale gdzie tam! Ty sama siebie rozgorączkować potrafisz. Ja dowodzę tylko, że to nie jest dostatecznym powodem, abym cię miał pożegnać. Powiedziałaś mi wprawdzie, że jestem źle wychowany, ale w uniesieniu tyle można powiedzieć, nie zdając sobie sprawy z tego, co się mówi...

— Nie byłam w uniesieniu... przeciwnie, z całym spokojem powtarzam, że tak jest: jesteś źle wychowanym...

— To niczego nie dowodzi; *les rages sourdes* są jeszcze bardziej porywcze i niesprawiedliwsze, niż miotanie się...

— Żegnaj cię, nie widzę powodu przerywania moich zwykłych zajęć dla człowieka niemożliwego.

— Siadaj, kuzynko — przebacz! błagam cię — już nigdy nie będę — przysięgam.

— Puść moje ręce, nie wstrzymuj mnie przemocą, to się na nie nie zda; siadam dobrowolnie, ale proszę o zmianę tonu.

— Biorę te mury za świadki, tę kanapkę, ten ekran, ten ogień na kominku: niech one świadczą, kto winien ton zmienić, ja — czy ty? Rzuciłaś mi w twarz zniewagę.

— Mów poważnie — nie cierpię drwin.

— Jakże ja mam z tobą dojść do ładu? — Ton zmieniłem, wedle niesprawiedliwego rozkazu — i to nie dosyć. A jednak, powtarzam, rzuciłaś mi w twarz zniewagę, obelgę; poczem szamotał tobą gniew niesłychany, za drzwi mnie chciałaś wyrzucić. Teraz patrzysz na mnie, jak meduza, dlaczego? za co i po co?

— Gdy skończysz, może i mnie się odezwać pozwolisz?

— Nigdy nie skończę, gdy mi ciągle przerywać będziesz. W ten sposób nie dojdziemy do ładu. Zróbmy układ. Jeżeli ty chcesz pierwsza głos zabrać, to klnę się na siebie samą, że zamilknę, póki głos ten dzwonić będzie w przestrzeni.

— Zmiłuj się, tylko bez ironii.

— Notuję — przerwałaś znowu. — Wracam do przedmiotu. Nie syknę, nie jęknę, nie mruknię, póty, póki ty mówić raczysz. Wzamian żądam tego samego milczenia z twój strony, gdy ja się odezwę.

— Ja nie mam do powiedzenia.

— Myślałem — zdawało mi się, że się upomina-

łaś o prawo głosu przed chwilą. — Dlaczegoż mi więc przerywasz? czy przez zazdrość na mój dźwięczny organ?

— Nie przerywam, gdy się odzywasz przyzwoicie.

— Chciałbym wiedzieć, co ty nazywasz przyzwoitością? Domyślam się. Pan Janusz odzywał się przyzwoicie, gdy szeptal wobec ciebie: „O pani, jakżeś doskonała, jakżeś cudowna!” Pan Henryk odzywał się przyzwoicie, gdy wołał: „O pani, pragnąłbym być twoim pieskiem, twoją mufką, naszym nikiem, rękawem, wstążeczką.”

— Zlituj się, dosyć téj litanii; nedorzeczności prawisz. Po co właściwie prosiłaś mnie o specjalne posłuchanie na dzisiaj?

— Wiem, dlaczego właściwie prosiłem cię o to, ale nie rozumiem, dlaczego niewłaściwie mnie przyjmujesz? Jak od ciernia, tak się odemnie odsuwasz.

— Bo, jak cierń, gdzie zaczepisz, drażnisz, ranisz i klujesz.

— Nie! — takie nieporozumienie skończyć się musi! Pozwól mi się wytłómaczyć. — Wchodzę: witasz mnie chłodnym, sztywnym uśmiechem, niby jaka margrabina, witająca lorda zagranicznego. — Zamiast wybiegnąć naprzeciw mnie, po tak długim rozłączeniu uściskać, jak na kuzynkę dobrze wychowaną przystało...

— Ty zmysły tracisz.

— Nie przerywaj! — W dalszym ciągu, zmiesz-

ny owém przyjęciem, siadam pokornie na rogu krzesła.

— Nieprawda! — Nie ruszyłeś się z miejsca, odkąd wszedłeś i siedzisz obok mnie na kanapie, nie zapytałeś nawet: czy ci tu usiąść wolno?

— Nie przerywaj — mówię w przenośni; *au moral* siadam na rożku krzesła. A dalej, jak nowonarodzone chłopię, dziękuję skromnie, nieśmiało, żeś mnie przyjąć raczyła, choć miałem wszelkie prawo nie dziękować wcale.

— Nowonarodzone dzieci nie dziękują za żadne łaski, a co do praw twoich, to pozwól..

— Nie pozwalam; gdy tylko pozwalam, zaraz tryumfalną minę przybierasz i maltretujesz mnie. Kobiety krótko trzeba trzymać.

— Ty jeszcze bardziej zdziczałeś. To okropnie! nie doprowadzaj mnie do desperacyi.

— Musisz mnie znieść takim, jakim mnie uczyniłaś.

— Ja? ciebie?

— *Au moral, au moral!* Chciéjże mnie zrozumieć: zrobiłaś mnie nieznośnym może, przez swe kaprysy, dawniej; a dzisiaj znowu, kiedy ja, jak rekrut wobec oficera, dziękuję ci za łaskę przyjęcia, ty przybierasz minę Semiramidy.

— Nie widziałeś Semiramidy. Zkąd możesz wiedzieć, jaką miną ludzi przyjmowała?

— Widziałem na obrazach.

— Malarz jéj téż nie widział.

— *Sapristi!* Widział, czy nie widział, to wszystko jedno. Gdy ja dziękuję za łaskę przyjęcia mnie, co mi odpowiadasz? „Przyjmuję cię nie z łaski, ale z ciekawości”. Połknąłem tę pigułkę, choć zdawało mi się, że to roztopiony ółów; połknąłem, choć mało mnie nie zadusiła.

— Nie było tego widać po tobie.

— Bo mam maskę z brązu na twarzy.

— To prawda. Wiéćej na *peaux rouge*, niż na cywilizowanego człowieka wyglądasz.

— I ty mi to wymawiasz, ty? A dla kogóż ja pojechałem między dzikie ludy? Kto mnie wysłał między irokezów, zulusów, gwinejczyków, ludożerców?

— Ja cię nigdzie nie wysyłałam; zresztą zulusi nie są ludożercami, a irokeza na oczy nie widziałeś. Nie blaguj.

— Kobiety nie powinny używać wyrażeń kawalerskich: to szpeci ich usta.

— Oho! Jaki purytanin! Zacznij, proszę, od siebie samego.

— Ty mnie wiéćej obchodzisz i twoje dobro, niż ja siebie samego obchodzić mogę.

— Zbytek wspaniałomyślności.

— Co ty możesz wiedzieć o wspaniałomyślności? Wiész tylko, co jest komedia, hypokryzya i udawanie.

— Zmysły tracisz, co się z ciebie zrobiło? Zastanów się.

— Nie zastanowię się, ani mi w głowie się zastanawiać: na co się to zdało? Gdy się zastanawiam, wyglądam jak bałwan i odzywam się jak bałwan.

— Czyś ty z bałwanami rozmawiał, że wiesz jak się odzywają? jeżeli tak — to mogłeś mi to dawniej powiedzieć, pojmowałabym lepiej ton twój niezwykle.

— Chcesz we mnie strzałami zatrutemi godzić? To nic! Już zapóźno, dobiłaś mnie wtedy, kiedyś; już mi teraz żadnej krzywdy nie zrobisz.

— I ten człowiek mówił, że się powiesi, jeżeli za niego nie pójdę: a teraz drwiącym głosem wspomina o tém wszystkiém!

— Nie załamuj rąk nademną! Nie mówiłem nigdy, że się powieszę; wieszanie się jest mi wstrętném. Uważam jednak, że nie dosyć ci było, iż opuściłem kraj, przyjaciół, drogą rodzinę.

— Mam ciebie.

— Więc czemu melodramatyzujesz na punkcie rodziny?

— Byłaś mi drogą.

— Ja, to nie rodzina.

— To wszystko jedno! Opuściłem kraj, przyjaciół, rodzinę, aby się rzucić w wir niebezpieczeństw. Narażałem się na śmierć, na pożarcie żywcem przez lwy, tygrysy, ludzi.

— I nikt cię zjeść nie chciał? Rozumiem: lwy, tygrysy, ludzie przeculi, czém im groziło zjedzenie ciebie?

— Czém? proszę cię — czém?

— Tylko tak na mnie nie patrz, bo ucieknę.

— Czém im mogło grozić zjedzenie mnie?

— Ależ śmiercią także! Czyż nie dosyć masz jadu w sobie?

— Tobie ten jad zawdzięczam, nikomu innemu. Tak, nawet dzikie zwierzęta uciekały odemnie, bo straszne płomienie tryskały z mych oczu.

— Powiedz mi, gdy skończysz z retoryką, to ja się odezwę.

— Słucham, nie mam zwyczaju przerywać.

— Chciałabym wiedzieć: co miałeś do powiedzenia, żądając audyencyi specjalnej? bo jeżeli mieliśmy mówić o tych lwach i tygrysach, które cię zjeść nie chciały...

— Więc żałujesz czasu straconego na rozmowie ze mną? spodziewałaś się pewno adoracyi, bałwochwalczych pokłonów: a tymczasem gorzką prawdą cię karmię.

— Dajże mi pokój, proszę, z gorzkimi prawdami — ksiądz jest od tego. Zostaw je dla siebie, przydadzą ci się. Chcę wiedzieć cel twojej wizyty.

— Cel mojej wizyty został zniweczony.

— *A la bonne heure!* Tak długo słuchałam cierpliwie, ażeby się dowiedzieć gorzkiej prawdy.

— Nie w tym celu przyszedłem. Chciałem cię prosić o oddanie mi przysługi. Nie mogę jednak zanościć prośby do osoby obojętnój. Gdy zapytałem: czy tylko przez ciekawość mnie przyjmujesz? co odpowiedziałaś głosem sztywnym i zimnym? — „Gdyby każdy z panów żądał odemnie łaski specjalnej.” — Łaski specjalnej! Każdy z panów!! — Czy ja mogłem zachować zimną krew, gdy mnie zaliczyłaś do każdego z panów? Albo, gdy akcent kładłaś na „łascie specjalnej”. O, moja pani! miałem prawo spodziewać się innego przyjęcia.

— Więc stanowczo miałam ci się rzucić na szyję?

— Nie widziałbym w tém nie dziwnego.

— Zdumiona jestem brakiem pretensyi u ciebie.

— A to doskonale! Więc myślisz może, że skończyłbym z radości, gdybyś mnie odznaczyła w ten sposób? Może dawniej, kiedy cię kochałem, ale teraz — teraz, byłoby mi to obojętném.

— Więc w żądanym odemnie uścisku chodziło ci tylko o zachowanie formy.

— Ze strony kuzynki, naturalnie.

— Jesteś niezrównanym w swych pojęciach o formie.

— Zuluski, nietylko kuzyna, ale każdego znajomego tak witają.

— A, zuluski! proszę, to one cię uczyły form towarzyskich?

— U wszystkich narodów można skorzystać, nie

pod tym, to pod innym względem. Zresztą zuluski mi nie wymawiaj, boś ty mnie do nich wypędziła.

— Tego aktu mego życia jestem nieświadomą.

— Jakto, wypierasz się? Nie pamiętasz, kiedy klękałem u twych nóg, po ręku całowałem — ot, tak...

— Daj pokój! To nie ciekawe, wspomnienia mnie nie bawią.

— Bo ci sprawiają wyrzuty sumienia. Tak, całowałem, zaklinałem: ty nie, ani chciałaś wierzyć; mówiłem, przestrzegałem: Zoniu, pożalujesz twojej lekkomyślności; chcesz wyjść za Władysława, ale ty go nie kochasz, bo ty mnie tylko kochasz.

— Ale to właśnie było bezczelnością z twojej strony; jak ty śmiałaś?...

— Śmiałem, bo cię chciałem ochronić od wielkiej, zgubnej pomyłki. Odepchnęłaś mnie! Dlaczego? bo nie chciałem być twoim sługą powolnym, bo ci po sobie deptać nie pozwoliłem, i poszłaś za tego niedołęgę...

— Przepraszam cię, pamiętaj, że to mój mąż.

— Był twoim mężem, ale już nim nie jest, dzięki niebu. Pamiętasz, jak wołałem w rozpacz: ucieknę, zniknę na zawsze, pojedę na kraj świata! Co odpowiedziałaś? — Jedź! — I gdy zmęczony, znużony, spalony słońcem, wracam, urągasz mi, porównywasz mnie do *peaux rouges*. Gdy wspomnam o zuluskach, stokroć wyżej od ciebie stojących sercem...

— I uściskami.

— I uściskami, to urągasz znowu stosunkom moim.

— Nie wiedziałam, że masz między niemi stosunki.

— Mam.

— Winszuję!

— Przyjacielskie, tak, mam! i szczycę się tém.

— Ależ, mój drogi, wróćmy do rzeczy; w czém mnie mogą zuluski obchodzić? Zkąd ja mogę wiedzieć: czy masz się czém szczyścić, czy nie?

— Możesz wierzyć słowu memu; słowo to nigdy cię nie zawiodło! Mówilem ci, że Władysław, twój niewolnik, to niedołęga...

— Kuzynie!

— Tak, niedołęga! Nie chciałaś mi wierzyć; po dwóch latach rozwiłdliście się: to jedyna rozumna rzecz, jaką w życiu zrobiłaś...

— Pochlebia mi to.

— Jedyna, bo nie chciałaś mieć do mnie zaufania; przecież nie byłbym dosyć szalonym wtedy, gdy cię błagałem o powierzenie mi swego losu, o powierzenie mi siebie samój!

— *Abrégez!*

— Nie byłbym cię o to błagał, gdyby nie mocne przeświadczenie, że mnie kochałaś.

— Zarozumiałość twoja może do desperacyi przyprowadzić.

— Tylko się nie unoś! Mówię „kochałaś”; czas przeszły nie powinien cię tak wzruszać.

— Twoja pewnośc siebie mnie wzrusza!

— To niepotrzebne. Kochałaś mię: z tysiąca rzeczy wiedziałem o tém. Gdy się zbliżyłem do innej kobiety, darować mi tego nie mogłaś; zawsze musiałem za to odpokutować. Gdy chwilami stosowałem się do twych fantazyi, patrzyłaś na mnie... no, patrzyłaś tak, że nie pragnę, aby huryski w siód-mém niebie na mnie inaczéj spoglądały.

— To wszystko było dziełem imaginacyi zarozumiałego do gruntu człowieka.

— To wszystko było prawdą! Uśmiechałaś się do mnie niebiańsko, nosiłaś kolory, które ja lubilem, używałaś perfum, których ja używałem, raz nawet schowałaś kwiatek, który ja ci dałem...

— Nieprawda!

— Mówmy parlamentarnie. Czerwienisz się, to najlepszy dowód, że prawda.

— To wszystko ci się przywidziało.

— A więc może wolisz przyznać, że mnie przyciągałaś, kokietowałaś, bałamuciłaś, tak sobie, dla sportu!

— Ani mi to w głowie powstało.

— Albo jedno, albo drugie; ja wierzę jednak w pierwszą hipotezę, to jest, że mię kochałaś.

— Więćej to dogadza twojéj próżności.

— Nie, ale chodzi mi o prawdę. Wracam je-

dnak do wytłómaczenia ci mojej irytacji dzisiejszej. Jakże nie miałem stracić cierpliwości? Przyszedłem z usposobieniem łagodniejszym, niż usposobienie ja-gnięcia względem owieczki.

— Bez porównań!

— Masz słusność; zkąd mogłem wpaść na porównanie ciebie do owieczki? ale takimi to iluzjami zabawiają się czasem ludzie! Myślałem sobie: „Wypędziła mnie wtedy, gdy otwarcie przemawiałem i śmiałem się zbliżać bez pokłonów czolobitnych; teraz przyjdę pokornie słodko: inny mam wprawdzie cel tym razem, ale równie dla mnie ważny. Więc aby go osiągnąć, poświęcę siebie samego; zegnę się, uchylę karku: wtedy i ona przyjmie mnie ze słodyczą i serdecznością i wysłucha, bo ona jednak ma serce, mimo swój nieokielznaną pychę i próżności.

— Nie może być! Raczyłeś mi przyznać trochę uczucia?

— Raczyłem, ale pomyliłem się. Bo cóż się stało pomimo gwałtu, jaki sobie zadałem, aby niewolniczo i rutynicznie się wysławić wobec pięknej kobiety, pewnej swój wyższości.

— Nie przypuszczałem, że piękności mojej hołd oddajesz.

— Hm! a teraz aż ci się oczy zaśmiały, tak tryumfujesz, że swego dopięłaś i że *peau rouge* cześć twój urodzie oddał mimowolnie.

— Dziwny masz talent do czytania w moich oczach, co ci się tylko spodoba...

— Teraz wyczytuję tylko zawsze tę samą próżność i żądzę pochwał; dawniej widziałem i miłość, ale miłość już wygasła. To, co najwięcej zdobi kobietę w oczach mężczyzny, t. j. uczucie w spojrzeniu, znikło u ciebie. Ładniejszą byłaś i bardziej urocza, gdy mnie kochałaś; teraz jesteś tylko piękną.

— To mi wystarcza. Podziwiam tylko brak pewności siebie w twych słowach; więc uważasz, że mnie zdołało uczucie dla ciebie?

— Uważam. Wracam jednak do przyjęcia twego dzisiaj.

Uzbrojony w dozę niewyczerpaną słodyczy, o co cię proszę na początku naszej rozmowy? o zapewnienie, że mnie wyróżniasz choćby o drobny pyłek od całej falangi swoich znajomych. Tak nieśmiało, tak słodko prosiłem, myśląc, że ton taki musi cię rozbroić względem mnie i że wyznasz...

— Co wyznam? że cię kocham?

— Nie; ale, że jako dla krewnego masz dla mnie trochę żywsze uczucie, choćby życzliwości tylko, niż dla reszty. Gdzie tam! To delikatne, pokorne wezwanie, abyś zrzuciła pancierz chłodu i obojętności względem mnie, nie osiągnęło innego skutku, jak wyniosłe słowa i spojrzenie. Tego już było za wiele! Przekonany od czasu mego powrotu z obcych krajów, że przestałaś mnie kochać, musiałem



dojść w tej chwili do pewności, że mnie nienawidzisz.

— Nie nienawidzę nikogo.

— Mnie możesz tylko albo kochać, albo nienawidzić.

— Znowu oryginalne pretensje.

— Może oryginalne, ale uzasadnione. Jeżeli jednak próżność twoja woli, abym został przekonany tylko o obojętności twojej względem mnie, niech i tak będzie. Dzisiaj oczekiwałem od ciebie zachęty, jako od duszy pokrewnej, przyjaznej.

— Nie spostrzegłam dotąd, abyśmy duszą byli spokrewnieni; węzłami krwi tylko.

— A więc węzłami krwi jesteśmy bliżej sobie. Żądałem od ciebie zachęty jako od krewniej, bo miałem prośbę do ciebie. Zachęty tej nie doznałem; przyjęłaś mnie — jak nieprzyjaciela, podług mnie, jako obojętnego, podług ciebie. Otóż ani dla nieprzyjaciela, ani dla obojętnego uczynić nie możesz tego, o co chcę prosić, tak, jak ja od nieprzyjaznej mi, albo obojętnej kobiety nie mógłbym czegoś podobnego żądać. Więc żegnaj cię, kuzynko, nie zabieram ci więcej czasu.

— Nie, na to nie pozwalam. Czy myślisz, że niezdolna jestem do oddania przysługi osobie nawet obojętnej, i że mi na dobrych chęciach zbędzie?

— Jeżeli każesz, to siadam, ale będziemy roz-

mawiali o czém inném, bez poruszania osobistych przedmiotów; pozwól, że ci mego interesu nie wyjawię.

— Mój Czesławie, nie gniewaj się na mnie, przebac mi, proszę cię. Chcesz mnie zmartwić? Ty wiesz dobrze, że chętnie wszystko dla ciebie zrobię. Ty taki jesteś gwałtowny! O co ci chodzi? doprawdy, nie pojmuję.

— Jeszcze się pytasz: o co mi chodzi? Więc nie rozumiesz tego, jak mnie boli ta oziębłość, ta wyrafinowana obojętność z twój strony? Czy myślisz, że pamięć moja jest wielką próżnią? że w nią można wrzucać bezkarnie drogie wspomnienia, że w nią ze wspomnień tych nie pozostaje? Czy myślisz, że nie przyrównywaną z goryczą przeszłości do terażniejszości? że zapomniałem o chwilach, kiedy byłaś dla mnie siostrą, przyjaciółką?... Nie miałem rodziny; w najdawniejszych latach widzę siebie zawsze osamotnionego, otoczonego obojętnymi ludźmi; nikt mi sympaty nie okazywał. Każde moje serdeczniejsze wyłanie odepchnięte było ironią, albo zimnym słowem. Ty jedna miałaś dla mnie serce; kiedy byłaś dzieckiem jeszcze, a ja dorastającym już mężczyzną, nie wstydziłem się otwierać przed tobą duszy mojej; jeżeli nie umysłem, to sympatją pojmowałaś mnie. Czy myślisz, że mogę zapomnieć o chwili, kiedy ze łzami w oczach słuchałaś skarg moich, oburzałaś się na krzyczącą niesprawiedliwość,

gdy ci opowiadałem powrót do domu mego opiekuna po świetnie skończonych egzaminach; nie umiałaś słów znaleźć dla tego człowieka, który, zamiast serdeczném słowem, powitał mnie obelgami; wmawiał we mnie, że nie dzięki pracy, ale dzięki przebiegłości i protekeyom, tryumf zdobyłem. Tak, płakałaś, gdy ci to opowiadałem; zabrałem nawet tę chusteczkę pełną łez twoich, nie rozstawałem się z nią nigdy. Gdy, z moją szorstką naturą, nie umiałem sobie zjednywać życzliwych i przyjaciół, gdy z mojem gorącym, entuzjastyczném nawet sercem, cierpiałem nad brakiem tój życzliwości i tych przyjaciół, cóż robiłem, aby o wszystkiém zapomnieć, aby się pocieszyć?... Wyjmowałem chusteczkę przesiąkniętą twemi łzami i starczyła mi ona za wszystkie skarby, ukryte w sercach ludzkości całej. Nie umiałem ci wyrazić miłości mojej tak, jak inni, chociaż zdawało mi się bluźnierstwem, że inni śmieli wobec ciebie ze mną w uczuciu rywalizować. Wściekłość mnie ogarniała na śmiałość taką! Jak można porównywać miłość człowieka, który, od lat dziecinnych zaczawszy, uśmiechem odpowiadał na uśmiech matki, siostry, na uśmiech tylu kobiet, każdej równie czule; który uściskiem oddawał uścisk tejże matce, siostrze i innym kobietom; który słowem gorącym odzywał się do tylu istot, aby na ich gorące słowa odpowiedzieć—jak można porównać miłość takiego człowieka z moją miłością?... Uśmiech twój, twoje lzy, twoje uści-

ski, były dla mnie wszystkiém; innych nie znałem, na inne nie odpowiadałem, i to, co drudzy rozpraszają na wszystkie strony, ja skoncentrowałem w tobie jednej. O ileż potężniejszą, więcej nieograniczoną miłość taka być musiała wobec owych pustych, czezych frazesów i deklamacyi, jakiemi lubiłaś popisywać się przedemną, gdyś dorosła, niby-to nie odgadując tego, co się we mnie działo?

— Jeżeli ci kiedy wspomniałam o wyznaniach moich pseudo-wielbicieli, to tylko w celu, aby ciebie samego nakłonić do wyrażenia twych uczuć. Jeżeli czasem odgadywałam miłość twoją, to nigdy pewną jój być nie mogłam. Taileś ją przedemną nie wiem w jakim celu; odgaduję jednak, że miłość własna wzdragała się w tobie od tego, co nazywałaś „uchyleniem głowy, poddaniem się kobiecie.” Jeżeli przywiązanie twoje do mnie nie zdołało zwyciężyć twój osobistej próżności, to pojmujesz, że niewielkie mogłam przywiązywać znaczenie do niego...

— Nie jesteś szczerą w tój chwili. Przekonany jestem, że w przywiązanie to wierzyłaś, chodziło ci tylko o dopelnienie czezej formy, chciałaś mnie słyszeć wyznającego miłość moją w płomiennych wyrazach, a potem? byłabyś mnie, może tak jak innych, odrzuciła? Lepiej, że nie zaspokoilem próżności twojej: nie żałuję mego oporu.

— Nie zrozumiesz mnie nigdy, bo mnie rozumiéć nie chcesz: niepotrzebnie więc, tak siebie, jak mnie

rozdrażniasz wspomnieniem dawno minionych lat. Nigdy się nie porozumiemy.

— Tylko w ten sposób porozumiéć się możemy; chciałbym wyjaśnić nasz dawniejszy stosunek, ja sam dobrze go nie rozumiem. Pojmuję, że to dla ciebie przedmiot niemily. Zawsze unikałaś dłuższej, jaśniejszej rozmowy ze mną; gdy tylko o sobie mówię zaczynałem, przerywałaś mi.

— Przeciwnie, ja to właśnie zarzucam ci, że nigdy o sobie mówić nie chciałaś; jeżeli przerywałam ci, to dlatego, że, zaczynając od osobistych kwestyj obojętnych, kończyłaś zawsze na mustrowaniu mnie i moralizowaniu.

— A ty czekałaś rychło ci powiem, że jesteś moją boginią, królową etc.? Nie chciałaś się jednak liczyć z moim cichem ale głębokim uczuciem, obawiając się zapewne despotyzmu; wiedziałaś, że o ile potrafię czuć gorąco, o tyle nie potrafię poniżyć się do roli twego niewolnika salonowego.

— Mogę ci tylko powtórzyć raz jeszcze, że jesteś niesprawiedliwym, że się mylisz zupełnie.

— Wiem, co mówię; znam cię od dziecka i byłem świadkiem wszystkich metamorfoz, przez jakie przechodziłaś. Nie to ci wyrzucam, że poglądy twoje, a zatem i postępowanie, zmianie ulegało, bo wiem że tylko idyotyczne umysły jednostajne piętno noszą na swęj duchowej istocie, ale to, że inteligencya twoja nie posłużyła ci na nic innego, jak na zmianę

ku gorszemu. Dzieckiem, a później młodą panią, byłaś uosobieniem dobroci i słodyczy, ale świat potrafił cię zmienić z niesłychaną szybkością; im więcej szerszeni krążyć zaczęło wokoło ciebie, tém większą stawała się próżność i zarozumiałość twoja, przygłuszając wszystkie inne zalety i wady.

— Proszę cię, przestań; zdaje mi się, że jestem na kazaniu.

— Pozwól mi, niech raz wyrażę wszystko, przez co przeszedłem z powodu ciebie, i wpływ, jaki wywarłaś na moje życie.

— Myślałam, że człowiek o stalowym harcie duszy, jak ty, nie może ulegać wpływowi próżnej kobiety.

— Wiesz dobrze, że jest inaczej; każdy człowiek, nawet stalowy, gdy się zakocha, ulega wpływowi miłości. Twój ironiczny głos dowodzi, że miałaś mnie za człowieka o stalowym harcie duszy i że miałaś zamiar hart ten złamać we mnie. Chciałaś zrobić ze mnie automat, ożywiony tylko twemi fantazyami, i dodziśdnia darować mi nie możesz, że ci się nie udało. Ale ja odgadłem twoje zamiary, bo znałem twoją żądzę panowania, oparłem ci się, i dlatego mnie odepchnęłaś. Wtedy-to wyrobiła się we mnie ta nieufność do wszystkiego i wszystkich, stałem się pesymistą, bo straciłem jedyną wiarę, jaką miałem, wiarę w ciebie. Pesymizm mój nie doszedł jednak do wyższości spokoju sehopenhauerowskiego.

Gdy przestałem wierzyć w miłość, zacząłem z niej szydzić; zgorzkniałem, zostałem egoistą, nieznosnym dla siebie samego i dla wszystkich. Do tej chwili myślałem, że wszystko we mnie wygasło; dziś dopiero przekonałem się, że jakaś iskierka przywiązania do ciebie tłała jeszcze na dnie mego serca, bo dlaczegoż tak-by mnie dotknęło twoje zimne i sztywne przyjęcie? Po długiej emigracji, wracam do kraju, spotykam cię poraz pierwszy, tydzień temu, w licznym towarzystwie; wtedy to poznałem, że nie ma już śladu w tobie dawnego dla mnie uczucia.

— Doprawdy? Można ci powinszować bystrości spostrzegawczej.

— Przenikliwość moja rzadko kiedy mnie zawodzi. Zresztą, przyznam ci się, że byłem z tego zadowolony, bo sam mając inne plany na przyszłość, rozsądniejsze, potrzebowałem twój pomocy, tym razem już tylko siostrzaną. W tym-to celu prosiłem cię o posłuchanie na dzisiaj, spodziewałem się, że mnie przyjmiesz tym razem jako krewnego, choćby przez wspomnienie lat dziecińczych; zamiast siostrzaną serdeczności spostrzegłem tylko etykietę i ceremonie. Z nieufnością odzywałaś się do mnie; moje wysiłki, aby cię sprowadzić z piedestału światowej damy, były daremne. Wpadłem wreszcie na zwykłą nutę szydzenia z tego, co mi było drogiem; tym samym chłodem odpowiadałaś, aż nareszcie, mimowolnie, bezwiednie skończyłem na skardze i jęku. Wstydnę

mi tej niepotrzebnej słabości: widocznie, niedość jestem jeszcze opancerzony przeciwko pragnieniu, tak gorącemu niegdyś, choćby odrobiny przyjaźni, choćby jednej życzliwej duszy...

— Czesławie, nie mów tego, ty wiesz, że...

— Że?... że co? Ja wiem tylko, że jestem więcej osamotniony, niż ów ewangeliczny pelikan.

— Ale to twoja wina, czemu zrażasz sobie przyjaciół? Czemu stronisz od ludzi?

— Czemu? dlatego, że ludzkość cała dla mnie w tobie jednej się zamykała; już ci to mówiłem.

— Dawniej, ale teraz...

— Teraz też powracam do rozumu, stałem się praktyczniejszym. Brak mi domowego ogniska; pragnę je sobie wytworzyć; ciebie chciałem prosić o radę i protekcję, dopóki myślałem, że choć trochę przyjaźni masz dla mnie na dnie serca.

— I przekonałeś się, że nie niema; że serce moje to jedno wielkie zero? Hahaha! co za wprawne oko, jaki znakomity fizyolog z ciebie!

— Tym razem psycholog.

— Jako psycholog, przekonałeś się, że moje serce i dusza, to jedna beczka Danaid, w którą można wlewać uczucia bez miary z serca bliźniego, a jednak pozostanie pustym?

— Teraz ty szydzisz, Zoniu. Czy szyderstwem twojem chcesz mnie przekonać, że się mylę?

— Ciebie przekonać byłoby również niemożliwym zadaniem, jak przekonać Sfinksa na pustyni.

— Dlaczego Sfinksa?

— Dlatego, że byłeś i pozostajesz dla mnie nieodgadnionym. Jedno tylko widzę, że nikt cię nigdy nie przekonał wbrew twemu własnemu widzimisię.

— Przeciwnie, dawniej jedno twoje słowo byłoby mnie przekonało, dzisiaj jedno serdeczne uściśnienie ręki.

— Dlaczego zważasz na takie drobnostki? Ty wiesz dobrze, że cię kocham, nietylko...

— Nietylko? Dokończ.

— Mniejsza o to: wszystko, co bym mogła powiedzieć, jest przeszłością dla ciebie.

— Dla ciebie nie?

— Dla mnie nie. Wolę o tym nie mówić; chcę tylko wiedzieć, czemu niesprawiedliwość twoja zaślepią cię do tego stopnia, że na mnie jedną zrzucasz przewinienia, nietylko moje, choć do wielu bardzo się przyznaję, ale i swoje własne, których ty uznać nie chcesz.

— O jakich przewinieniach mówisz?

— Przedewszystkiemi o pysze twojej, która cię zaślepiła. Zarzucasz mi, że chciałam hart twój duszy złamać. To jest śmieszną pomyłką; chociaż może źle robiłam, nie starając się wpłynąć choć trochę na tę twoją niezłomną, nieugiętą naturę. Ale mniejsza o to. Powiadasz, że czytałam w twych

oczach miłość twoją dla mnie i że jej zrozumieć nie chciałam. Już ci mówiłam, że pewną nigdy nie byłam tej miłości; nietylko, że mi jej nie wyznałeś, ale czasem starałeś się jej wypierać.

— Gdy ty innych bałamuciałś, przez zazdrość...

— Ja o tym wiedzieć nie mogłam. Gdyś „kleczał u mych nóg”, jak się patetycznie odezwałś, to nie w celu, aby mi wyrazić swoje własne uczucie, tylko chciałeś mnie, kobietę, zmusić do wyznania tego, co chowałam na dnie duszy; wtedy nawet tylko despotyzm swój objawiałś, mówiąc mi, że *powinnam* wyjść za ciebie dla siebie samęj; że widzisz dobrze, iż bez ciebie żyć nie potrafię.

— Tego nie powiedziałem.

— Sens był taki; mówiłeś mi, iż wiesz, że cię kocham. Czy mnie mogła być miłą tak jawnie wyznana pewność siebie, wtedy gdy ty o swoim przywiązaniu do mnie milczałeś? Nie próżność, ale godność kobieca była we mnie obrażoną. A ważniejsze to, że czułam, iż mnie ujarzmić myślisz. Całego nieporozumienia powodem było może zbyt wielkie podobieństwo między nami pod względem pojęć o niezależności. Bałam się w twoje ręce oddać moją wolność złotą. Byłam wtedy zirytowana, rozdrażniona. Nie przypuszczałam zresztą, że uskuteczysz groźbę opuszczenia kraju natychmiast, jeżeli się nie naklonię do twego „żądania”, bo nie mogę powiedzieć „prośby”. Tyś mnie nie prosił, ale rozkazy-

wał. Gdy jednak nazajutrz po naszej rozmowie wyjechałeś nagle, powiedziałam sobie, że ambicja i miłość własna więcej u ciebie znaczą, niż przywiązanie do mnie i.. wyszłam wkrótce za męża, za pierwszego lepszego: wszystko mi było jedno, może *par dépit*. Poznałam jednak, że w ten sposób męża się nie wybiera, jeżeli się własnymi rękoma szczęścia nie chce zniweczyć, ale poznałam zapóźno. Rozwiodłam się: tak musiałam postąpić, aby uniknąć gorszych następstw; mój ex-mąż poszukał sobie innej towarzyski życia. Od tego czasu obojętnie spoglądałam na przyszłość, gdy tydzień temu ciebie spotkałam po długim niewidzeniu. Rozmawiałeś ze mną, jak gdybyś mnie był w wigilię dnia tego pożegnał, zimnym i szyderyczym tonem odzywałeś się do mnie. Nie chciałam zostać w tyle w raz obranym przez ciebie systemie i taką monetą odpłaciłam ci, przyjmując cię dzisiaj, jaką ty mnie traktowałeś, gdyśmy się spotkali pierwszy raz po twojej podróży. Nie mogłam wiedzieć, że przyjdiesz dzisiaj inaczej, serdeczniej usposobionym i że nie potrafisz mi darować, iż natychmiast nie zastosowałam się do twego kamertonu. Zraniłam cię swoją własną bronią, której ty sam tak często przeciw mnie używałeś. Widać, że się wcale nie zmieniłeś, pomimo cierpień, o jakich zapominasz, a które sam sobie zgotowałeś swoją niepoohamowaną i źle zrozumianą ambicją. Pomimo, że na gorzkie twoje wymówki nie zasłuży-

łam, przepraszam cię jednak; bez intencji wyrządziłam ci przykrość. Dawna moja natura, zbyt żywa, wzięła górę na chwilę, ale tylko na chwilę, bo mnie cierpienie zmieniło i nauczyło wiele rozumieć i wiele wybaczać, a szczególnie wiele mieć współczucia dla tych, którzy cierpią także. Żał mi głęboko... o! głębiej, niż możesz pojąć, każdej przykrości, jaką ci kiedykolwiek wyrządziłam. Może i lepiej, żeśmy się rozmówili, lepiej, żeśmy nawet o przeszłość potraścili: dałeś mi się poznać; mniej zagadkowym wydaje mi się twoje postępowanie, a przede wszystkim, jeżeli tyle przecierpiałeś, co ja...

— Zonieczko, czy ty doprawdy cierpiałaś także? i nie mi o tym nie mówiłaś? Ale nie z mego powodu, co? nie ja byłem powodem zgryzoty twojej?

— Mniejsza o to. Powiedz mi: jaki miałeś interes do mnie?

— Niepoprawny zarozumialec ze mnie; zkał mogłem przypuścić, że byłem powodem choćby do jednego westchnienia twego? Pytasz: jaki interes miałem do ciebie? Oto kilka miesięcy temu spotkałem pannę Adę Skarlit za granicą; podobała mi się: dosyć ładna, majątna, przyzwoita osoba. Wiem, że się znacie.

— Tak... to wielka moja przyjaciółka.

— I ona mi o tym mówiła, utrzymuje nawet, że masz na nią wpływ nieograniczony, że dla ciebie wszystko gotowa uczynić.

— A więc wszystkie okoliczności są za tém, abym się o jój względy starał, a jeżeli mi się powiedzie, pojął ją za „dozgonną towarzyszkę”. Nie wiem jednak, czy mam szansę, a nie chciałbym się ryzykować na chybił trafił. Ty z nią jesteś w korespondencji; czy zechcesz ją wy badać: co o mnie myśli i czy mogę mieć nadzieję?

— Ja mam to uczynić?

— Jeżeli mi odmówisz, to postaram się inaczej pokierować tę sprawę; myślałem jednak, że przez życzliwość...

— Oszczędzę ci nieprzyjemności narażenia się na kosza. Wszak szwank na punkcie miłości własnej jest zawsze najstraszniejszym widmem, jakie cię przeraża?

— Tu niema mowy o miłości własnej.

— Więc dlaczegoż chcesz, abym Adę wy badała? Nie prosisz mnie przecież o wstawienie się za tobą, tylko o wy badanie jój: czy masz szansę za sobą?

— Chcę poprostu uniknąć niepotrzebnych zabiegów.

— Obawiasz się zabiegów, a chcesz się z nią połączyć na zawsze? Czy może i to miłością nazywasz?

— Tutaj miłość nie gra najmniejszej roli.

— I chcesz, abym ja do takiego związku rękę przykładła?

— Jako przyjaciółka i siostra.

— Czy ty rzeczywiście w moje siostrzane uczucia dla ciebie wierzysz?

— Może i to jest arogancja z méj strony, ale przed chwilą upoważniłaś mnie do téj wiary.

— Na podstawie siostrzanego uczucia żądasz odemnie swatania cię?

— Nie, tylko zbadania.

— A jeżeli ci odmówię?

— Powiem, że miałem słusność, iż nie potrafisz się zdobyć nawet na iskierkę jakiegokolwiek bądź uczucia.

— Jeżeli jednak ja odmówię właśnie z powodu twój pomyłki, z powodu, że nietylko na jakiegokolwiek bądź uczucie zdobyć się potrafię; jeżeli odmówię choćby dlatego, że nie wierzę ani w jedno słowo z tego, co mi mówisz o zamiarach względem Ady?

— Dlaczego byś wierzyć nie miała? tego nie pojmuję.

— Nie wierzę, obrałaś ten środek, aby dojść do celu, uparty człowiecze! Wiek temu zdecydowałeś, że trzeba u nas amerykańskie obyczaje zaprowadzić.

— Nie rozumiem cię.

— Zdecydowałeś, że nie ty mnie, ale ja tobie się oświadcę, a gdy dawniej nie nie pomogły twoje zabiegi, teraz chwyciłeś się nowego środka, aby mnie zmusić do wyznania, że...

— Że co?

— Że ja ciebie Kocham.

— Przyznajesz?

— Przyznaję.

— Zoniu, nie!... to niepodobna!... takie szczęście dla mnie nie jest możebnym. Ty żartujesz pewnie!

— Nie jest możebnym, bo zamysłasz z Adą się żenić!

— Nie mów o tém: to był żart, który cię nawet nie zwiódł; to była źle obmyślana próba tylko. Ada sama podała mi ten sposób; ona wiedziała o wszystkim i dodawała mi nadziei. Ale gdy cię zobaczyłem w towarzystwie wesolą i swobodną, byłem niesprawiedliwym, darować ci tego nie mogłem. Dziś znowu twoje przyjęcie resztę wiary mi odebrało. Ostatecznie jednak chwyciłem się rady, przez twoją przyjaciółkę mi podanej; chciałem wiedzieć, jakie wrażenie robi to na tobie, chciałem wiedzieć, czy może kiedyś w przyszłości nie zechcesz przyznać...

— Że cię kocham? Postawiłeś na swoim, choćby dlatego, że nie pozwoliłabym Adzie narażać się na próbę, jaką ja sama przeszłam; to okropne jest wyjść za mąż za pierwszego lepszego.

— Jak to?... więc znowu jestem pierwszym lepszym?...

— Dla niej, nie dla mnie. Niestety! uchyliłam głowy, oświadczyłam ci się, jak podług ciebie na kobietę przystało. A teraz na ciebie kolój, tryumfatorze... czy wyznasz nareszcie słowami, że mnie kochasz?

— Czy wyznam?... Wyznam, jeżeli nie oszaleję! Zoniu moja upragniona, wymarzona, wysniona szczęście!

— Cicho! już dosyć... nie mów... wołę... wołę teraz wymowę twych oczu. Ty mnie nauczyłeś, że one nie kłamią...

— A jednak szkoda... szkoda tylu lat szczęścia straconych, z mojej winy.

— Nie... z mojej.

— Przeciwnie, z mojej; wiem o tém dobrze. To też ja pierwszy przyszedłem i wyznałem, czém jest miłość moja; naraziłem się na powtórne odepchnięcie; ale szczęście warte było próby takiej.

— O niepoprawny człowieku! Kto pierwszy miłość tę wyznał: ty, czy ja? Kto pierwszy powiedział: „kocham cię?”

— Nigdybyś nie powiedziała tego, gdybym ci nie odkrył przedtém całego bólu mojego nad utratą ciebie.

— Ale ty mówiłeś o przeszłości, a ja o terażniejszości.

— Ty jednak zrozumiałaś, że u mnie przeszłość, terażniejszość i przyszłość jest jednem wielkiem, pochłaniającem wszystko, uczuciem. Ty zrozumiałaś, że ja, jeżeli kochałem *ciebie*, to kochać będę wiecznie.

— Zrozumiałam, ale zwycięzcą ty jesteś, bo pierwszy zdobyłeś wyznanie wyraźne, a ja tylko mogłam przeczuć miłość twoją.

— Ty zwyciężyłaś, bo doprowadziłaś mnie do tego, że wyznałem ci całą potęgę méj miłości, zanim się dowiedziałem napewno, że mnie kochasz.

— Tak, że ja cię kocham niepoprawnie, niegodnie—od tylu lat... od tylu lat! Że cię kocham, choć tyle razy miłość tę z korzeniem wyrwać chciałam, myśląc, że ty mnie nie kochasz prawdziwie. Jakie to szczęście, że mi się nie udało wykorzenić jój... Teraz tak mi dobrze, tak swobodnie na świecie!... Miłość zwyciężyła. Ani ty, ani ja, ale miłość jest zwyciężcą.

SZKICE I OBRAZKI BULOŃSKIE.

— Nie bądź taka zła.

— Jestem zła!

— To bardzo brzydko, jak na młodą panienkę.

— Więc tylko starzy mają przywilej złośczenia się?

— Jeśli ci to przyjemność sprawia, to się złość. Ja nie myślę! za gorąco dzisiaj na irrytaeye.

— A ja ci mówiłam, że się zaziębi.

— Ani mu się śniło zaziębić; objadł się i śpi.

— Nieprawda! on się nigdy nie objada; zaziębił się.

— Mogłaś go nie kąpać.

— Czemuś mi tego wczoraj nie powiedziała?

— Co prawda, to mi na myśl nie przyszło, katar Buma jest rzeczą, która mnie tragicznie nie usposabia.

— Naturalnie, jak się jest egoistką.

— Czy mam posłać po doktora?

— Żartuj. Ty nie masz serca, doprawdy.

— Ja nie żartuję; jeżeli Bum chory, to trzeba go leczyć, ale temu dopiero wtedy uwierzę, gdy talerz z kostkami od kury pozostawi nietknięty.

— Czekać do obiadu!

— No, to weźmy go na inną próbę; wstań, włóż kapelusz, wciągnij rękawiczki: zobaczymy, co będzie.

Kicia podnosi się leniwie, Bum ani drgnie: zły znak! Kicia sięga po kapelusz: Bum otwiera jedno oko, oko zamglone, obojętne, jakby zblazowane; Kicia kładzie kapelusz na głowę: Bum otwiera drugie oko, a coś naksztalt ciekawości budzi się w jego spojrzeniu; Kicia wciąga rękawiczki: Bum podnosi głowę, ale z niedowierzaniem, z apatyą, leniwie; Kicia wyjmuje parasolkę z szafy: Bum, niby prądem elektrycznym dotknięty, drgnął cały, ale nie wstaje; Kicia spogląda na mnie tryumfująco.

— A widzisz, że chory!

— Czekaj — idź do drzwi, otwórz. — To próba stanowcza. — Bum! *à la prrrrom...*

Nie zdążyłam dokończyć „nade”, kiedy bohater niniejszego opowiadania zerwał się na równe łapy i w jednym szalonym susie znalazł się przy panie Kici, bez ceremonii popychając ją i wyprzedzając.

Nie omieszkał przy tej sposobności przewrócić dzbanka z wodą, której strumienie pokój zalały.

Próba powiodła się znakomicie. Bum zdrowy, Kicia oddycha swobodniej, głaszeze go i zasypuje gradem najczulszych wynurzeń. Bumowi to nie wystarcza. Oczyma pyta: cóż, pójdziemy?

Panna Kicia udaje, że pytania nie rozumie, bo gorąco, okropnie gorąco: więc wolałaby urządzać ma-

lą „siestę”. Tymczasem robi się popłoch, nawolowanie; woda dostaje się pod kufry, pod rzędy bucików. Już słycać kroki na schodach: to ratunek; panna Marya idzie ze ściereczką, za nią paż nasz z wiaderkiem, uśmiechnieni oboje; a ja myślę w duchu: że też ta para nas nie przeklnie — mnie, Kicię i Buma; codzień nowa awantura.

Już wszystko w porządku. Już słycać zdaleka, jak panna Marya sieka na dole jakąś przyprawę na śniadanie. Z okna sypialnego pokoju widać, jak paż czyści sobie buciki, co się trzy razy na dzień powtarza, a przy tej operacji śpiewa zwykle „*Connais tu le pays où fleurit l'oranger?*” Ja przysmykam żaluzye, by wypędzić ostatnie tańczące zygzaki słoneczne, i rozciągam się wygodnie na otomance, rozkoszując się Dickensem, bardzo starym znajomym; ale Dickens zasłużył na stokrotne odczytywanie wszystkiego, co z pod jego pióra wyszło: Więc „Dawid Copperfield” pochłania cały mój umysł.

Kicia tymczasem kończy rozmowę z Bumem:

— Teraz-by ci się główka przepaliła, miałbyś migrenę; pójdziemy po obiedzie, Bumciu. Pyszny będzie obiadek; dostaniesz pasztecik, potem kosteczki od kurczątek — zobaczysz! Potem pójdziemy łowić ryby.

— Masz tobie! — myślę — ci dwoje znowu na rybołówstwo się wybierają: winszuję!

Ale uważam za stosowne milczeć, bo moja po-

waga nieraz już była mocno skompromitowana, gdym wobec zachcianek Kici i Buma *вето* stawić chciała.

Więc czytam dalej. Dawid Copperfield już puszcza wolanta z siostrzeńcem swój cioci, a ciocia osły z trawnika wypędza, gdy raptem panna Kicia zapytuje:

— Jak imię najstarszemu synkowi królewicza syamskiego?

— Alboż ja wiem, moja droga? Co mnie to może obchodzić?

— A kto ma wiedzieć, jeżeli nie ty? od kogo ja się dowiem?

Bo pannie Kici wydaje się, że ja *powinam* wiedzieć więcej od Encyklopedyi Bouilleta i czuje się poprostu rozczarowaną co do rozumu ludzkości w ogóle, kiedy ja czegoś nie wiem.

— Czy ci to bardzo potrzebne do wiadomości? To możemy zatelegrafować do jego ojca chrzestnego, on nam doniesie.

A kto jest jego ojcem chrzestnym?

— Książę Mastodonte.

Kicia już zaspokojona, bo skoro wiem, kto jest ojcem chrzestnym młodego syamczyka, to już się zrehabilitowałam w jój opinii. Rzecz prosta, nie ja się narażę na powtórny kompromitację; i cóżbym poczęła, gdyby Kicia straciła do mnie zaufanie, skoro dziś, choć posiadam zaufanie to w całej pełni, nie daleko zajechałam z przeprowadzeniem mojej woli?

Czy istnieje książę Mastodonte? — nie wiem; jeśli nie, tém gorzej dla niego. Mnie stokroć więcej zaciekawia to: czy Dawid Copperfield powróci do ojczyzny? — niż wszyscy królewicze syamscy.

Czytam dalej, ale niedługo; po chwili głos Kici dzwoni znowu w powietrzu.

— A jak ty myślisz, czy potomkom cesarza syamskiego oddadzą klejnoty koronne?

— Oddadzą, z pewnością oddadzą — odpowiadam, tym razem już się na „nie wiem” nie narażając. W obawie jednak, by mnie Kicia nie odrywała zbyt często od Dawida podobnemi pytaniami (bo ją „polityka” niezmiernie zajmuje), mówię:

— Czytaj gazety, to się dowiesz wszystkiego. Gazety wszystko wiedzą, a jak nie wiedzą, to cię jeszcze dokładniej poinformują.

— Kiedy ty mi nie pozwalasz *Kuryera* czytać; mówisz, że tam wiele niepotrzebnych rzeczy.

— To czytaj inne pisma.

— Już przeczytałam: takie nudne!

— Jakto? przeczytałaś całą paczkę, która dziś przyszła?

— Przyszła? — i panna Kicia, dla której nadejście gazet jest bardzo ważnym zdarzeniem, zrywa się, by poszukać świeżych, upragnionych wiadomości.

Nareszcie obrała sobie miejsce na kilku poduszkach, które ściągnęła z kanapy, rozłożyła się na nich, jak długa; ogromne jakieś pismo rozpostarła

i sprawiała się o tyle cicho, o ile ją na to stać było, to jest, że mniej więcej co pięć minut, gdy ją uderzyło jakie niefortunne nazwisko, pytała:

— Czy chciałabyś się nazywać panią Flajszerowską na przykład?

— Wolalabym nie.

— A panią Birbée?

— Wolalabym nie.

Odpowiadam lakonicznie, machinalnie, ale odpowiadam, bo wiem z doświadczenia, że inaczej pytanie powtarzałoby się aż do skutku. Nareszcie i te krótkie przerwy ustały. Cisza! muchy śpią, Bum śpi, chrapie.

Dawid Copperfield został przez ciotkę zaadoptowany, panna Kicia czyta gazetę. Oglądam się: nie. Pannie Kici nóżki tylko widać, a trzy gazety, na prawo i na lewo rozłożone, okrywają ją całą, niby lekką kołderką. Panna Kicia śpi także; z pod gazety wążka, ale nie wykończona jeszcze o zbyt długich palcach, rączka wydobywa się i opiera na głowie Buma.

Dziękuję ci, Panie, teraz dopiero odpocznę.

To dzień wyjątkowy; upał w Boulogne! to się prawie nie zdarza: więc, zamiast na piaskach, nad morzem, odbywamy siestę w swoim mieszkaniu, w willi „*Far niente*”. Teraz zbliża się wieczór, wkrótce obiad podadzą. Na dole słychać brzęk talerzy, uderzenia nożem o stolnicę. Od czasu do

czasu przez odemknięte ku wieczorowi żaluzje wiska się zapach jakiegoś sosu.

Gazety, pokrywające Kicię, wydają chrzęst, który każe się domyślać, że panienska wkrótce się sama odezwie; nareszcie z dołu słyszę zapytanie:

— *Voulez-vous du Brie ou du Camembert?*

Nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy Kicia, wysuwając głowę z pod gazet, decyduje w moim imieniu.

— *Des petits Suisses, s'il vous plait.*

Naturalnie stało się wedle woli jej despotycznej mości, a ja w duchu myślałam sobie: Dziwna pensya, gdzie się człowieka pytają: co chce mieć na obiad, jakie owoce, jakie séry, o której godzinie? etc.

Miałyśmy szczęście, bajeczne szczęście, jak na Boulogne sur mer, a nawet, jak na Pernambuko i na Malabar. Umieściliśmy się w rodzinie, której byliśmy jedynymi pensyonatkami, a do tego psutemi, jak tylko rozpieszczone dzieci się psuje.

Dziwna to rodzina! Takich podobno wiele bardzo we Francyi; ale, zapatrując się z krajowego punktu widzenia, powtarzam, dziwna, przedziwna rodzina. Warto o niej pomówić, by się dowiedzieć, jakim sposobem we Francyi nędzy mało, a do majątku łatwo się przychodzi. Mama, tłuściutka niewiasta, o poczciwych szarych oczach, pełnych dobroci; najstarsza córka, Marya, blondyneczka, na jaką „miss” angielską wyglądająca; Henrytka, czarnooka i czarnowłosa; Elena, bardzo do matki podobna; śliczny

chłopak, Louis, mniej interesujący Raul, a nareszcie milutki 12 letni paż nasz, Georges, i Papadof. Mama, niedoszła hrabina de Béthune, córka bogatego przemysłowca, gdy raz owdowiała, nie wiem, czy z konieczności, czy z fantazyi, pozbyła się służby; więc sama piecze, gotuje, rondle szoruje, a ma dziwne upodobanie do mycia podłóg. Codzień wynajdzie pokój, potrzebujący gruntownego splukania; wtedy w najlepszym bywa humorze, śpiewa sobie arę z „*Cloches de Corneville*” i szoruje a szoruje z zapalem.

W niedzielę najmuje powóz i zabiera dzieci do lasu na orzechy, do tego lasu, który byłby do niej należał, gdyby hrabia de Béthune... nie był się z nią ożenił.

Córka Marya zna się na kuchni, jak Vatil. W ładnym kostiumie wygląda na ulicy jak jedna z najbogatszych turystek zamorskich; tylko koszyczek ją zdradza, a w nim ryby, krewetki, ostrygi, séry i inne delikatesy, które z targu dla nas przynosi. Gdy już rondle wymyte i kuchnia, niby salonik, świeci czystością, panna Maryetka bierze powieść francuską albo angielską i idzie czytać nad morze, a jój jasna, przezroczysta cera wygląda, jak gdyby nigdy dymu kuchennego nie zaznała.

Henryetka już tylko jednym zwichniętym skrzydełkiem o ziemię oparta; suchoty wyniszczyły jój delikatne rysy; w największy upał nawet siedzi otulona

szalami, tuż najbliżej pieca, i kaszle, aż się serce kraje; a takie ma smutne oczy i tak-by żyć chciała,—biedaczka!

Elena, niby kulawy trznadelek, śmieje się i trzepoce po domu, jedną nogi nie ma, ale za to podwójną dozę humoru i ruchliwości. Ludwik, łobuz nad łobuzy, zgryzota całej rodziny. Gdy się co złego zdarzy w Boulogne, siostry i matka wołają chórem: „*Cherchez Louis!*” i o dziwo! najczęściej na dnie każdej psoty Louis się odnajduje, tak z siebie zadowolony, że widocznie ma za idiotę każdego, ktoby sobie pozwolił nie dzielić jego przekonań.

Za to Raul?

— To dobry chłopiec — mówi panna Maryetka z zupełnym przekonaniem. — Louis nie chce nam oddać żadnej przysługi, hardy i nieposłuszny, ale Raul za dwa *sous* wszystko gotów zrobić. Gdy mama nie wie, co się dzieje z Ludwikiem wieczorem, to posyła Raula na zwiady, daje mu dwa *sous*, i Raul zawsze wyśpiewa wszystko.

O święta naiwności!

Georges zaś, nasz paż milutki, jest opatrnością domu tego. Nazywamy go paziem, bo nam różne posługi oddaje, a w rodzinie nosi tytuł „Figara”, jako ten, który tu i tam na zawołanie gotów.

Pozostaje Papadof. Otóż Papadof wstaje pierwszy w domu; gdy się posłyszysz miotłę na asfalcie podwórza, gdy się posłyszysz pierwsze kroki na scho-

dach, to dowód, że godzinn szóstą wybiła. Papadof już rozniecił ogień pod kotłina, już zamiótł sienie i kuchnię, już przygotował wody do użytku córki i wnuczki. Papadof (skrótowiec „Papa Adolphe”) to dziadek, patriarchy rodziny.

O ósmój, po napiciu się mleka, idzie do biura, gdzie jest pierwszym urzędnikiem u sławnego „maquignona”. On przeprowadza konie rasowe za Atlantyk, on je wysyła do Algieru i do Szwecyi, mówi po francuzku, po niemiecku i po angielsku, ma minę gentlemana, liczy lat 76 i rano podwórze zamiata. Dziwny kraj! dziwny kraj!

Ale bogaty, niezależny kraj.

Papadof trzyma w ryzie wszystkich; nawet wnuk Louis drży na widok groźnego marsa na czole dziadka, przed nim jednym zna respekt. Widocznie miotła, niecenie ognia w kuchni nie ubliża w tym kraju mężczyznom nawet, cóż dopiero kobietom!

Kochany Papadof! i on nas psuł, gdy miał czas po temu, a choć nieraz pewnie rad był połamać kości Bumowi za jakieś nowe psie figle, to gdy spojrział na pannę Kicię, wyciągał z kieszeni czekoladę i częstował nią psa i jego właścicielkę.

Ci ludzie zaci, pracowici, jak mrówki, odznaczający się wielką delikatnością, zawsze gotowi do oddania przysługi, nigdy jednak nie narzucają swego towarzystwa. Tym sposobem można mieć wszystkie wygody życia rodzinnego, pozostając zupełnie niez-

ależnym. Mimo odosobnienia nie zaznaje się jednak ciężaru pustki i samotności, będąc oddzielnym tylko ścianami od ruchu tego pracowitego ula. Dziwna sprzeczność! ul ten nosił godło willi: „*Far niente*”.

Kicia zapytała kiedyś pazia: dlaczego to godło, a nie inne?

— Nie wiem — odparł. — Papadof kupił ten dom już tak nazwany.

Po krótkim namyśle dodał:

— A może też ludzie przeculi, że tu pani mieszkać będzie?

— A może! — odparła zadumana Kicia, która apostrofę tę przyjęła bez urazy, jako zupełnie słuszną.

II.

Boulogne składa się z dwóch miast. Niegdyś, niegdyś, bardzo dawno temu, jeszcze przed Juliuszem Cezarem, miasta te były całkiem od siebie niezależne, nosiły różne nazwy i zamieszkane były przez odmienne narodowości.

Dolne miasto, zwane wtedy „Gesoriacum”, należało do Gallów; górne, pod nazwą „Bononii” albo „Bolonii”, było osadą rzymską. Już w IV-ym wieku po Chr. obie osady zwały się w jedną całość, nazywaną

różnie: to Bologne, to znowu Bouloigne, to nareszcie Boulogne.

Trudno o bardziej malownicze położenie miejsca kąpielowego. Rzeka Liana, o przejrzystych nurtach, toczy swe fale ku morzu i dzieli odwieczne Gesoriacum od Bononii, to jest miasto dolne od górnego.

Długą linią ciągną się wzgórza, falujące naksztalt wzburzonego morza, tuż nad jego wybrzeżami, i staczają się het, nad Cieśninę Kaletańska, ginąc w oddali.

Po tych wzgórzach pną się ulice, niektóre całkiem nowe, jak z igły zdjęte, inne nacechowane starożytnością; mury odwieczne, baszty zrujnowane, bramy, z początku Wieków Średnich datujące.

Na najwyższym szczycie wzgórza bazylika, niedawno ukończona, na ruinach stariej świątyni, wzniesionej również na ruinach odwiecznego kościoła, który wybudowany został na miejsce kaplicy, datującej jeszcze z III-go wieku, kiedy-to święta Helena spędzała czas jakiś w Bononii. Kapliczka zaś wystawiona została na gruzach rzymskiego *templum*.

Bazylika, poświęcona Najświętszej Pannie, jest miejscem pielgrzymek, odbywających się tu od czasów niepamiętnych.

Notre-Dame de Boulogne wslawiona jest cudami, a co rok w końcu sierpnia zjeżdżają się tu i schodzą tłumy pielgrzymów i to nie tylko z całej Francji; w oktawę święta Matki Bożej przybijają tu z Anglii

statki, pełne pielgrzymów, a procesya, odbywająca się w dniu święta, jest jednym z najwspanialszych i najuroczystszych widoków, jakie człowiek może oglądać.

Żeglarze z całej Europy wiedzą o Notre-Dame de Boulogne, i opowiadają piękne legendy o Jój łaskawości.

Za czasów króla Dagoberta nadzwyczajne działy się rzeczy. Otóż dnia jednego rybacy, sposobiąc sieci na połów, spostrzegli zdala na morzu jasność wielką.

Patrzą, patrzą i oczom nie wierzą. Płynie łódź bez steru i żagli, tylko na dwóch jój końcach siedzą aniołowie srebrzyści i wiosłują, a w środku łodzi wznosi się postać Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku.

Rybacy, zdumieni, padają na kolana, schylają głowy i nie śmia spojrzeć przed siebie. Gdy oczy podnieśli do góry, aniołów już nie było, a zamiast żywej Matki Bożej z dzieciątkiem, na łodzi wznosiła się tylko jój statua; łódź przy płynęła tuż, tuż do brzegu i osiadła na mieliźnie.

Rybacy cudowny posąg zabrali—i umieszczono go w pierwszej kapliczce, jaka była wzniesiona na tych „krańcach ziemi”, bo w owym czasie wybrzeża Galii krańcami świata nazywano.

Wielu jest takich, którzy twierdzą, że Matka Boża sama wyszła z łodzi i pośpieszyła do kapliczki, a potem kazała sobie na tém samym miejscu kościół wybudować, tym zaś, którzy się troskali o środki na

budowę, wskazała skarb w ziemi zakopany, z którego czerpać wolno im było.

Wzniósł się też prędko kościół wspaniały, a sława cudów, płynących z miejsca tego, rozeszła się szeroko i daleko.

W XII-ém stuleciu na tém samym miejscu święta Ida, matka Godfryda de Bouillon wybudowała piękną świątynię. Godfryd i bracia jego, Baldwin i Eustachy, w Boulogne się urodzili i szczególne mieli nabożeństwo do Najświętszej Panny, której cudowna statua przyciągała tłumy do siebie.

Wszyscy królowie francuzcy, aż do Ludwika XVI-go, i angielsey, aż do Henryka VIII-go, odbywali uroczyste pielgrzymki do Notre-Dame de Boulogne.

Ludwik XI-ty nadał Jój tytuł „hrabiny” całego Boulonnais i ogłosił się Jój wasalem, obiecując płacić roczną daninę, jako Swojej Zwierzchniczej. Daninę tę w formie wielkiego złotego serca wypłacali następnie regularnie wszyscy królowie francuzcy.

Trudno wyliczyć, ile razy Boulogne pustoszoną była przez najrozmaitsze hordy barbarzyńskie, ilu najazdom opierać się musiała. Saksonowie długi czas gospodarowali naprzemian z Normanami na tych wybrzeżach. Zostały po nich nazwy z obcym brzmieniem, zakończone na „ghen”, „thun”, „hove”, „berg”, „ercke”, a takie, jak „Ostrohove”, całą swą

formą dziwnie odbija od nazw francuzkich i niemieckich nawet.

Jednak od czasu, gdy cudowna statua do wybrzeży Bononii przybiła, kościół na Jój cześć wyrastał zawsze z popiołów zniszczonej przez barbarzyńców świątyni i cześć oddawana jój była bez przerwy po wszystkie wieki.

Dopiero w czasie rewolucyi francuzkiej rewolucyoniści pod nazwą „czarnej bandy” spalili znowu nietylko świątynię, ale i statuę, której zgubę poprzysięgli.

Ułożono stos wielki, umieszczono na nim figurę Matki z Dzieciątkiem i wśród okrzyków tryumfu podpalono. Statua spłonęła, popioły jój „czarna banda” na cztery strony świata rozwiała. Jedną tylko rękę zdołano uratować, i ta-to ręka czczona jest, jako największa relikwia, w nowo-wzniesionej wspaniałej bazylice.

A pielgrzymki płyną zewsząd nieprzerwanym potokiem, i Notre-Dame de Boulogne, jak dawniej, wsławia się cudami.

Śliczny widok roztacza się z góry, gdzie kopuła bazyliki się wznosi. Szeroka rzeka u stóp pagórków, w wąwozach wieże starych kościołów, na rzece port, las cały masztów i żagli i słupy pary, bijącej w górę na tle jasnego nieba. Tam dalej horyzont z morzem się zlewa; niewiadomo, gdzie się ocean kończy, gdzie się firmament zaczyna. Od południa

inne pasmo wzgórz, kamienistych, posepnych, stanowiących ciemną plamę w dzień pogodny pod bladym, srebrnawym niebem, nad jasno-zielonemi falami morza.

Tylko że dni pogodnych niewiele.

Gdy słońce zaświeci w całym blasku, gdy ozłoci kopuły, wzgórze, rzekę i morze, to cała „scenerya” nabiera tak odmiennego charakteru, że się nie poznaje już tego krajobrazu, z którym melancholia się zrosła.

To jest obce jakieś miejsce, piękne bardzo, ale nieprawdopodobne, jakby z ram snu, a nie rzeczywistości, wyjęte.

Te stare wieżycy, te ulice spadziste i przepaściste, ten port na rzece, te ciemne, posepne wzgórze, to morze bezbrzeżne—wszystko to razem jest tylko wtedy sobą, gdy po niebie szare chmury się toczą, gdy nad wodami i nad ziemią mgła lekka i przejrzysta się unosi, spowijając kraj cały w tajemniczą, pełną melancholii, zasłonę.

Wtedy tylko pojmuję się harmonię i urok tej natury, gdy, nie całość majestatyczna, ale tylko cząstka po cząstce smętnego obrazu wynurza się dla oka z pod mgły gęstej. Tam, daleko za nami, przed nami, dookoła, wszędzie nieskończoność mglista. Tylko z pośród mgły wypływa maszt i część portu odsłania się z tego pomroku, jakby atom życia, rzucony w wszechświat ciszy i mgły srebrno-popielatęj.

Już i port ginie, zasłona leciuchna spuszcza się i przykrywa go, a tam w dali, jak wąż czarny, mała „jetée” sunie łukiem wśród wód, które się z horyzontem zlewają. Ta mała „jetée” zasłania statki do portu wpływające; ją tylko widać, a w jej końcu wysmukłą latarnią morską, wznoszącą się, jak biały obelisk, wśród sinego przestworza.

Ech! na tej małej „jetée” co za niezrównane godziny, niepodobne do żadnych innych godzin, się spędza.

Wiatr wyje, huczy, szaleje, zabiera kapelusze, wyrwa parasole z rąk: więc trzeba z nim wejść w układy.

Zamiast kapelusza, miękka czapeczka marynarska, nieprzemakalna; parasole zostawia się pod opieką panny Maryi, jako najantypatyczniejsze i najmniej estetyczne z ludzkich narzędzi. Kładzie się płaszcze nieprzemakalne, tak dalece do wyrobu yankesów podobne, że nikt nie ośmieliłby się wziąć ich właścicielek za co innego jak za czystej krwi amerykańskie *ladies*; bierze się buciki nieprzemakalne,— i w drogę.

W drogę! na złość drobnemu, upartemu deszczukowi, na złość szalejącemu wiatrowi, na złość morzu, które pieni się i grozi, na złość wszystkim żywiołom.

Cała trójka: Bum, panna Kicia i jej stara opiekunka, idą na „jetée”.

Brrr! co za piekielna swawola wichru! Bumowi nietyło grozi zdmuchnięcie z „jetée”, co jego właści-

cielkom. Ktokolwiek głowę wznosi się o jakie półtora metra nad ziemię, ten musi walkę stoczyć z wiatrem, który huczy ogłuszająco:

— Nie pójdiesz dalej, nie pójdiesz!

Otóż właśnie, że pójdziemy! Tylko trzymamy się mocno jedna drugiej, a panna Kicia radaby i Buma wziąć pod rękę. Bardzo się o niego niepokoi; gdyby nie pewna stanowczość z mojej strony, zdjęłaby z siebie swój *impermeable* i włożyłaby na swego ulubieńca. „Bo jemu tak zimno, aż się trzęsie.”

Ale już jesteśmy pod zasłoną latarni morskiej i od północy wiatr nie ma do nas przystępu. Już nie nie widać, od strony ziemi, tylko cienie jakieś rysują się niewyraźnie — niewiadomo: kopuła bazyliki, wieże i wzgórze, czy też ciemniejsze chmury, zbite gęstą masą w jedném miejscu?

Dżdżu dosyć! Dżdżu aż nadto!... Z morza się unosi, z góry płynie. Tylko szum słycać wielki — to tak wichur z falami oceanu harcuje.

Więc Bum, Kicia i ja zasuwamy się w miejsce specjalnego naszego upodobania. Nikt-by tam nie trafił, bo komuż przyjdzie na myśl wsunąć się między całe stosy desek, przygotowanych — na co? nikt nie wie. Kicia dowodzi, że dla nas je tam położono, by nam wygodniej było leżeć, a z tryumfem pyta mnie, ile razy się tam wciśniemy: „Kto nas tu zaprowadził? Bum!” Jest to pretekst do wytargania Buma za długie uszy i otulenia go pledem. Mamy dwa pledy:

jeden dla nas, drugi dla Buma. Wszystkie moje aluzye, że on mniejszy, że ma futerko, że się bez pledu obejdzie, rozbijały się o „głuche ucho” Kici, jak sine fale o głaz, z pod latarni morskiej sterczący.

Te godziny dziwne, napół smutne, napół senne, napół oszalamiające, jakie się tam spędza!

Bez książki w ręku, bez myśli w głowie, wyciągnięte na deskach, jak na otomanie, z głową pochyloną nad morzem, spoczywamy tak długie, długie chwile. Bo tam właśnie sterczy głaz olbrzymi; wylania się pochyło z wód spienionych, gładką płytą pnie się łagodnie w górę, jakby na urągowisko bałwanom.

Co się tam za harce odbywają przy tym głazie poczeriałym! Co za zajadłość fal wzburzonych! Pędzi bałwan chytry, jakby przyczajony, pędzi prosto na tę oporną bryłę — już przyskoczył — trrrach! uderzył czołem o granit i rozbił się w pył drobny; ale za nim, zniecierpliwiony, gwałtowny, pędzi drugi, przeskakuje go z błyskawiczną szybkością i uderza z szaloną mocą. Tuż za nim trzeci i dziesiąty; coraz większe, coraz potężniejsze; na wyścigi rwą się do téj niemiej i urągającej im skały, pną się po jój ścianie, wskakują wściekle na kark granitowego potwora, rozbijają się w olbrzymi wodotrysk, spadają kaskadą po bokach, albo też zziajane plują pianą mętną na wszystkie strony.

I można tak patrzeć i patrzeć bez końca. Każda fala inaczej zabiera się do ataku, każda z inną siłą

i w inne tęcze się rozsypuje, a szumią i szumią, i tak jakoś duszę ukolyszą, tak myśl opanują, że się wpa-
da w dziwny stan odurzenia. Oczu już oderwać nie
można od tego widoku, świst wiatru i błysk fal, gra
wodotrysków i huk wodospadów hypnotyzują zupeł-
nie. Zapomina się o świecie, o czasie, o wszystkich
małostkach i drobnostkach życia codziennego, a go-
dziny lecą niepostrzeżenie i chciałoby się przedłużyć
je w nieskończoność.

Tylko tam zdala, z po za tego blade-sinego hory-
zontu, niewiadomo: z góry czy z dołu, z chmur czy
z oceanu, dobywa się głos dziwny, straszny przypo-
minający i ryk zarzynanego zwierzęcia i wycie
kroci psów naraz i huk grzmotu i coś jeszcze, coś
tajemniczego, niesłyszanego nigdy przedtem, a ro-
biącego dziwne wrażenie w tém bezbrzeżu osłon
mglistych, w tém szamotaniu się żywiołów. Bum nie
omieszka odpowiedzieć przeciągłym wyciem na ten
sygnał ponury.

To syrena morska, zwana mniej poetycznie
krową morską, dająca sygnały statkom na pełnem
morzu.

Oprócz niej, tam w oddali za wszystkiemi
jetées kołyszą się stateczki i piasek dobywają dniami,
miesiącami i latami dla pogłębienia portu. Statek,
już dostatecznie naładowany, daje sygnał portowi,
aby mu *remorqueur*'a przysłano, któryby go przycią-
gnął do przystani.

Każdy statek ma innego *remorqueur*'a, więc każdy
dobywa innego głosu na przywołanie niezbędnego
pomocnika. A co głos, to nowa harmonia, ale har-
monia obmyślona w piekle do użytku wszystkich
upiorów, jędz, wiedźm i złych duchów.

III.

Boulogne ma dwie *plaże*: tak zwaną „wielką”,
gdzie setki namiocików, krzeseł, foteli wykładanych
z baldachimami i z parasolami; gdzie tysiące zamor-
skich przybyszów w najdziwniejszych strojach;
gdzie krokiet kwitnie, a dno piaszczyste morza po
odpływie podzielone jest na kilkadziesiąt placików,
poliniowanych w przeróżne znaki, niezrozumiale dla
niewtajemniczonych; gdzie kule się toczą i różne
kabalistyczne wykrzykniki w powietrzu rozbrzmie-
wają. Tam siatkę rozstawiono i piłki ponad nią pędzą
w różnych kierunkach, a niczego się tam dosłuchać
nie można, oprócz krótkich wyrazów: *Ont, Dence,*
Game, Play, rzuconych energicznie, jak komenda
wojskowa. A ci, którzy gonią za piłkami, odbi-
jając je lub przesyłając, tak są pochłonięci tą waż-
ną sprawą, tak skoncentrowali uwagę swoją na
placu *tennisa*, że świat mógłby runąć, morze mo-

głoby z granic swych wystąpić, a oni nie przewaliby party za żadną cenę, za żadne ziemskie obietnice.

Istne mrowisko na tój wielkiej *plaży*; można się tam przyglądać obrazkom najciekawszym i najśmieszniejszym i najpoetyczniejszym. W Boulogne zjeżdżają się głównie Angliacy i Amerykanie.

Niemców, Francuzów, Włochów, etc. nie widuje się: jest to *plaża* angielska. Angliacy są tu u siebie — tylko ich język się słyszy, tylko na ich ekscentryczności się patrzy.

Widuje się tam pewną uroczą mamę, o cerze, jaką się tylko w Albionie spotyka; siedzi ona prawie zawsze na tém samym miejscu, zagłębiona w długim fotelu, do którego przymocowany jest na bambusowej lasce wielki parasol w formie kopuły; dokoła zwieszają się z niego długie kolorowe frendzle, pomieszane z dzwoneczkami, które pobrzękują, ile razy wiatr silniej o nie trąci — i wtedy wzbija się w przestrzeni harmonia delikatna, czasem do jęku, czasem do arpeggia słowiczego podobna.

Młoda a uroczą mamę siedzi tam pod tą fantastyczną kopułką, zwykle z książką, czasem z robotą w ręku; a co chwila przybiegają do niej trzy dziewczynki, wyjęte z obrazków *Kate Greenway*.

Dziewczynki śliczne ubrane, sukienki ich podniesione w górę, jak tuniki, a nóżki gołe wyżżej kolan; jedna ma zawsze coś z konewką do roboty,

druga z łopata, a trzecia z siatką do łapania krewetek.

Cudne są, czy się kłóca, czy śmieją, czy ocierają bosc nóżki z piasku i z mozolem wielkim naciągają pończoszki.

Jak trzy motyle różnobarwne, przyfruwają do mamy, przytulają się do niej, opowiedzą jakiś nadzwyczajny epizod, przy którym mama uśmiecha się ślicznie, ale uśmiech ten jest smutny.

Za fotelem mamy stoi taburecik, i na tym-to tabureciku siada często jakiś pan, wysoki, jasny blondyn o szlachetnym profilu — niezmiernie dystygowany, ale rysy jego nacechowane są również wielką melancholią; oczy ma długie, wązkie, o fijołkowym odbłasku, o ciemnej rzęsie; w oczach tych maluje się dusza szlachetna, ale zmęczona; bezna dziejny smutek w nich przebija.

Młoda, uroczą mamę, gdy tylko tego wysokiego pana zobaczy zdaleka, składa książkę, poprawia się na fotelu, układa fałdy pleda, który ją okrywa, i — nie wiem, czy to przywidzenie, czy prawda — ale zdaje mi się, że na jej twarz przejrysto-białą występuje lekki rumieniec, który natychmiast znika.

A może to tylko odbłask kapotki, ponsowym materyalem podbitéj...

Już ten wysoki pan jest tuż, tuż, blisko, już do niej rękę wyciąga i zamieniają *shake hands*. Ona podnosi na niego oczy o zielonawej morskiej

barwie, oczy, w których łza z uśmiechem się łączy.

Wielka to niedyskrecya tak ich obserwować, ale oni nic o tém nie wiedzą, a wzrok mimowoli ku nim się kieruje.

On usiadł za nią, zamieniając kilka słów, potem patrzy na morze, i tak w zadumie, czy w jakim marzeniu, pogrążeni, siedzą cicho, nie mówiąc prawie; tylko do dziewczynek się uśmiechają, gdy która przybiegnie, a każda z nich temu panu rączki zarzuca na szyję, na znak powitania; gdy zaś on chce nadmorskiego motylka przytrzymać, ten mu się wyrывa i pędzi znowu kapać bosa nóżki w morzu.

Długie chwile tak spędza tajemnicza ta para; oboje zapatrzeni w bezmiar obrazu, który się roztacza przed nimi. A potem nadchodzi gruby, rudy jegomość, o nabrzmiąłych ustach i małych oczkach z czerwoną obwódką; wtedy — może to znowu złudzenie — ale na klasycznie piękną twarz młodej mamy bije nowy rumieniec; ten pan wysoki wstaje, smutek znika mu z oczu, a na jego miejsce jakiś zacięty niezadowolony wyraz w nich przebija.

Znowu *shake hands* zamieniają; wysoki pan ustępuje miejsca małemu, grubemu, i stoi chwilę obok pięknej pani, poczem żegna ją i zbliża się do dziewczynek; pomaga im okopać wałem obronnym forteczkę, którą z piasku wystawiły, uśmiecha się do nich dziwnie słodkim, ale i smutnym, uśmiechem,

zdaleka posyła ostatni już ukłon pięknej pani i rudemu panu i znika.

Piękną pani oczy gonią za nim chwileczkę; potem znowu na morze się kierują, a na twarz jej, choć taką uroczą, pada cień beznadziejnego smutku i harmonizuje ze smutnem morzem, ze smutnem niebem. Ona tworzy jakby konieczną część tej melancholijnej całości.

Dziewczynki już nie mogą potem wywołać uśmiechu na usta matki. Nieruchoma, jakby skamieniała, siedzi, oczu od morza nie odrywając. Dzieci zwracają się do rudego pana i wołają: — *Papa, look that.*

Zawsze mają coś ciekawego do pokazania; papa spojrzy to na muszlę, to na gwiazdkę morską, i wstaje, poziewając, a w chwilę później rozpoczyna nową partję *tennisa*, przy której podskakuje zręcznie jak niedźwiedź, z czoła pot ociera i sapie, ale nie spudłuje nigdy.

To jeden obrazek.

Są inne, więcej na przyszłość obiecujące.

Chudszy od zgłodniałego komara, amerykanin w kraciastym paltocie i, do jutrzeńki podobna, młoda amerykaneczka, z włosami rozpuszczonemi, jak fala złota, siedzą w kabince płócienną, zawsze razem, na bardzo wąziutkiej, jednoosobowej ławeczce, przylutni do siebie. Zdawałoby się, że oboje naraz mówią bezustannie, bo ciągle ustami poruszają; po bliź-

szém jednak zbadaniu tój sprawy okazuje się, że poruszanie to pochodzi z nienasyconego apetytu; nie można ich spotkać, aby czegoś nie jedli, nie żuli, albo nie częstowali się wzajemnie orzechami, cukierkami, ciasteczkami, czemkolwiekbądź.

Panna Kicia znieść ich nie może. Nazywa ich „krabami” i dowodzi, że Bum traci apetyt, ile razy tę parę spotka na spacerze. W ogóle ani Kicia, ani Bum nie lubią wielkiej *plaży*; Kicia z powodu światowości, która tu panuje i tych par różnych, których zachowanie się razi jój pojęcia „*du correct*”, a pewnie najwięcej dla tego, że sama ma sobie za obowiązek zachowywać się „*correcte*” na tém modnym wybrzeżu, że tutaj nie odważyłaby się boso za Bumem po wodzie upędzać, a na małej *plaży*... to co innego; różnie się tam dzieje.

Bum zaś nienawidzi tego zgiełku światowego, potępia sposób, w jaki się ludzkość zabawia; piłki, pędzące w powietrzu, niepokoją go; kule, toczące się po ziemi, emocje nieprzyjemne mu sprawiają od czasu, kiedy jedna młoda *miss* kulą skrokietowaną nieostrożnie natrafiła na łapę Buma, a Bum kuleć zaczął i, skomląc żałośnie, do nóg Kici się przyczółgał, a Kicia się rozplakała, wyrażając (szczęściem, że po polsku) młodej *miss* pomstą niebios i dowodząc, że jest bez serca, bez czci i wiary. Od tej-to bolesnej i pamiętnej przygody rzadko kiedy pokazujemy się na wielkiej *plaży*, choć mnie tam ciągnie ta-

jemnica. Ta piękna, smutna pani i ten sympatyczny, wysoki mężczyzna, tak często na pamięć mi przychodzą.

Swoją drogą Bum to intrygant i komedyant; nikt mi tego z głowy nie wybije: ile razy chce się wykreśćić od czegoś, co mu nie trafia do przekonania, tyle razy udaje kulawego. To jest „*truc*”, niezawodzący go nigdy, bo Kicia nie omieszka brać kalectwa na seryo, i zwykle Bum zostaje panem położenia, dzięki tój nikczemnej strategii.

IV.

Na małej *plaży* cisza.

Gdy morze przypływa, wtedy posuwa się czasem aż pod sam olbrzymi wał z piasku, na którym w zwykłych okolicznościach Kicia z Bumem gospodarują, jak u siebie.

Całą tę górę piaszczystą zagarnęli na własność i gdy czasem, ale rzadko, intruz jaki tu się zabłąka, Bum wyszczekuje z furją, a Kicia zachęca go pocichu do wyraźniejszego ataku, któryby intruza przekonał, że niebezpiecznie jest zapuszczać się w tę stronę. Ale Bum zachęty tój zrozumieć nie chce; całe szczekanie odbywa się z po za fald sukienki.

panny Kici, za któremi bezpiecznym się czuje, platonicznie tylko wygrażając. Jeżeli kiedy natura ludzka w psią postać zaszczipioną została, to natura Tartarina du Tarascon siedzi niezawodnie w Bumie.

Na małej *plazy* cisza, morze odpłynęło, z po za mgły widać zdala kilka kabin, snujących się z gośćmi kąpielowymi tam i napowrót.

Ale oprócz szmeru fal i tęsknego wiatru nie tu nie słyhać.

W górze piaszczystej są rozmaite zakątki, jamy, zagłębienia, jedne w formie szeslonga, inne—łózka, inne—maleńkiego pokoiku; stosownie do siły wiatru zasuwamy się głębiej w te piaszczyste szczeliny, albo też zostajemy na powierzchni.

Czy to szeslong, czy „buduarek”, tak przez nas zwany, wyklada się pleciem; jeżeli większy deszcz, to się parasole zamiast dachu nad tém improwizowanym mieszkaniem rozpina: i oto gotów jest namiot wygodny, cichy, miękko usłany.

Wtedy Kicia otwiera książkę, najczęściej powieść pani Craven; jój towarzyszka zagłębia się zawsze jeszcze w Dawidzie Copperfeldzie, bo Dickens krótkością dzieł się nie odznacza, i czytają. Bum popada w stan uspienia tak rozkosznego, że chrapanie jego stanowi dość głośną nutę w nadmorskim akordzie.

Dobrze nam tu, bardzo dobrze. Od czasu do czasu podnosi się oczy i w dali za mgłą jakies cienie snują się—niewiadomo: w obłokach, czy na morzu? To ło-

dzie rybaków, czarne, o ciemnych żaglach, suną cicho, cichutko, jak duchy pokutujące.

A może to duchy, doprawdy? Sławne, malownicze *matelottes* bulońskie tyle razy widziały na własne oczy łódź taką, na której mężów spodziewały się powitać, mężów wracających z dalekiej wyprawy, a tu żagle w mgłę się rozplynęły, statek w fale morskie się zamienił, i nic nie pozostało, oprócz złowieszczonego przecucia w sercu żony, że mąż nie wróci już nigdy.

Wiatr ucichł — morze się ukolysało — i taka cisza zapanowała, że w tej siniej otchłani przed nami, nad nami, dokoła, możnaby się poczytać za jedynie żyjące stworzenie; pustka nieprzebrana. Czy tak świat cały nie wyglądał, póki się „wody” od „suchej” nie oddzieliły? Aż się zimno robi, aż ciężar jakiś na duszę spada. Chciałoby się otrząsnąć z tej martwoty.

Morze uciekło daleko, nie słyhać uderzenia fal o wybrzeże, nie słyhać.

Raptem, gdzieś, z po za wyniosłości piaszczystej, rozchodzi się głos potężny — baryton, płynący z szerokięj, silnej piersi, i znana w Boulogne pieśń rybaka brzmi w przestrzeni, pieśń, która w Średnich Wiekach początek bierze, a opiewa długie męczeństwo i zgon — śledzia.

Niestety, cisza została już przerwana! za owym głosem odezwał się drugi i trzeci, potem kilku ryba-

ków przeszło tuż koło naszego namiotu. Bum tego absolutnie nie znośli: zerwał się oszalały z gniewu, właśnie w chwili, gdy Kicia opierała o jego grzbiet, jak o improwizowany pulpit, książkę; w książce kartki były niezeszyte i pofrunęły na skrzydłach wiatru, który zerwał się nie w porę; równocześnie dach namiotu, potracony przez tenże wiatr, a poruszony w fundamentach przez gwałtowne ruchy Buma, runął także i, podskakując, tocząc się, to znowu fruując tuż nad ziemią, pędził ku morzu.

Bum tymczasem w trzech susach znalazł się obok najeźdźców; jeden z nich, odpierając atak, podniósł nogę do góry; Bum, skowycząc żałośnie, podał tył nieprzyjacielowi i, skurczony, przypadł do nóg swojej opiekunki, zwijając się w kłębek; wszystko to miało znaczyć, że został ciężko ranionym w potyczce, a była to nowa blaga, bo oprócz niewinnego poruszenia nogą ze strony rybaka, żadna, najłżejsza choćby, kontuzya Bumowi się nie dostała.

Niepotrzebnie tylko kompromitował nas swoim zachowaniem się, bo rybacy wybuchnęli głośnym śmiechem; a im bardziej się śmieli, tém groźniej faworyt skowyczał, tém tylko broniąc się przeciw upokorzeniu, które odczuwał w swój aroganckiej duszy.

Rybacy poznosili nam i antypatyczne parasole i kartki rozsypane; tymczasem ciemno się zrobiło. Trzeba wracać, więc dążymy ulubioną dróżką przez całe Capécure, czyli dolną częśćią miasta, skraju je-

go się trzymając. Od morza dzielą nas już góry, tylko nie te nasze piaszczyste, ale inne, ciemne, strome, w mroku nocnym do ruin olbrzymiej fortecy podobne. Tajemnicze i ponure, rysują się czarną masą, a choć niewysokie, zdają się w obłokach ginać, tak nisko chmury snują się nad ziemią.

Tu i owdzie światelko przedziera mglistą zasłonę, wyżej, niżej, a domów nie widać, tylko światła te, jak błędne ogniki, płoną na stokach czarnej masy gór.

Deszczyk drobny znowu w jedną całość ziemię z firmamentem zlewa; wszysey, którzy się w tym zmroku poruszają tajemniczo i cicho, jak smętne dusze czyścicowe, zdają się błędzić.

Aż tu zdala odzywa się dzwon jeden głosem uroczystym, rozlewającym się jak fale morskie w przestrzeni, a za nim drugi mniejszy i jeszcze mniejszy, który wobec tamtych powag jakby dziecięcym, pieszczotliwym głosem odmawia wieczorne — *Ave Maria, gratia plena.*

Ten chór, śpiewany przez rozbujane dzwony w tej mglistej nieskończoności, w której nic już nie widać, dziwne robi wrażenie.

Wrażenie czegoś słyszanego już gdzieś, kiedyś w przeszłości, tylko niewiadomo gdzie i kiedy. Budzi się w duszy echo życia, niepodobnego do egzystencyi, którą się tutaj wie dzie; to, co widzimy, jest razem i obce i znane; echo to nieraz się odzywa,

tylko niewiadomo, z kąd pochodzi, gdzie jest to, co mu dało początek.

V.

Tymczasem *Monsieur Louis*, ów syn marnotrawny, niepoprawny, zgryzota rodziny, ukochanie małych białych głów bułońskich, ten urwis nad urwisami, przebiera miarkę cierpliwości matki i Papadofa.

— Ten chłopak nie ma sumienia! — woła dnia jednego Papadof, gdy o czwartej rano był już z miotłą na stanowisku asfaltowanego podwórza. — Nie ma sumienia!

Nietylko sumienia nie ma *Monsieur Louis*, ale i strachu, skoro się nie boi wrócić o czwartej zrana, z kąd? niewiadomo — choć wie, że to nie ujdzie wiedzy oka Papadofa, dzierżącego berło władzy w rodzinie i to dzierżącego nie czysto-platonicznie, szczególnie, gdy z miotłą stoi na podwórzu.

Podobno zdarzyło się tragiczne zajście, po którym chłopcu „ślicznemu jak malowanie” postawiono *ultimatum*:

Albo się zabierze do pracy i po nocy włóczyć się się nie będzie, albo wikt mu zostanie odjęty.

Pracą młodego bohatera był fortepian. Papadof, praktyczny człowiek, dowiedział się, że w Boulogne profesorowie muzyki biorą po ośm i dziesięć franków za godzinę lekcyi, więc poprzysiął, że wnuk jego będzie artystą.

Tymczasem *monsieur Louis* nauczył się właśnie dosyć na to, aby pannom głowy zawracać i gdy na fortepianie pod jego palcami zagrzmiała nieśmiertelna *Prière d'une vierge* nieśmiertelnej Bądarzewskiej, żadne serce niewieście się nie ostało; panna Marya, siostra jego, mawiała z rozpaczą: *Elles sont folles! elles sont décidément trop bêtes, c'est incroyable, mais elles l'aiment.*

Faktem jest, że pan Ludwik, pomimo perswazyi i namów, tak moralnej jak i fizycznej natury, nie chciał przekroczyć Rubikonu, jakim był dla niego drugi zeszyt etiud Kramera, i oddał się cały walcom z *Cloches de Corneville*, dla efektu zaś rąbał namiętnie *Prière d'une vierge*.

Gdy mu po owiej pamiętnej nocy postawiono tę alternatywę, o której wyżej, on postawił drugą: Lekcyi dawać nie będę, to ogłupia; nie jestem bałwanem, bębnow nienawidzę, a gamami pogardzam, jako ostatecznym wynikiem ludzkiego idiotyzmu. Będę kupcem. Poślijcie mnie do Anglii, a zniknę wam z oczu, skoro sprzysięgliście się na mnie. Już mam na widoku zajęcie i wiem, dokąd się udać; mój ojciec chrzestny tak mi poradził.

Ostatni argument wszystkich przekonał (w areopagu sędziów zasiadał Papadof, matka i siostra). Imię ojca chrzestnego było dostatecznym, by zważyć opozycję. Ojciec chrzestny posiadał piękny hotel, liczną służbę i cugi własne i kochał urwiska *Louis*, miał do niego słabość, tak, jak mieli wszyscy, z wyjątkiem rodziny.

A zatem wyrok zapadł: *Louis* jedź do Anglii.

Nazajutrz po tém niezwykłym zajściu w gronie rodziny panna Marya przyniosła nam śniadanie, elegancko podane: czekolada dla jednej, kawa dla drugiej, zupka dla Buma, *flûtes* i *pistolets*, sławne podłużne bułki.

— Więc cóż? — pytam, wtajemniczona przez nią w rodzinne sprawy. — Cóż, pan *Louis* wyjechał bez przeszkód?

Ona odetchnęła głęboko, jakby ostatni ciężar zrzucić chciała z serca, i rzekła: — Wyjechał! Już go niema! Ja go bardzo kocham, ale Bogu dzięki, że wyjechał. *C'était une calamité* — z tym chłopcem. Tylko baki zbijał. Papadof i mama odprowadzili go do portu, na sam pokład mu towarzyszyli: z nim trzeba być ostrożnym; mógł się gdzie przyczaić i zostać, bo w ostatniej chwili odechciało mu się jechać. Ale nie! Papadof przypilnował. Pod ich oczyma statek ruszył w drogę, prosto do Folkstone. Już w téj chwili *Louis* jest w Londynie; tam go przyjaciel ojca chrzestnego weźmie w kluby, oho! Nie bę-

dzie on miał czasu baków zbijać! Mama i dyscyplina dziadzi odpoczną trochę.

Tak tedy owa zgryzota rodzinna została usunięta. Bo Kicia nie nazywa nigdy ślicznego chłopca *Monsieur Louis*, ale *Monsieur Souci*.

Chociaż on dużo więcej na *Sans-souci* wygląda, taką ma zawsze rozradowaną fizyognomię: taki z siebie zadowolony. Cały dzień, ile razy gości w progu willi *Far niente*, wyśpiewuje jak skowronek, a głos ma dźwięczny i słuch dobry.

Mimo tych rozlicznych *La donna e mobile*, albo *Dans mes voyages*, albo *O Paris!* mimo tego wszystkiego, Kicia nie cierpi antypatycznego jęj pana *Souci* i ledwie mu noskiem kiwnąć raczy, gdy się z nim spotka.

Nazajutrz po wyjeździe *Sans-souci* nie słyszymy ani *Prière d'une vierge* ani *Dans mes voyages*; spokój wielki panuje. W téj ciszy słyhać nieobecność najgłośniejszego członka rodziny.

Zmęczone po kąpieli odbywamy siestę w naszym pokoju, gdy z ulicy dochodzi nas dobrze znany głos chłopczyzny, wątłego, wybladłego, który roznosi „brioszki” i poleca je, wołając na minorową nutę:

— *Chauds! chauds! Ça brûle! Petites brioches à la Mascotte!*

To nawoływanie jest błagalne jakieś, jak smętna monotonna zwrotka zbliża się, brzmi trochę silniej pod naszymi oknami, w których natychmiast ukazuje

się złota główka panny Kici i kasztanowata Buma; Kicia rzuca kilka *susów* swemu protegowanemu i w oddali niknie głos smutny, przeciągły a melodyjny. *Chauds! chauds!* Kicia kończy zwrotkę w pokoju
Ça brule! petites brioches! à la Mascotte!

I wyciąga tony i powtarza *da capo al fine*, aż póki nie usłyszy zniecierpliwionego napomnienia:

— Jeżeli jeszcze raz powtórzysz, to razem z Bummem pójdziesz za drzwi.

Niby mocno przestraszona, nuci już tylko półgłosem, ale nuci dalej *Chauds! chauds!*; tłumaczy mi, że musi nucić, bo owa zwrotka prześladowa ją dniami i nocą, jeżeli jęć pięćdziesiąt razy z rzędu nie powtórzy. Miła perspektywa!

Wieczorem robi się jakiś dziwny popłoch i szelst i zamęt w domu. Coby to było?—nie wiemy.

Nazajutrz pazik nasz wniósł śniadanie i rzucił tylko krótkie *Bonjour*, nie zatrzymując się na pogadankę, jak to było jego zwyczajem.

Wogóle dzień cały wszyscy mają miny tajemnicze i jakby powarzone.

Następnego dnia tajemnica wisi już widocznie nad domem. Po schodach szepty. Papadof nie przystawał na drodze, by nam powiedzieć: „Będzie jeszcze piękna pogoda; zobaczą panie, że będzie” — choć nigdy nie zaniedbywał tego uczynić, przekonany, że chmurne niebo Boulogne jest dla nas zmartwieniem.

Papadof tedy nie ma nam nic do powiedzenia.

Wieczorem słyszymy wyraźnie kilka tonów znanego walczyka *Dans mes voyages*.

Kicia podnosi na mnie przestraszone oczy i woła:

— To głos „Souci”.

— Ale gdzie tam, pewnie paż śpiewa; „Sans-souci” dawno bruk londyński zbija.

Moje stanowcze twierdzenie nie przeszkadza, że w chwili, gdy panna Marya wniosła część obiadu, złożoną z półmiska krewetek, Kicia odzywa się do niej:

— Wie pani? Przysięgłabym, że słyszałam głos pana Ludwika.

Panna Marya zapłonila się, biedactwo, gorzej od tych krewetek, które niosła, i palec położyła na ustach na znak tajemnicy.

Patrzyłyśmy na nią zdziwione.

— Nie panie nie powiedzą? nikomu?

— Nie!

— On wrócił.

-- Kto? pan „Sans-souci”?

— Ludwik!

— Nie może być!

— Doprawdy!

— I co?

— I dostał baserunek od Papadofa.

— Ale dlaczego wrócił?

— Ba, dlaczego? On nie chce powiedzieć. Mówi, że mu było tęskno, że byłby się tam powiesił z roz-

paczy, ale cała rzecz jest w tém, że widzi pani, ten niegodziwiec zakochał się po raz setny w życiu i chce się żenić. Ten gołowąs, ten żółtodziób! Dowiedział się, że mu pannę oddali na pensję do Londynu, dlatego raptem poczuł powołanie na kupca i do Londynu chciał jechać. Ale w dzień wyjazdu dowiedział się znowu, że panna wróciła; więc mu się jechać odechciało, temu drapichrustowi. Ale Papadof go przypilnował: jechać musiał; tylko że wrócił jeszcze prędzej.

— I co teraz będzie?

— Papadof zamknął go na klucz na górze, o chlebie i wodzie. Nikt w całym mieście nie wie, że wrócił. On sam czuje, że się zbłądził, bo piał o tym wyjeździe, jak kogut. Więc teraz siedzi cicho i marłby z głodu, gdybym mu nie zanosila, co się da. Ale gdyby to Papadof wiedział! miałabym ja się z pyszna! Padadof chce tego łobuza, tego skureczypałkę, wziąć głodem; ale jak tu głodzić brata rodzzonego? co? I on śpiewa jeszcze, zbereźnik!

Tu panna Marya ręce załamała ze zgrozą.

Staraliśmy się pocieszyć ją i natchnąć otuchą, że z czasem zgryzota rodziny, syn marnotrawny, może jeszcze na drogę enoty powrócić.

Ale po tym ostatnim akcie buntowniczym cała rodzina zwątpiła, aby w najdalszej choćby przyszłości lampart ten na przykładowego baranka się zamienił.

III.

Kąpiele morskie w Boulogne zostały otwarte już 1824 roku, ale od téj pory niewiele zrobiono tu dla gości. Jest wprawdzie kilkanaście wielkich hoteli, wszystkie przepelnione Anglikami w czasie sezonu, ale drożyzna w nich bajeczna, prawie nieprawdopodobna.

Drożyzna ta tém bardziej powinna zrażać, że stosunkowo do niej niema się tych przyjemności, jakie się mieć może i powinno. Przedewszystkiem hotele są po większej części zbudowane wśród miasta, nad rzeką, t. j. tuż przy porcie, a ci, którzy porty znają, wiedzą, że czystość i świeżość powietrza nie jest ich zaletą.

Mieszkańcy hoteli nie mogą korzystać z wielkiej przyjemności, jaką jest sąsiedztwo morza. Nie mogą czerpać o każdej godzinie morskiego tchnienia na tarasach i balkonach. Piękne wille, a choćby tylko skromne szaleciki na morskiem wybrzeżu, są prawie nieznanne w Boulogne.

Że Anglicy patrzą przez szpary na braki bulońskie, to tylko dowodzi, że do Boulogne blisko, że w hotelach wszystko zrobiono, by się zastosować do upodobań sąsiadów-wyspiarzy, którzy też nigdzie po za granicami swego rodzinnego kraju nie czują się tak u siebie, i między sobą, jak tutaj.

Ale te same braki sprawiają, że oprócz Anglików

innych cudzoziemców nie widać tu prawie. Za to przyszłość obiecuje się świetnie. Przedewszystkiem projekty są olbrzymie.

Bulończycy przepowiadają swemu portowi pierwszeństwo między portami europejskimi; port ten powiększają na wielką skalę i cieszą się dzisiaj już świetną erą, jaka dla miasta zabłyśnie; cieszą się optymiści.

Pessymiści zaś dowodzą, że z powodu jakichś prądów wiatru, najczęściej przeciwnego, głębokości morza, etc., port ten nie ma wielkich widoków, choć już tyle milionów kosztował.

Kto ma słuszność? —nie wiem, bo się na tém wszystkiém nie znam, choć mi to wykladał bardzo długo i szeroko, z mapą w rękę, stary kapitan *en retraite* bardzo komiczny człowieczek, który sobie wbił w głowę, że marynarki, choćby tylko teoretycznie, mnie wyuczy. Boimy się okrutnie spotkać zgarbionego i kaszlącego „Père Arago” (jak go Kicia nazwała), bo nie omieszka on wyciągnąć zaraz mapki z kieszeni i wyłożyć nam, że te czerwone punkciiki znaczą *une écluse de chasse à trois pertuis*, a ta chorągiewka niebieska odnosi się do jakiegóś *cale au bois*.

Tłumaczy nam znaczenie *semaphore*, *rade semiclose* i wiele innych mądrych a tajemniczych rzeczy. Nigdy jednak nie mam odwagi powiedzieć mu, że choćby mi to wykladał do końca świata i na tamtym świecie jeszcze, nigdy tego nie zrozumie.

Słucham cierpliwie, tylko gdy się zakaszle, wtedy dowodzę mu, że niezdrowo jest mówić tyle na świeżem powietrzu; że już pojęłam wszystko, —i uciekamy tém żwawiej, że Kicia jest przekonaną, iż papa Arago zażywa tabakę, i że mapka jego tabaką pachnie.

I mnie tak się zdaje. W każdym razie trzeba zaparcia się siebie, by nad nią głowę pochylić, ale stary taki dumny, gdy słuchać chcemy, że trudno odmówić mu téj przyjemności.

A potem umie on wiele cudownych historyj i opowiada je z takim zapalem, że nieraz słuchamy z zaciekawieniem. Wszystko, co pamięć jego przechowała, dzieje się na morzu; straszne przygody trafiają się jego bohaterom; ludożercy, rekiny, hyeny, tygrysy bengalskie, skorpiony, węże boa: to są niezbędne akcesorya dramatów, które działy się w rzeczywistości, albo w imaginacyi *du père Arago*.

A koniec zawsze ten sam: „dzielny marynarz bronił się długo, aż nareszcie z sił opadł i ludożercy zrobili z niego potrawkę na drugie śniadanie; albo też rekin zaniósł go swoim małym w głąb morza”.

Père Arago chełpił się przy każdej okazji, że raz kiedyś wydrukowano w *Revue maritime* list jego, który brzmiał jak następuje:

„Pismo panów zostało źle poinformowane, oprócz mnie bowiem, nie dwóch, nie dziesięciu, ale wszyscy zginęli w téj tragicznej katastrofie.”

List ten „papa Arago” recytuje na pamięć. Kicia, pod tchnieniem pychy przewrotnej, rzekła raz:

— Wie pan, że *ona* także drukuje i że całe książki nawet pisze?

Stary spojrział na mnie niedowierzająco.

— Doprawdy — mówi Kicia — sławne książki, tłómaczono je już na wszystkie języki, nawet na chiński, arabski i japoński.

Stary głową zaczął kiwać; następnie zakaszłał się i kaszlał długo bardzo; a gdy nareszcie przyszedł do siebie, schwycił moją rękę i zaczął nią wstrząsać z niesłychaną energią, wymawiając w kółko tylko dwa słowa *Quel honneur! Quel honneur!* Co to miało znaczyć, nie dowiem się pewnie: czy honor dla książek, że je pisać raczyłam, czy dla mnie, że się pisać dały, czy dla Chińczyków, że je tłómaczyli, czy dla niego, że się o tém dowiedział?

Od tej pory zbliża się do nas z pewną nieśmiałością, a witając mnie i żegnając, nie omieszka patrzeć mi zblizka w oczy, kiwać głową i powtarzać tajemniczo: *Quel honneur!* Widocznie należy do rzędu tych naiwnych, którzy sobie wyobrażają, że tylko bardzo mądrzy ludzie potrafią pisać książki. Od tej pory „nie ma już śmiałości” — jak mi to kiedyś powiedział — uczyć mnie, co znaczą różne zygzaczkki na mapie. Przypuszcza widocznie, że ja prędzej mogłabym wtajemniczać go w znaczenie kółek, gwiazdek i tym podobnych hieroglifów. Nie odbieram mu tych

złudzeń, bo rzeczywiście owa mapka, kto wie, czy i tabaką nie pachnie?

Rezultatem tego jest, że o porcie bułońskim nie dokładnego powiedzieć nie mogę; wiem tylko, że się tam snuje mnóstwo „matelotek”, najładniejszych kobiet, jakie danem jest spotykać na naszej półkuli.

Jeżeli co do ich urody mogłyby się zdania różnić, to z pewnością nie co do ich figur.

To żony, córki, siostry rybaków; jeżeli niektóre bogate są i żyją dostatnio, to za to inne w strasznej biedzie, w nędzy nieledwie są pogrążone, a wszystkie, czy bogate, czy biedne, ciężko pracują.

Dziwna rzecz! Pomimo tej pracy i tej prozy życia, o nic im tak nie chodzi, jak o piękność i wysmukłość figury. Wszystkie ubierają się na ten sam wzór: czepee o szerokich frezach, które się w tył głowy i naprzód wygiąć dają i tworzą, stosownie do woli, albo aureolę, albo ramę białą szeroką, zupełnie podobną do tych, jakie sercanki noszą.

Bogate płacą za czepee takie po 50 i więcej franków, prawdziwe koronki i haft piękny zdobią ich głowy. Wszystkie bez wyjątku noszą krótką brunatną spódniczkę z materyału, odpowiedniego do możności, chusteczkę kolorową, trochę dekolowaną na szyi i na krzyż złożoną na piersiach, fartuchem do pasa przymocowaną, — stanik zawsze obcisły, a pod nim rysuje się figura osy. Tak wciętych w pasie a prawidłowo zbudowanych kobiet nie widuje się

w prostym, spracowanym ludzie; jak łanie, jak topolki, wysznurowane, zdawałoby się, że dwiema rękoma objąć-by je można. Jak one się w tych nadzwyczajnych gorsetach schylać mogą: to tajemnica. Nawet stare mają pretensye pod tym względem, i nieraz, idąc za niemi, zdawałoby się, że na takiej idealnej figurce tylko młoda ładna główka osadzoną być może; tymczasem po sprawdzeniu okazuje się wielka pomyłka: zamiast świeżej twarzyczki, w ramach czepca spostrzega się pomarszczoną skórę i zapadle, wygasłe oczy.

Wszystkie „matelotki” noszą chodaki na drewnianej podeszwie, a że trzymają się najczęściej po kilka, albo kilkanaście razem, więc, gdy dążą przez ulice, rozchodzi się suchy, rytmiczny a oryginalny odgłos, rodzaj muzyki, w której rybaicy najwięcej gustują. Niezmiernie wesołe kobiety, albo śpiewają, albo się śmieją, pokazując całe rzędy najpiękniejszych zębów, śmieją się głośno, serdecznie, a oczy ich mieszczą w sobie cały zapas wesołości... gdy leżą nie leżą, choć i to nieraz się zdarza, bo morze nie żartuje: mężowie i synowie często z wyprawy nie powracają; więc wtedy rozpacz tém większa, im się ma prędzej uspokoić: lzy płyną tém obficiej, im prędzej uśmiech ma powrócić.

Podobno humor jednostajnością u nich nie grzeszy: na morze się zapatrzyły.

VII.

Bywają czasem piękne dni na bulońskim wybrzeżu, tém pożądańsze, im rzadsze. Było teraz dni takich dziesięć zrzędu, a chociaż urok melancholii i mglistej tajemniczości, która do miasta przyrosła, znika wtedy, to wita się słońce z radością. Dawno niewidziany, prawie zapomniany przyjaciel.

Do codziennej kąpieli wybieramy się z większą werwą. Bum w najróżowszém usposobieniu, panna Kicia także.

W ogóle wolałabym wyperswadować Bumowi pretensyę, by się miał za naszego nieodstępnego towarzysza nawet do kąpieli, bo komplikuje on niezmiernie położenie. Wziąć go z sobą do kabinki? póki suchy, to pół biędy, ale po kąpieli, do której nie omieszka wstępować w nasze ślady, zabierać go znowu na to, aby zamiast prześcieradła używał naszych sukien? bo ten sposób kończenia tualety wy-daje mu się najodpowiedniejszym.

Ale mnie nie: więc się Buma za drzwi wyrzuca, oddając go pod opiekę *baigneuse'y*, pięknej Julietty, grubszej od łodzi bezpieczeństwa, czerwieniej od astry, od której w ogóle kolorytu zapożyczyła, bo tak lica, jak i ramiona ma zabarwione na ognisto fioletowy kolor.

Po chwili jednak odzywa się wycie, szamotanie; nadobna Julietta woła tuż pod naszą kabiną: „Cannille! Monstre marin”, a Kicia mruczy, ubierając się: „Impertinentka! biedny psina! biedny Bumeczek!”

Szamotanie się trwa dopóty, dopóki Bum na swoim nie postawi i do kabinki wpuszczonym nie zostanie.

Aby uniknąć niepokoju, zabieramy go najchęćniej odrazu. Zdarzyło się dnia jednego, że kabinka nasza została w morzu, a my w nią czekałyśmy na konia i furmana, któryby nas zabrał.

Morze przyplęwało — szum stawał się coraz większym, bałwany były o koła i ul nasz trząsał się, jak w febrze.

Wychylamy głowę przez okienko: ani koni, ani furmana w pobliżu; pora była spóźnioną, na małej plaży ruch ustał, łódź ratunkowa nie kołysała się na jej falach, — widocznie zapomniano o nas.

Niemile położenie! Bałwan jeden uderza, drugi, większy, silniej, trzeci, największy, jeszcze silniej; już to taki ich zwyczaj, gdy atakują przeszkodę. Kabiną trzeszczy i drga i posuwa się to w tył to naprzód, a woda już pokrywa wysokie koła.

Bardzo niemile położenie! Czy się rozebrać na powrót, wskoczyć w wodę i wyjść na brzeg? Kabinka drży coraz silniej, morze huczy coraz głośniej, a Bum skacze, tańczy, wyje, piszczy, formalnie przytomność traci ze strachu; Kicia pociesza go, jak może.

Ja znowu głowę wychylam przez okienko. Wołania mego nikt nie usłyszy; ale wywieszam improwowaną chorągiew z chustki, na znak trwogi.

Przecież zobaczyli mój sygnał. Gwałt wielki, bo już, nie podłoga kabinki wodą zalana, ale bałwan, rozbijając się, nas i ławki obryzguje.

Zabrano nas na „suchą” — ale emocje były nie-małe, a Bum od tej pory nie domaga się wejścia do kabinki: więc ten zysk przynajmniej osiągnęło się z grożącej nam katastrofy.

Wracając dnia tego z kąpieli, posłaliśmy odpocząć na wybrzeżu morskiem, blisko „*jetée en eau profonde*”. To najdziksza część Boulogne: z jednej strony wał gór skalistych, z drugiej obszar morza niezmierny.

Ztamtąd cudowny zachód słońca; ale całkiem różny od zachodów na stałym lądzie, albo na południu.

Słońce czerwone, już bez blasków i promieni, wygląda jak balon nadęty. Toczy się, toczy ku dołowi, raptem wpada w morze i gaśnie — a dzieje się to dziwnie prędko; zdawałoby się, że spadło z nieba, wcale się tego nie spodziewając, albo, że ktoś wrzucił w morze pochodnię, którą w mgnieniu oka fale pochłonęły.

Potem zapalają się blaski w zielonych nurtach; błyskawice powstają i nikną, krzyżują się i płoną bengalskim światłem. Naraz cały pas morza zabły

śnie, jakby przez duchy podwodne z wewnątrz oświecony.

Kicia mówi, że to iluminacya w pałacu Amfitryty; — imieniny jój być muszą. Ale poprostu jest to morze fosforyzujące; a chciałoby się tak w nie patrzeć bez końca, choćby noc całą; tylko, że Bum zaczyna się niepokoić. To pora obiadowa: ósma się zbliża, a jemu się jeść chce, zwłaszcza po dzisiejszych emocjach.

VIII.

Znowu dzień ciepły, słoneczny. Idziemy na małą *plażę* na piasku się wyciągnąć.

Boże! co za straszne rozczarowanie!

Roje, mrowiska, tłumy nieprzebrane tam, gdzie do tej pory pustki panowały.

Cała ludność bulońska tu się wybrała, na ten nasz wał piaszczysty; dzieci od roku do piętnastu lat, więcej niż muszli nad morzem! Piaskiem na siebie rzucają, kąpią się gdzie i jak które może, w kostiumach i bez kostiumów; wrzask, pisk, zgiełk, nawoływania, groźby, śmiech głośny i bek głośniejszy — piekło!

Wszyscy w piasku grzebią — młode imaginacye zaprawiają się budować na tym gruncie wszystkie zamki, jakie tylko najbujniejsza fantazyja wyśnić może.

Zamki obronne, dworce kolejowe, piramidy, obeliski, tunele, wieże, twierdze, całe fermy miniaturowe: wszystko to wyrasta ku rozkoszy dzieciaków — i znika z przyływem morza.

Kicia przy tej sposobności wygłasza sentencję ku zbudowaniu Buma.

— Patrz, piesku, jak to morze zniesie i zmiecie owe igraszki dziecinne, tak czas w swym bystrym locie...

— Zmiata wyżły z powierzchni ziemi — kończę, bo się Kicia zacięła, szukając natchnienia.

— Nie to chciałam powiedzieć. Na co mu przypominać smutne rzeczy? Słuchaj, Bumeczku, tak samo czas zmiata spiżową i granitową pracę ludzką, a ty miałbyś się troszczyć o marny kawałek kielbaski?

Bum doskonale zrozumiał znaczenie ostatniego wyrazu, podskoczył z entuzjazmem, polizał Kicię po rękę, przymilając się z pokorą, która na płaszczyźnie się zakrawała.

Ale ona nie zrażała się w swój cywilizacyjnej misyi i wierzyła, że w przyszłości Bum metafizycznie na życie zapatrywać się zechce.

Zanim-by do tego przyszło, Bum miał wiele ważniejszych spraw do załatwienia na razie: mianowicie — upędzać się za bosemi nogami dzieci. Nienawidził tego widoku, uważał go za nieestetyczny i nieodpowiedni jego pojęciom.

Miał w tej chwili do ścigania na prawo, na lewo całe zastępy bosój ludzkości i, jak na niego, wywią-

zywał się z zadania z niezwykłą odwagą. Piaskiem oczy mu zasypywano, uciekającą piętą dostało mu się nieraz po mordce; ale nie zrażał się niczem, miał respekt tylko dla skórzanego obcasa, w ogóle dla obuwia. Wobec bosych nóg był bohaterem.

W takiej-to pogoni za różową parą piątek sześćoletniego „uciekiniera” mknął jak strzała, odskakując i przyskakując na nowo do swój ofiary. Godzi się oddać mu sprawiedliwość, że nigdy zębem nie zaczeplił o ciało ludzkie; wszystko kończyło się na ostrych pogrózkach.

Rozpędzony, w największym rozmachu sunął naprzód, gdy nagle zarył się czterema latami w miejscu, wyciągnął szyję i warował w klasycznej pozycji, jakby zwęszył conajmniej kuropatwę.

Zbliżamy się i patrzmy zaciekawione: co go tak zaintrygowało? Oryginalny, dziwny i smutny widok równocześnie.

W piasku zagrzebane całe ciało chłopczyny, tylko blada, prawie sina twarzyczka wychylała się na powierzchnię ziemi, głowa cała wtłoczona była w biały piasek, jak w poduszkę. Nad ciałem wznosiła się mogilka z piasku usypana. Chłopczyk oczy miał zamknięte, czy dlatego, że go światło raziło, bo promienie były od słońca, czy też chciał wiernie śmierć przedstawić — i przedstawił tak wiernie, że aż dreszcz przejmował na widok tej dziecinną zabawy. Dokoła mogilki klęczały też dwie dziewczyn-

ki, nędznie ubrane, chude, także mizerne bardzo. Jedna z nich zdołała grób ten improwizowany gałkami wrzosu, w piasek je zatykając; druga śpiewała coś nakształt psalmu, wyciągając cienki głosik, ile sił starczyło. A chłopczyna, zasypywany piaskiem, leżał nieruchomy, udając umarłego.

Kicia pobladła, jój promienne oczy lżą zasły i rzekła zcicha:

— Mnie się zdaje, że to ten mały, który „brioszki” roznosi.

Zbliżyliśmy się; rzeczywiście był to ten sam chłopczek, który na taką smutną nutę śpiewał, idąc ulicami, pod mglistym niebem:

— *Chaud, chaud! ça brûle! Petites brioches! à la Mascotte!*

To ten sam. Gdyśmy stanęły tuż przy tej przedwczesnej mogiłce, mała, śpiewająca psalm, ucichła nagle, a zagrzebany chłopczyk oczy otworzył.

— Czy wam nie straszno tak się bawić, dzieci? Biegajcie lepiej, weselój wam będzie.

Trójka, jakby zbrodniarze, złapani na gorącym uczynku, ust nie otwierała; bardzo byli onieśmieleni.

Zwróciłam się do chłopca.

— To ty „brioszki” sprzedajesz?

— Ja — odparł, rumieniąc się.

— Nie byłoby lepiej ci kapać nogi w morzu z innemi dziećmi, zamiast tu leżeć?

- Nie, wolę leżeć; tu ciepło w piasku.
 — Zmęczony jesteś?
 — Zmęczony.
 — Chory może?
 — Chory.
 — A gdybyś miał taki maleńki okręcik z żaglami, bawiłbyś się w morzu?
 Chłopcu oczy się zaśmiały, zaczął się wygrzebywać z pod piasku.
 — Bawiłbym się — odparł jeszcze nieśmiało.
 — To chodź z nami, dostaniesz okręcik.
 Chłopczyną nie dowierzał jeszcze widocznie, ale wdał się powoli w rozmowę.
 — Masz rodziców?
 — Nie. Matka dawno umarła, a ojciec nie wrócił „ze sztokfiszów”, utonął zeszłego roku.
 — Nie wiesz, z czego matka umarła?
 — Mówią, że z suchot.
 — A tobie co jest?
 — W piersiach mnie gniece i kaszle, więc piekarka powiedziała, że mam w piasku leżeć; dziś niedziela, więc „brioszek” nie sprzedaje.
 — A to twoje siostry?
 — Siostry.
 — Piekarka was przygarnęła po śmierci ojca?
 — Piekarka.
 — Dobra dla was?
 — Jak nie bije, to dobra.

- Bije czasem?
 — Jak nie sprzedam za dwa franki, to bije.
 — A siostry co robią?
 — Nianczą dziecko piekarki.
 — Takie maleńkie! Takie mizerne! Czy także chore?
 — Chore. Kaszlą. Piekarka powiada, że my wszyscy nie nie warci i że pomrzemy.
 — Nie boicie się tak smutno się bawić?
 — Czego się bać? W piasku miękko i ciepło.
 Zabrałyśmy dzieci z sobą; chłopczyną z okręciem, a dziewczynki z lalkami po pięć *sous*, wracali rozpromienieni; nie oddaliśmy się od morza, mały sklepik z najprzeróżniejszym towarem wznosił się tuż za kąpielowym zakładem.
 O ile dzieciom było weselej na świecie, o tyle nam smutniej się zrobiło.
 Uciekłyśmy od tego mrowiska ludzkiego, dążąc w stronę „terre-pleins”, wysoko na murach nad morzem wzniesionych, gdzie w przyszłości mają być składy dla wielkiego portu.
 Tam na kilku kamieniach rozłożyło się obozem jakieś obce kółko.
 Nigdzie nie miałyśmy znaleźć spokoju dnia tego, bo śmiech dziecinny dzwonił w przestrzeni i jasne sukienki migwały zdaleka.
 Ach! to nasze trzy motylki z wielkiej plaży. Dziś, obute, gonią się po niskiej trawie nadmorskiego

gruntu. Sukienki białe, całe zahaftowane, związane ogromnemi szarfami „surah”, fruującemi jak skrzydła w powietrzu.

To trzy anieleczki urocze, a na kamieniu siedzi ich mama; podniosła na nas oczy i teraz dopiero spostrzegłam, że, pomimo różnicy koloru, oczy te wyrazem swoim i rysy klasyczne przypominały tego pięknego blondyna, który siadał za jój fotelem na wielkiej plaży.

Smutna i blada była; ani śmiech dzieci, ani radośne promienie słońca nie potrafiły na jój białą marmurową twarz wesela sprowadzić.

Widocznie i ona szukała tu samotności, więc usunęliśmy się na drugi koniec tymczasowego tarasu nadmorskiego.

Widok był tak piękny, że nie miało się ochoty książki otworzyć. Kicia zadumała się głęboko, w końcu rzekła: — Tamte dzieci nie mają matki, nie nie mają. Biedactwa! Te są bogate, mają wszystko na pozór, ale wiesz? mnie tych żal więcej, niż tamtych.

— Dlaczego?

— Bo tamte pomrą prędko i wszystko się skończy, a te pewnie będą żyły i może kiedyś takie będą smutne, jak ich matka.

Może — a niewiadomo: który widok głębiej serce rozdierał — czy tych dzieciątek wynędzniałych, bawiących się w gry cmentarne; czy téj elegancko

ubranéj młodéj kobiety, takiéj estetycznéj i tak beznadziejnie smutnéj?

Tęskny szmer fal, uderzających o mur kamienisty, ukoił powoli ten smutek, który się tak często w sercu ludzkim na widok niedoli bliźnich podnosi.

Morze, na pozór monotonne, a w rzeczywistości tak urozmaicone w grze fal, obszar jego niezmierzony, skarga bezustanna nurtów, o wybrzeża bijących, morze cudowny lekarz dla ciała i duszy.

Wszystko maleje wobec niego, z czasowych, przemijających trosk ludzkich myśl powoli zatapia się w nieskończoność.

To, co nas boli, przeminie jak sen; wieki przejdą; pokolenia całe zapomną, że tu żyły i cierpiały: a fale morza zawsze tą samą skargą szumić będą.

Troje nędznych dzieciątek zapomni gdzieś wśród gwiazd niezliczonych o nędzy swojej. Młoda piękna pani zapomni o cierniu, co jój serce krwawił, a fale te szumić będą bez końca — bez końca.

Więc, patrząc na nie, zapomina się dziś już o wszystkim, co boli, co niepokoi, bo przed majestatem ich nieskończoności wszystko się drobnym i przemijającym wydaje.

Widocznie i Kicia, choć szesnastą wiosnę liczy dopiero, te same odczuwa wrażenia, bo przerywa ciszę, mówiąc: — Jak to dobrze pomyśleć, że przeszło osiemnaście wieków temu ten ocean, na który w téj chwili patrzymy, tak samo wyglądał i że w tém

miejscu może stał Cajus Caligula, wybierając się do Brytanii ze swą armią.

— I że tu może przestraszył się morskiej choroby i odechciało mu się morskiej przeprawy.

— Miał słuszość; wolał sobie urządzić małe „divertissement” bitwy z oceanem. Pozbierał potem muszle i oddał do Kapitolu, jako trofea zwycięstwa nad morzem.

— Doprawdy? Czy tylko jesteś pewna co do tych muszli, bo ty czasem lubisz ubarwiać, a ja muszę coś wspomnieć o Caliguli w swojej korespondencji z Boulogne i gotowa jestem skompromitować się muszlami.

— Pokażę ci w historii — mówi Kicia z oburzeniem — miałam to na ostatnich egzaminach i gdyby nie muszle, byłabym przepadła, bo dla mnie suche fakta historyczne muszą być czémś ozdobione, jeżeli je mam spa pamiętać.

— A, to co innego! Teraz już jestem spokojna.

Tymczasem fale cofnęły się daleko, a tam, gdzie niedawno bałwany ścigały się i zmiatały wzajemnie, teraz twardy ubity piasek zachęcał do spaceru.

Kicia poczęła rzucać kamyczki w morze, zachęcając Buma do goniwy; pies przepadał za tą rozrywką. Pędził naprzód, jak oszalały, czekał na falę, gdy mu kamyk zniemacka przykryła, porywał go nerwowym ruchem, gdy się cofnęła, i składał u stóp Kici, a duma jaśniała na jego bohaterskiem czole.

Owo szczekanie na morze przypomniało mi

znowu Kaligule. Bum równie był pyszny ze zwycięstwa, odniesionego nad bałwanami, z równą powagą składał trofea u nóg Kici-Kapitolu.

Ale zestawienie to nie trafiło panience do przekonania; obrażało godność Buma.

Nad wieczorem, wróciwszy do willi *Far niente*, zastałyśmy starego krawca o mocno czerwonym nosie, o kręconych włosach, z rozłożoną robotą w ogródku, przez który trzeba było przechodzić, by się dostać do naszego mieszkania.

Kicia, z miną mocno niezadowoloną, mówi do mnie:

— Patrz, to niedziela, a ten stary szyje cały dzień od samego rana.

— Tak, i mnie to dziwi, bo, że w mieście pracują stolarze, cieśle i t. d., to już taki zwyczaj „wysocze cywilizowany” francuski, ale tu, w tej zacnej, pobożnej rodzinie, dziwię się, że tolerują takie lekceważenie niedzieli.

Ów stary jest nadwornym krawcem rodziny Pérault. Papadof nie nosi innych garniturów, jak te, które skraje i pozszywa szanowny *maitre Hans*, jak go Kicia nazywa na pamiątkę jakiejś nadzwyczajnej bajki Hofmana.

Tylko pan „Sans-souci” nie podziela entuzjazmu dla starego Hansa i krytykuje krój, oraz indywidualne pomysły jego, pomysły, które Papadof przyjmuje za rzecz pełną dystynkcji.

Otóż *maitre Hans*, w okularach, z olbrzymim narpiastkiem na palec, siedzi tak całymi dniami, nucąc pod nosem wiecznie ten sam dwuwiersz, którego słów dosłyszeć nie mogę.

Jest on rzeczywiście żywcem z bajek Hoffmana wyjęty; zdawałoby się, że to jakaś cudowna maszyna ręką jego porusza w górę i na dół rytmicznie, że ręką ruszać tak musi, bo inaczej nie może. Gdy kto do niego przemówi, odpowiada, pozycyji nie zmieniając, głowy nie podnosząc; szyje zawsze.

Ale w niedzielę? tutaj? w tym przykładowym domu?

Jak gdyby odpowiedź na to pytanie, pokazała się we drzwiach panna Marya i towarzyszyła nam dalej, mówiąc przyciszonym głosem: — Mama naumyślnie daje mu najwięcej roboty na niedzielę, bo gdy tylko dnia tego nie szyje, to pije. Zapija się na śmierć i potem cały tydzień chodzi, jak idyota, do niczego niezdatny. A przecież lepiej, że szyje, niż gdyby miał pić.

Spojrzałam niespokojnie na pannę Kicię, bo to lepszy teolog odemnie. Ale Kicia rozstrzygnęła kwestyę stanowczo i bez wahania:

— Lepiej, że szyje, naturalnie, ale najlepiej byłoby dawać mu pieniądze w poniedziałek, to-by w niedzielę nie pił.

Zdaleka, przez otwarte okno posłyszałyśmy dobrze znany głos:

— *Dans mes voyages que de naufrages* etc.

Panna Marya pobiegła wyjrzeć i przywołała nas.

— Patrzcie panie! patrzcie! ten smyk wczoraj się z kozy wydobył, a dzisiaj, widzi pani ten krawat? To nowy! dostał go od tej szkaradnej dziewczyny, która jeszcze pensyji nie skończyła! I chcą się żenić! Koniec świata!

Pan Sans-souci szedł, kołysząc się z jednej nogi na drugą, we flanelowej „tennisowej” bluzce, ściągniętej kolorowym pasem, w krawacie kremowym, w żakiecie wielce szykownym, i taki był kontent z siebie, że, jak mówiła panna Marya, aż luna biła od niego.

VIII.

Mariette-Pacha, najsympatyczniejszy i najuczeńszy z egiptologów, urodził się w Boulogne. Ztąd w muzeum tutejszem zobaczyć można wiele ciekawych zabytków z czasów faraonów. Bulonczycy, dumni ze swego współobywatela, stawiają mu pomniki, płaskorzeźby, przedstawiają rysy jego; jedna ze znaczniejszych ulic nosi jego imię; to jednak nie przeszkadza, że po większej części mieszkańcy nie mają pojęcia, co właściwie ten wielki człowiek zrobił dla ludzkości.

— Czyj to pomnik? — pyta ktoś raz jakiegoś przechodnia.

— Mariette-paszy.

— Kto to taki? — pytał ten ktoś dalej naiwnie.

— Wielki bohater.

— Z jakich czasów?

— Napoleońskich.

— Tak? doprawdy? Dlaczego „pasza”?

Przechodzień, dający te objaśnienia, odpowiada po krótkim namyśle z wielką brawurą:

— Turków zbil na głowę.

Biedny Mariette! Turków zbil na głowę! On, który nietylko, że nikogo nigdy ze świata nie zgładził, ale przeciwnie, o ile tu na tym świecie zmarłym życie przywrócić można, o tyle wskrzesił całe generacye zapomnianych faraonów.

A potem on i te wojny napoleońskie! Dziwna rzecz! Gdy tylko mowa o jakimkolwiek znakomitym człowieku, którego istnienie jest dla przeciętnego „bourgeois” francuskiego trochę tajemnicze, nie omieszka ów *bourgeois* wplątać go jako bohatera w wojny napoleońskie.

Dziwna rzecz, że u ludu w ogóle żadna sława i wielkość nie wraża się tak w pamięć i nie wzbudza takiej czci, jak sława wodzów-żołnierzy.

Ta właśnie wielkość, która najmniej imponować powinna, która łączy się z tysiącem klęsk i z naj-

większym krwi rozlewem; ta tłumy pociąga, inné nie pojmuja.

Napoleon jest taką chwałą otoczony na tych wybrzeżach, że pobyt jego kilkakrotny w Boulogne-sur-mer zostawił rodzaj aureoli nad miastem, aureoli, niedostrzeżonej dla zwykłego śmiertelnika, który nie kocha się w blasku napoleońskiej epopei, ale widocznej dla każdego patryoty bulońskiego.

Ów „luźożerca” (jak go Kicia nazywa) gościł tu wiele razy między 1803-m a 1810-m r. Miał tu aż trzy rezydencye, z których jedna nad Pas de Calais, zwana „*La tour d'ordre*”, zkađ jednym rzutem oka mógł objąć obóz, miasto, port i cały obszar morza.

O kilka wiorst od Boulogne miał ulubioną rezydencyę, *Pont de briques* zwaną; tam odebrał wiadomości z pod Trafalgaru i tam w jednej nocy wykończył plan kompletny bitwy austerlitzkiej.

Wielka armia rozłożyła się obozem na tych wybrzeżach; flota, która miała przybić do brzegów Anglii, na tych falach się kołysała.

Bardzo ciekawą i charakterystyczną jest także historia wysokiej kolumny, która wzniesioną być miała na cześć Napoleona; nie zdołano jęj ukończyć, kiedy Restauracya inny cel jęj wyznaczyła; zwano ją tedy kolumną Burbonów, później postawiono na cokule statwę allegoryczną Pokoju i udekorowano ją liliami.

Z upadkiem Burbonów nowe komplikacje: Ludwik Filip wstąpił na tron i zdecydowano, że kolumna będzie poświęcona wielkiej armii; zniszczono lilie i zastąpiono je gwiazdami. A zanim ostatecznie ukończoną została, każdy rząd na nowe zmiany ją skazywał; co kilka lat zmieniano na nią dekoracje, stosownie do fantazyi nowych władców.

O Napoleonie wiedzą zatem wszyscy w Boulogne, a gdyby kogo spytać: kim był Le Sage, Sainte-Beuve, pierwszy przeciętny *bourgeois* buloński odparłby niezawodnie, że to wodzowie z czasów Bonapartego; nie innego nie przyszłoby mu na myśl.

A jednak Le Sage długie lata spędził w tém ci-
chém mieście portowém.

Także Sainte-Beuve tu ducha wyzionął, a tak jego, jak Le Sage'a prace większy i dłuższy wpływ wywierały i wywierać będą na umysły ludzkie, niż wszystkie wojny napoleońskie.

IX.

Już mamy niezadługo pożegnać te obecne strony, z którymi tak łatwo dusza się zrosła.

Wczoraj pięknie było, bardzo pięknie na świecie: morze, wzgórze, kopuła bazyliki i szeroka wstęga

Liany, maszty parowców i żagle rybackich stateczków kąpały się w łagodnym świetle słońca jesien-
nego.

Ślicznie było. Wiatr ustał, morze się ukoilo, cisza panowała, wszystko zdawało się w zadumie słodkiej być pogrążonym. Osiemnastoletnia Henryetka kaszlała straszliwie noc całą, aż ją u nas słyhać było, a Bum, zaniepokojony tym strasznym kaszlem, do jęku podobnym, odpowiadał od czasu do czasu przeciągłym wyciem.

Już od wielu tygodni Henryetka od kominka się nie ruszyła i nie zaczerpnęła świeżego powietrza. Ale wczoraj wyszła przecież, wywabiona słońcem i ostatnimi, na pół tylko rozwiniętymi, różami.

Usiadła w ogródku, tuż przy murze, po którym pięły się klematysy białe, pachnące. Tam było najcieplej i najciszej; śliczną główkę o wydelikaconych rysach, o smutnych czarnych oczach, cerze przejrzystej, w tył przechyliła, powieki miała spuszczone i, choć zewsząd słodkie światło sphywało na ogródek, pełen róż i astrów, to na tę młodą twarzyczkę cień głęboki padał; może to cień od skrzydeł anioła śmierci, niewidzialnego a jednak obecnego...

Wszyscy wiedzą, że Henryetka umrzeć musi, ale czuje to najgłębiej dziadzio.

To jego ukochana wnuczka! Nie może się pogodzić z myślą o jej śmierci.

Już od tygodnia zapomniał o zgryzocie, jaką mu

niecnota Ludwik Sans-souci sprawia, już nie pracuje nawet.

Od ostatniej wizyty doktora, który mu odebrał wszelką nadzieję, biedny Papadof przygarbił się mocno, oczy ma jeszcze głębiej zapadłe, tylko skóra żółkła pozostała na kościach, ostry rzymski profil skurezył się, choć nie na swęj klassycznosci nie stracił; teraz siedzi Papadof na zydelku o kilka kroków od wnuczki, siedzi tak nieruchomy całemi godzinami; w tęg chwili, gdy przechodzimy, nie widzi nas wcale, bo ma oczy zaćmione, a wielka, cicha łza stacza się po jego zmarszczonej twarzy; słońce się w nięj odbija i na dyament tęczowy ją zamienia.

Uśmiechamy się zdaleka do Henryetki, która nam smutnym, wymuszonym uśmiechem odpowiada, i nie zatrzymujemy się wcale, by nie przerywać zadumy dziadka, który wolałby pewnie ukryć łzy swoje.

I znowu dążymy nad morze, naturalnie. Słońce miało się ku zachodowi, zanim doszliśmy do „*jetée en eau profonde*.” Tam praca około wielkiego portu trwa dzień cały, ale wieczorem głucha pustka .. nikogo.

Na zachodzie słońce już, już ma się zapaść w oceanie. Zato horyzont — roztopione srebro eteru.

Od północy chmury zbitym wałem ciągną, aż straszno spojrzeć w tę stronę. Wiatr także powstał i świśnie czasem przeciągle nad uchem, poczem przychazi się pod ścianami wzgórzy. Księżyc w pełni, jak

złoty transparent, zawisł na srebrzystym stropie; od czasu do czasu czarna chmurka twarz mu zasłoni, ale w przelocie tylko, mknie z pośpiechem dalej.

— Wiesz, Kiciu — mówię — te czarne chmury — które się tak śpieszą, to jacyś gońcy złowróźbni, one pewnie dążą na sukurs tęg szkaradnej chmurze na północy.

Kicia, wedle fantazyi, bywa to pessimistką, to znowu optymistką krańcową i odpowiada teraz:

— Gdzie tam! słońce dzisiejsze na długo wszystkich chmury wypędziło; będziemy mieli najpiękniejszą pogodę.

Odpowiada tak, bo wybierałyśmy się na długi spacer za entuzyastyczną aprobatą Buma, który machał ogonem, jak wahadłem maszyny elektrycznej.

— Aby dojść do Portel, zapóźno już dzisiaj.

— Przy dobrej woli — mówi Kicia, która przepada za awanturczem przygodami.

Portel jest najmniej o półtoręj godziny drogi od Boulogne; maleńka przystań rybaków, główne siedlisko uroczych „*matelottes*”, położone na urwistych, skalistych i przepaścistych wybrzeżach morza.

W czasie przyływu jednak trudno się tam dostać, a śmiałek, któryby się tam puścić odważył, nie znając godzin przyływu i odpływu, łatwo mógłby się spotkać z zacząoną po za ślizkiemi złomami głazów śmiercią.

Teraz właśnie morze przybierało, więc też Kicia dała

sobie wyperswadować Portel, a za cel podróży obra-
lyśmy mur otaczający wysoki nasyp ziemi i wsunięty
w głąb morza. Nasyp ten ma służyć w przyszłości na
skład towarów przy wielkim porcie; teraz podobny jest
do zapuszczonego ementarzyska, smutny i pusty.

Mur, ujmujący go, jak w ramę, ma ze dwa me-
try szerokości, wznosi się wysoko nad morzem,
a dążąc tym wązkim pasem kamiennym, można do-
stać zawrotu głowy.

Ale przecież w razie nadzwyczajnej emocji po-
trzeba tylko zeskoczyć z metra wysokości na nasyp;
więc, jeżeli się ryzykuje zawrót głowy, to z poczu-
ciem zupełnym bezpieczeństwa.

Dażyliśmy tedy po owym murze, trzymając się
mocno jedna drugiej, bo morze, przybierając, już
uderzyło o stopy kamienistej zapory; poręczy nie by-
ło, więc miało się wrażenie zawisnięcia na wązkiej
kładce nad falującą przepaścią.

Gdy nam się trochę w głowie mącić zaczynało,
spoglądałyśmy w stronę ziemi: zeskoczyć tylko po-
trzeba, więc mowy niema o niebezpieczeństwie.

Już słońca nie widać, księżyc płynie w całym
majestacie i osrebrza fale coraz to bardziej zjeżone.

Od strony miasta kurtyna gęstej mgły zapadła,
a raczej wysuwała się zwolna z morza i podnosiła
coraz to wyżej i wyżej, odcinając ziemię od oceanu.

Chmury na północy dały sobie wyraźnie *rendez-
vous*; jedna za drugą, niby jakieś chimery, straszdyła

i dziwolągi, mknęły ku wielkiej czarnej masie, albo
pelzały ocieźałe.

— Wiesz co, Kiciu? Lepiej wróćmy; wiatr się zry-
wa, morze się burzy, niewiadomo, co to z tego będzie?

— Ale księżyc ślicznie świeci, a tu jesteśmy na
pół drogi; wszystko jedno, czy wracać, czy iść dalej.

Choć trochę straszno, ale pięknie na świecie, a Ki-
cia po części ma słuszność; to prawie wszystko je-
dno. Więc trzymamy się tylko coraz silniej i rzuca-
my wzrok trwożny na morze, które podnosi się coraz
wyżej i wyżej; ale nam nic nie grozi, bo nad ów
mur, po którym idziemy, nie wzbilo się ono nigdy.

Tymczasem wiatr już nietylko wygwizduje, ale
na całej swój orkiestrze grać zaczyna; powoli wszyst-
kie upiory i wiedźmy zaczęły szumić, chichotać,
wyć i ryczyć, a księżyc coraz częściej czarną chmurą
srebrną twarz swoją zakrywał.

— Będzie źle! Zeskoczymy tu na ziemię.

— Kiedy tu właśnie najwyżej: nie zeskoczymy
tak łatwo.

— Prawda! trzeba iść dalej po murze.

Więc teraz trzymamy się już konwulsyjnie jedna
drugiej i nie śmiemy głowy na bok zwrócić, ale oczy
mimowolnie dążą ku falom i zatrzymują się na tych
stutysięcznych groźnych ramionach, które z szumem
ku nam się wznoszą, radeby ściągnąć ofiary w ot-
chłań bezbrzeżną. Brrr...

Coraz ciemniej się robi, grunt jeszcze odróżniamy,

ale niewyraźnie, i już nie wiemy, jaka wysokość dzieli nas od niego — metr, dwa czy może i pięć.

To tylko wiemy, że na tym nasypie mnóstwo gruzów po jakichś dawnych robotach i że skacząc na niewidziane, można łatwo nogę złamać.

Więc idziemy dalej na wyniosłości pomiędzy przepaścią morską a ziemią.

Od morza głowy odwracamy, uciekłyśmy już zupełnie; dążymy za Bumem, ale nie Bumem zajęte: on, gdy zechce, to zeskoczy, i nie mu się złego nie stanie.

Nie Bum nam na myśli: dałybyśmy w tej chwili całe królestwo nasze, by, zamiast pokutować na murze wśród świstu wiatru rozhukanego, przy problematycznym i coraz bardziej ponurym świetle księżycy, by zamiast odczuwać zanadto silne wrażenia, siedzieć sobie cicho na szeslongu w naszym saloniku — Kicia z książką pani Craven, ja z Dickensem.

Mój Boże! Jeszcze taki długi pas muru do przebycia, a zeskoczyć nie mamy odwagi, isé naprzód — też bardzo niewiele; usiąść na murze i czekać światła dziennego? noc całą? — to już chyba najmniej. Bo i zimno się robi, choć z wielkich emocyi w tej chwili zimna nie czujemy.

Co za zgłęk w powietrzu! wszystkie złe duchy hulają nad morzem, a księżyc siny od czasu do czasu z za chmur ironicznie się uśmiecha.

Już-by nas też wichur zdmuchnął z tej wyżyny

w owe złowieszcze ramiona, pełzające ku nam, gdyby nie kres podróży fantastycznej, do senniejszej zmory podobnej. Już jesteśmy tuż przy wysokim ostrokołe, dzielącym mur od reszty stałego gruntu.

Zaczynamy swobodniej oddychać, wiemy, że tu jest wyjście.

Tak, jest, ale, niestety, zamknięte! Że je na noc zamykają, nie wiedzieliśmy o tém.

Wtedy ogarnia nas zupełna rozpacz.

I jakże mamy wracać, po tym samym wązkim pasie muru, wśród ciemnej nocy, burzliwej, strasznej! Nie, to niemożliwe.

Tu Bum okazuje się zbawcą; zeskakuje na ziemię i skomląc wzywa nas widocznie za sobą. W tej chwili księżyc zabłysnął; spostrzegamy głowę pocziwego wyzła, opartą o mur, więc skoro Bum nie jest psem pana Twardowskiego, ale bardzo ortodoksyjnej Kici, skoro w powietrzu wisić-by nie potrafił, zatem łatwa dedukcyja, że się łapami o grunt opiera, że zatem jesteśmy oddalone od ziemi tylko o długość Buma; więc o mały włos, że nie przytrafiła nam się przygoda bohaterów Sienkiewicza „Tęj trzeciej”. Mogłyśmy noc na murze przepędzić, aby ze dniem przekonać się, iż tylko metr jeden dzieli nas od ziemi. Zeskakujemy, ale to jeszcze nie ostatnia przeszkoda, bo ostrokół ciągnie się daleko, zamknięty będzie dokoła prawdopodobnie, więc może jednak przyjdzie nam tu noc przepędzić.

Deszcz kropić zaczyna, a wichry coraz bardziej szaleją; wołamy na pomoc, ale bez nadziei, by nas kto mógł usłyszeć wśród takiego dzikiego hałasu.

Raptem, o dziwo! Bum szczeka, ale szczeka po drugiej stronie ostrokołu... którydyż się tam dostał?

Wracamy, rękoma szukając po ostrokołe przejścia; wprawdzie nie wiemy jeszcze, czy się tam przecisnąć zdołamy, gdzie się Bum przecisnął, ale próbować można.

Nareszcie! dzięki Niebu! znajdujemy otwór i nizki i ciasny, ale możliwy; jak myszy przesuwamy się na drugą stronę i, utykając na dalszym ciągu rozrzuconych gruzów, pomiędzy stosami suchych gałęzi, z wapiennymi głazami zmieszanych, wydobywamy się przecież na zbawczy piasek, potem na ulicę i pod strumieniami, płynącymi z nieba, otoczone wichrem i ciemnością, wracamy do naszego milego gniazdka, gdzie Kicia, blada jeszcze od przebytych wzruszeń, naparza herbatę (miejscowej nie dowierzamy), przewraca imbryk, podnosi go z zimną krwią, naparza po raz drugi i, zanim się zabierze do picia, podaje Bumowi bajeczną porcję kielbaski w nagrodę zasług.

Boulogne pod względem religijnym odznacza się największą gorliwością wśród wszystkich miast Francji, a chociaż, za czasów rewolucji i później, działo się tutaj wiele w tym zakresie rzeczy gorszących, były to jednak chwilowe tylko odstępstwa i nigdy ogół ludności nie brał w nich udziału.

Gdzie mieszkańcy przeważnie z morzem mają do czynienia, gdzie zarabia się na chleb powszedni, narażając życie swoje codzienne niemal, tam zwykle wiara najgłębiej jest zakorzeniona, serdeczna, nawią, pełna prostoty.

Tyle kościołów w tym mieście, tyle kaplic na wybrzeżach i krzyży, wyciągających ramiona; a wszędzie pełno ex-votów: najczęściej małe sztabeczki, albo serca różnej wielkości i okazałości widnieją na ołtarzach, pod figurami świętych etc.

Nic wspanialszego nad procesy, odbywające się na cześć Notre Dame de Boulogne w końcu sierpnia.

Tysiące dzieci i młodych panienek w bieli, z wieńcami na głowie, nieskończony łańcuch „matelotek” w odświętnych strojach, długie szeregi marynarzy i rybaków w malowniczym odzieniu, — wszyscy w wojskowym porządku, parami, niosąc obrazy, posągi i relikwie, przeciągają ulicami, tworząc wspaniały, imponujący obraz.

Biją we wszystkie dzwony, brakuje tylko tego, który, na najstarszej wieży bulońskiej zawieszony, pękł ze zdziwienia, czy z radości, czy ze smutku, gdy mu kazano dzwonić na powitanie Napoleona za jego pierwszej bytności w tych murach.

A choć nigdy na słońce w Boulogne liczyć nie można, to nie zdarzyło się jeszcze, by ono odmówiło kiedykolwiek współuczestnictwa w uroczystości. Podobno najstarsi ludzie nie przypominają sobie

deszczu w dzień procesyi, a najstarszych ludzi starsze pokolenie nigdy także nie doznało zawodu co do pogody dnia tego.

I teraz, w dzień uroczystości, od rana całe niebo zaciągnięte było chmurami, lada chwila można się było deszczu spodziewać, od tygodni całych nie, oprócz mgły, albo ponurego nieba się nie widziało; przecież nikt nie zwątpił ani na chwilę, że z wyjściem procesyi słońce zabłyśnie, aby wszystko ozłocić.

Nawet Sans-souci nie wątpił, choć o jego religijnych zasadach nie można mieć wysokiego pojęcia. Nawet ci wszyscy, którzy się chępią bezwyznaniością, wierzą, że najpiękniejsza pogoda zaświeci, gdy dzwony dadzą sygnał rozpoczęcia ceremonii.

Rzeczywiście, około południa zaczęło się wyjaśniać, a w chwili, gdy cechy i korporacye przeciągały przez ulice, by się złączyć w jedną całość u stóp bazyliki, niebo uśmiechnione, niezwykłym, odświeżającym także, szafirem przyodziane, i słońce w całym blasku — dodawały wesela i uroku tój pięknej ceremonii.

Panna Kicia, jako wychowanka jednego z miejscowych klasztorów, należała do orszaku, cała w bieli, zarzucona przejrzystym, długim welonem, z girlandką białych róż na głowie. Niosła z trzema koleżankami statwę Matki Boskiej i oczy skromnie spuszczała, obojętna na tłumy widzów, złożone po

większej części z angielskich i amerykańskich przybyszów.

Dwunastoletni, miłutki paż nasz, Jerzy, najmłodszy wnuk Papadofa, niesie poważnie chorągiew, ale ten zerka na prawo i na lewo, uśmiecha się do znajomych i, choć bardzo przejęty swoją godnością, myśli pewnie o rybach, które dadzą się, albo i nie dadzą, wziąć na wędkę.

Między pierwszą a ostatnią chorągwią, zanim cały pochód przesunie się przed oczyma, mija przeszło godzina; uwaga jednak nie nuży się ani na chwilę; coraz inne kostiumy, coraz inne cechy dążą, śpiewając pieśni pobożne; a te setki dziecinnych główek, które do procesyi należą, takich uroczych nieraz, zawsze zdobnych wianeczkami z kwiatów, wystarczają już same przez się, by przegład ten wypadł na korzyść ludzkości.

Słońce świeci ciągle, żadną chmurką nie zaćmione, i dopiero, gdy się wszystko skończyło, wieczorem, podług zwyczaju, deszczyk znowu mżyć zaczął.

Zanim procesya obeszła główne dzielnice miasta i port cały, minęło kilka godzin; panna Kicia wróciła z tój uroczystości bardzo zmęczona; Bum witał ją z takimi oznakami szalonej radości, że dziw tylko, jakim sposobem oboje równowagę zachować potrafil w tych nadzwyczajnych susach i podskokach.

Bum był pokrzywdzony dnia tego: zamknięty na klucz, kilka godzin przesiedział w kozie.

Od czasu, kiedy nas szukał aż w sali koncertowej, trudno się było spuszczać na jego dyskrecję; szkaradnie sobie wtedy postąpił, bez najmniejszej delikatności. Właśnie artystka jakaś, przybyła z Paryża, wyciągała z zapalem „Si tu m’aimais”. Nagle robi się szmer w sali, głowy się odwracają ku drzwiom od estrady, nasze machinalnie kierują się w tę samą stronę... przebóg! to Bum, we własnej swojej osobie, węsząc i rozglądając się ciekawie, prosto ku nam zmierza!

Przykre chwile bywają w życiu!

Już nas spostrzegł, już przypadł do nóg właścicielki z oznakami niezwykłej czułości. Cały efekt świetnego „Si tu m’aimais” przepadł; w małej, natłoczonej salce wszystkie oczy zwróciły się na wyzła. W tej-to krytycznej chwili Kicia byłaby chętnie wyrzekła się znajomości z Bumem, tylko, że na nic-by się to nie przydało, bo Bum aż nadto gorliwie obstawał przy zaznaczaniu swoich serdecznych z nami stosunków.

Był to rodzaj protestacyi z jego strony przeciw „Si tu m’aimais”. Trzeba mieć „pecha”, aby trafić na tę melodyę; choć trudno było spodziewać się pięknego programu na francuskim koncercie, na cel dobroczynny w dodatku. Francuzi nie mają wybrednego smaku w muzyce; po większej części znają się na niej, jak ryba na jabłku; nawet w Paryżu rzadko ma się prawdziwą ucztę muzyczną; stanowczo: po za Wło-

chami i Niemcami my w tej mierze górą: przyjemnie więc trochę w tym względzie pochlubić się wyższością.

Po owym niefortunnym „Si tu m’aimais” trzeba było opuścić salę, najmniej ciekawą z wszelkich sal koncertowych, i pójść za Bumem, który ani myślał wyrzec się naszego towarzystwa i narażał się na wyrzucenie za drzwi z wielkim skandalem, jako niemający biletu wejścia.

W ogóle o rozrywkach światowych w Boulogne mowy być nie może, i nie po to się tu przyjeżdża.

Anglicy sport wszelaki lubią i sport wszelaki uprawiają: nad morzem o to najłatwiej; ale sportu do światowych rozrywek zaliczać nie można. W pięknym na zewnątrz kasynie odbywają się wprawdzie bale, teatru amatorskie i inne „gioje”; ale kasyno nierównie więcej protegują sami bulończycy, niż zagraniczni goście. Jak ono wygląda wewnątrz, nie wiem; żadne z naszej trójki nie miało nigdy ochoty zajrzeć do środka.

Może bezpiecniej byłoby przyglądać się miejscowym zabawom w salonach kasyna, niż spędzać godziny całe na różnych urwiskach, murach nadmorskich itd.; ale niezawsze to, co najbezpieczniejsze, bywa najmiłszym.

Nie potrafiłabym także dokładnie opisać wielkiego ogrodu wśród miasta, „Tintelleries” zwanego, i nie wiem, co tam kiedykolwiek dzwoniło, że ogród ten tak, a nie inaczej, nazwanym został. Za to wiem

jak piękne są wybrzeża, gdy się łodzią do Vimereux płynię; wiem, że na burzliwem morzu morska choroba jest bardzo nieprzyjemną sensacją; wiem, że Vimereux jest poetycznym nadmorskim ustroniem, gdzie mnóstwo ślicznych, małych willi, każda pod inną egidą, jak: „Gniazdo jaskółek”, albo „Pod chyzą mewą”, albo „Wśród bóstw oceanu”, „Zdalea od troski” etc.

Vimereux może nie być dalej od troski, jak każde inne miejsce na świecie, ale jest rzeczywiście zdala od zgiełku światowego, odcięte od ruchu, hałasu i niepokoju.

Już mamy żegnać Boulogne, a nie możemy wyjechać bez pożegnania także Vimereux.

Koloryt cały jest czysto miejscowy na ten dzień pożegnalny; tło nieba smutne, pochmurne, morze zielonkawo sine, łódź naszą kołysze się ciągle na falach, a w łodzi, oprócz Kici i Buma, paż nasz z wędkami, z przynętą dla ryb w pudełku i z naszymi plekami, których jest zwykle opiekunem.

Już widać pałacyki i wille tej maleńkiej, cichej, ukrytej *plazy*; wdychamy znowu obie z Kicią, że tu nie obrałyśmy naszej letniej przystani, ale paż przypomina nam, że czas nagli i że się ryby spać pokładą.

Więc zarzucamy wędkę; Bum pojmuje doniosłość chwili i leży wśród pleków nieruchomy. Trudno policzyć, ile fałszywych alarmów następuje, ile razy

haczyk bez robaka nad wodą zawisnie, ale przecież zdarza się, że korek się zagłębi i zadrza nerwowo, że z mocnym wzruszeniem wyciąga się zdobycz z morza.

Tylko, niestety, najczęściej, zamiast ryby, krab mniejszy lub większy szamoce się w ohydnych kontorsyach na końcu linki.

Wtedy Bum, Kicia i ja usuwamy się w głąb łodzi, z wielkim respektem dla potwora; Kicia upuszcza wędkę z przerażeniem, jeżeli krab do jej haczyka się przycepi, i tym sposobem niejedna linka popłynęła do Ameryki może, albo na wybrzeże Konga. Paż natenczas okazuje się niezbędną Opatrznością: kraby odczepia nieustraszoną dlonią, zakłada nowego robaka, i zaczyna się *da capo al fine* tę samą ceremonię, zwykle z tym samym skutkiem. Bum nie wątpi pewnie, że kraby, a nie co innego jest zwykłym celem naszych wypraw.

Te długie godziny na morzu, ta melancholia, rozlana w naturze, te piaski nadbrzeżne, te wzgórza mgłą osłonięte, Vimereux, Portel, Boulogne, kraby i gwiazdy morskie, wiatr, wyjący przeciagle, i deszczyk, mżący od rana do nocy, — wszystko tęsknotą na razie duszę napelnia i tęsknotę zostawia po sobie.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH.

T O M I.

— Więc pani mi nie wierzysz?...

— Owszem, wierzę.

— Ach! wszystko to nie robi na pani najmniejszego wrażenia?

— Bo melodya, którą pan śpiewasz, jest taka oklepana. Nie przeczę, że jest w niej i poezya i uczucie, ale w aryach z „Trubadura” jest także i jedno i drugie, a jednak...

— Ziewa pani, słuchając.

— Naturalnie! Ten jeden tylko może miałby wobec mnie jaką szansę, ktoby na mnie najmniejszej uwagi nie zwracał, a ktoby mi nagle, bez wszelkiego przygotowania, powiedział: czy nie chcesz pani zostać moją żoną? Inaczej, zanim przyjdzie do ostatecznego wyznania, preludya zawsze mnie znudzą.

— Zatem ja nie mam niczego się spodziewać?

— Wcale tego nie mówię.

— Więc dlaczego-to łudzisz mnie pani nadzieją, a dręczysz, odbierając wszelką możliwość szczęścia?

— Pana dręczy własna imaginacya; ja nigdy nie zamykałam panu drogi do szczęścia; przeciwnie, od pana tylko zależy, byś był szczęśliwym; jesteś stworzony na...

— Proszę dokończyć! Czemuś pani zamilkła? Masz, doprawdy, dziwny dar zawieszania ludzi bez tchu w powietrzu; na cóż jestem stworzony?

— Na mego... szwagra.

?!

— Czemuż pan masz taką osłupiałą minę? Czy co tak niedorzecznego powiedziałam?

— Prędej niespodzianego. Ale po namyśle, uznaję, że warto się zastanowić nad tém. Więc pani jesteś czułą siostrą?

— Mam tę słabość.

— Nie byłbym się żadnej słabiej strony po pani spodziewał... Chciałabys pani siostrę wydać za mąż?...

— Dlaczego nie? gdyby jój przyszły mąż posiadał wszystkie zalety na mego szwagra...

— Czy wolno wiedzieć, jakie są te zalety?

— Przyszły mój szwagier musi być flegmatykiem, takim, jak pan, musi działać na nerwy łagodząco, w rodzaju kropli laurowych — zupełnie, jak pan, musi mieć tylko średnie cnoty i średnie przywary, złoty środek we wszystkiém, tak jak pan. Jedném słowem: musi być doskonałym jak pan.

— A to się wybornie składa. Chciałbym tylko wiedzieć: czy siostra pani jest do niej podobna?

— Bardzo.

— Bravo! — to się ułożymy. A czy ma takie same włosy *blonds comme les blés*?

— Wróżki z tego samego skarbcza promieni czerpały, gdy zdobiły nasze głowy; tak przynajmniej twierdzi jeden z naszych wspólnych wielbicieli.

— Czy ma czarne oczy, podobne do oczu pani, z których świeci inne serce, niż to, które ci jest dane do codziennego użytku?

— Czy to ma znaczyć, że moje oczy zwodzą ludzi? a jednak pan się mylisz: ludzie tylko czytają w nich nie umieją. Czytać trzeba na wspak, tak, jak we wschodnich pisowniach.

— Mnie w téj chwili siostra pani zajmuje. Czy i w jój oczach na wspak czytać trzeba?

— Nie — tam pan odrazu wszystko odcyfrujesz.

— Przynajmniej nie będzie niespodzianek. A klucz do jój serca ten sam, co do pani.

— Do mego jest tylko słowo zaklęcia, trzeba znać czarodziejskie „Sezam, otwórz się”; a serce Dory — ja panu dam klucz do niego. Pan go zresztą sam znajdziesz, jesteś stworzony na to...

— A prawda, już mi to pani mówiłaś! Czy siostra pani wzrostem, figurą, uśmiechem — do pani podobna?

- Zdaje mi się, tak wszyscy utrzymują.
- To się doskonale składa. Siostra pani jest wymarzoną przezemnie kobietą na...
- A widzisz pan, byłam pewna.
- Pozwól mi pani dokończyć, na... na bratową.
- Pan się mścisz?
- Nie, mówię najzupełniej na seryo.
- Dlaczego pan sam nie chcesz być szczęśliwym?
- A dlaczego pani szczęśliwą być nie chcesz?
- Ja szczęśliwą już jestem.
- A ja nie, — ale to taka drobnostka. Nie mówmy o tém więcéj. Więc brat mój i siostra pani mają w życiu odegrać tę rolę, o jakiej dla siebie i dla pani marzyłem. Zawód mnie spotkał — trudno! — w zamian będziemy się starali o szczęście... pani dla szwagra, a ja dla bratowej.

T O M II.

- Patrz pani jak nam się świetnie powiodło! Pani siostra, a moja bratowa, wydaje się bardzo szczęśliwą.
- Brat pana, a mój szwagier, także.
- Cóż pani robiłaś przez te długie lata?
- Cieszyłam się szczęściem drugich. A pan?

- Szukałem po świecie słów zaklęcia, różnych „Sezam, otwórz się” do serc kobiecych.
- Znalazłeś pan?
- Zdaje mi się.
- I jesteś szczęśliwym?
- Jestem.
- A ja, nie.
- Dawniej było inaczej, — na odwrót.
- Póty tylko szczęśliwą być można, póki serce drżemie.
- Więc pani serce obudzoném zostało? kiedy?
- Bardzo nie w porę; wtedy gdy pan preludya grać przestałeś.
- A więc nie pomyliłem się, moje milczenie było owem „Sezam, otwórz się”.
-
- Bez preludium zatém: Chcesz pani zostać moją żoną?
- Może, przekonałam się, że pan jesteś stworzonym na — na...
- Na szwagra?
- Nie, na idealnego męża.

NA KOREU.

Korfu, w marcu.

„Są miejsca na świecie tak piękne, że miałyby się ochotę do serca je przycisnąć”, — tak mówi Flaubert, a Bourget słowa te stosuje do Korfu: żadne określenie lepiej nie maluje wrażenia, jakiego się tu doznaje wśród téj słodkiej, greckiej przyrody.

Gdzieindziej może być większa różnorodność wegetacji, ale nigdzie roślinność bujniejszą i piękniejszą być nie może.

Gdzieindziej objąć można okiem większy obszar morza, ale nigdzie morze rozkoszniejszymi barwami się nie okrywa.

Gdzieindziej cywilizacja głębszą pieczęć wycisnęła, ale nigdzie natura w swoim idyllicznym uroku nie może wyrzucić słodszej, bardziej łagodzącego, balsamicznego wpływu. Cywilizacja tylko popsuc'by ją mogła.

Codziennie patrzysz się na obraz z „Odyssei”: przyroda z czasów Homera nic szaty nie zmieniła. Pię-

kna jest i nieśmiertelna, a Homer dlatego, że ją ukochał i zrozumiał, piękny i nieśmiertelny.

Morze! Nie umiem wymówić tego jednego wyrazu, żeby mi natychmiast w oczach tysiąc barw nie zadrgało; żebym, olśniona urokiem jego, nie odrywała się od książki, od pióra i nie śpieszyła do tej czarodziejki, uśmiechnionej, rozmarzonej, grającej blaskami od słońca pożyczanymi.

Takie dziś utulone, słodkie, ciche, różano-błękitną mgłą okryte, uroczyste Morze Jońskie—jak gdyby burz nie znało, jak gdyby fale jego z loskotem i wściekłością szaloną nigdy się o nadbrzeżne skały nie rozbiły, jak gdyby nie umiało pnieć się, pluć szumowinami i tysiącom ludzi grozić zagładą.

A jednak, o morze! zdradzieckie, pełne fałszu, pełne obludy, niedarmo „mądry, boski Ulisses” źle o tobie trzymał, niedarmo dawał ci ujemne tylko przydomki „niepłodnego, niegościnnego, strasznego morza”, znał fale twoje burzliwe i ciężki żal żywił do ciebie. O morze! czemu nęcisz dzisiaj, wabisz i czarujesz wzrokiem swoim? Czy, aby nam dać zapomnieć o tych chwilach agonii, jakich zazналиśmy za twoją sprawą?

Być na Korfu—to rozkosz, to się pięknemu marzeniu równa, ale dostać się tutaj—to co innego. Wiatr Bora popycha statek nasz z Lloydu, „Argo”, pędzi go wściekle, jak gdyby miał ochotę zmieść go z Adryatyku i morze oczyścić. Wiatr Bora dziś żeń-

skiego rodzaju,—ta Bora” „ona” we wszystkich językach go nazywają,—a jednakże pewnie sam wyraz od sławnego Boreasza pochodzi; zkaże więc rodzaj żeński? czy z powodu gwałtowności, kaprysów i fantazyj wiatru?

Mniejsza o to, faktem jest, że „Bora” z Abbazzyi i Fiume nas wypędziła, i faktem także, że się pastwiła nielitościwie nad statkiem naszym, towarzysząc mu znacznie dalej, niż jęć iść wolno, bo tylko na północy Adryatyku króluje i po za zatoką Quarnero nie waży się rzucać i szamotać.

Co jęć się stało w tych ostatnich dniach stycznia, że się tak rozhułała i że dopiero gdy Sirocco (godny, choć cieplejszy brat jęć z południa) wyszedł naprzeciw niej, przestraszona groźną i szumniejszą jeszcze postawą jego, ustąpiła z placu, lecz nie bez walki.

Co się działo z naszym nieszczęsnym parowcem, trudno opowiedzieć, a co się działo z nami, jęczącymi w jego czeluściach, jeszcze trudniej.

Kto zna ten haniebny ruch statku z dołu na górę i z góry na dół z całą gwałtownością, kto zna, niech powie, co się wtedy dzieje w duszy przeciętnego śmiertelnika.

Morze to podrzuca parowiec w górę, to odrzuca go w głąb otchłani; bawią się nim bałwany, jak chłopcy piłką. Miła zabawa dla pasażerów!

Ale oprócz nas, dwóch kobiet, niema pasażerów na

„Argo”; jest tylko kapitan i cała załoga, i wszyscy jedną głównie mają ambicję: ratować nas w ucisku.

— Kapitanie — pytam resztkami zamierającego we mnie głosu — czy my tak długo tańczyć będziemy?

— Niedługo: to zatoka Quarnero, najgorsza w tych stronach; tu nas Bora jeszcze ściga, za kilka godzin będzie lepiej.

Za kilka godzin było gorzej.

— Kapitanie, czy to nigdy końca nie będzie miało? — pytam niedosłyszczanym prawie głosem.

— Karnawał! ostatki! Morze hula i jemu wolno się pobawić.

Nie podobał mi się żart kapitana; na takim morzu nic się śmiesznym nie wyda.

Minęło godzin 24, godzin fatalnych, które w dniu sądnym powinny być na wielką wagę policzone.

Pod szarem niebem, na opętanym morzu, gnani przez burzę, dążymy naprzód. Nadeszła noc druga. Wieher jęczy, maszty trzeszczą, maszyna, serce statku, które bije zwykle miarowo, rytmicznie, teraz drży konwulsyjnie, nerwowo, szamocze się, jak ptak drapieźny, w sidła złapany.

Kapitan, Kroat, ideał dobrego wilka morskiego, nie schodzi prawie z pokładu. Jak cień przesuwają się cicho obok mnie.

— Kapitanie, co się z nami dzieje?

— Czemu pani nie śpi?

— Jakże mam spać? — pytam złamana zupełnie, bezsilna, biorąc za ironię słowa jego.

— Prawda! fatalne morze! Sirokko teraz przyszedł z południa: to starcie bory z sirokkim.

Ja czułam tylko z głuchą apatyą, że kilka godzin więcej tańca bory z sirokkim, a już będzie po mnie. Nietylko po mnie, ale i po statku. Czegoż tak trzeszczał i jęczał?

Już uszkodzony wyszedł z Fiume; na wyjeźdnym kuto łańcuch, ogniwa pękały, a łańcuch do steru należał; bardzo był zardzewiały, podejrzaną miał minę.

Wśród tego głuchego łoskotu i szamotania się wszystkich członków parowca, od czasu do czasu dochodził mnie odgłos młotów, kująco żelazo.

Jak widmo jakie groźne, majaczał mi czarny łańcuch w oczach we śnie i na jawie, choć trudno mówić o śnie lub jawie, kiedy ani chwili nie spałam i ani chwili też przytomną nie byłam. Myśl tylko jedna, niewyraźna, ale natrętna, uwięzła mi w głowie: „Jak ster przepadnie, to i my z nim razem”.

Nikt i nic jednak nie przepadło, oprócz naszych nadziei, które się w rzeczywistość nie zamieniły; bo tak nęciła nas droga po modrym Adryatyku. Tak w marzeniach naszych ten zdrajca stał spokojny i gładki, jak jezioro, udawał, że się zmarszczyć nie umie; taki był szafirowy, tak jednostajny, a promienny w kolorycie, że nie jak morze, ale jak firmament, u nóg złożony, wyglądał; a tymczasem...

Nigdy jeszcze Neptun nie pomścił tak srogo na na śmiertelnikach lekceważenia królestwa swego. Wspomnienie przeprawy na modrych falach Adryatyku do miłych należeć nie będzie, choć mogło. Wszystko było po temu: statek śliczny, elegancki, kuchnia doskonała, wina wyborne, owoce i ryby najróżniejsze, uprzejmość poczciwego kapitana, — wszystko było po temu, tylko nie morze, i o całą dobę spóźniliśmy się, stanęliśmy w Korfu.

Luty, 3-go. — Tutaj, w Korfu, przedewszystkiemi z morzem żyć się trzeba. Gdzie spojrzeć, wszędy ono na pierwszym planie wód lśniących, na których barwy nieba mienia się ustawicznie. Oczy, oderwane od morza, uparcie powracają do niego; przedziwne blaski tych wód łamią się i krzyżują co chwila inaczej, a zdaje się, że coraz to piękniej.

Korfu, po grecku, „Kerkyra” za czasów Homera „Scheria”, to najpiękniejsza z wysp Jońskich; Zante tylko z nią rywalizuje, chelpiąc się tytułem kwiatu wschodniego „Fiora di Levante”.

Zante jednak nie grało nigdy takiej roli, jaką Korfu do dziś dnia odgrywa.

Nausikaa „bialoramienna” córka „wspaniałomyślnego” Alcinousa, i Ulisses tu się spotkali.

Niebezpiecznie jest zadawać się z Homerem pod greckim niebem, wśród oliwnych gajów; mimowoli pióro przejmuje się bohatersko-epicznymi zwrotami; a dopiero, gdy się przeczyta wieczorem *Figaro* i wró-

ci pod jego wpływem do końca stulecia, spostrzega się, jak bardzo śmiesznymi zwroty takie w codziennej korespondencji wydać się muszą.

Rano Homer, morze, wzgórza cyprysowe i oliwne. Wieczorem *Figaro* i *table d'hôte*; jakież to olbrzymi przeskok! Homer i *Figaro* — tyle wieków w jednym dniu.

Trudno tutaj mitycznych wspomnień nie mieć na myśli, gdy się wśród dnia ogląda tę rzekę, w której Nausikaa prała bieliznę ze służebnicami swemi; gdy się patrzy na gaje, w których dziś jeszcze nimfy zdają się przebywać — takie to wszystko klasycznie piękne, klasycznie wesołe i pogodne.

Teraz Grecy wiosnę witają, cieszą się nią i co noc prawie na jej cześć serenady wyprawiają. Jak gdyby ich „Kerkyra” całą zimę róż nie wydawała; nawet w grudniu i styczniu drzewa pokryte są zielenością i owocami.

Budzę się w nocy: pod naszymi oknami brzęczą stare struny mandoliny, harfy i gitary; w powietrzu dzwoni odwieczna, naiwna melodia.

Jakież to dziwne uczucie być obudzoną o 2-jej w nocy przez mandolinę i harfę i słuchać piosenki tęsknej! Traci się pojęcie rzeczywistości; może to sen?

Serenada powoli cichnie — ciepły wiatr morski przynosi tylko echo delikatne zdaleka — i znowu się zasypia snem pokrzepiającym, jaki daje powietrze morskie, a rano już się nie wie, czy serenada prawdą była, czy złudzeniem.

Wstajemy. Słońce wielkie snopy promieni wrzuca do pokoju, a z niemi wesele sływa; przez otwarte okna wpadają rozliczne okrzyki greckich przekupni, przeciągłe, śpiewne, i śmiechy przechodniów ulicznych i codzienne „Torreador, Torreador”, melodia, która prześladowuje nas na każdym kroku.

Zaczynamy dzień po chrześcijańsku. Kościół ubogi, ale sympatyczny; nie widać w nim jaskrawych, źle dobranych farb, rażących oko w kościołach wschodnio-południowych.

Jest w nim cudowny obraz *Santa Maria di Salute*, niezmiernie miły dla serca, taka słodycz w wyrazie twarzy Najświętszej Panny i przytulonego do Niej Jezusa.

Widocznie katolicy tutejsi wielkie mają nabożeństwo do tego obrazu: przechodząc, pocierają rękę o niego; poczem się żegnają.

Luty, 5-go.—Trudno sobie wyobrazić, że są gdzieś kraje, pokryte chmurnym niebem, gdzie mroźny wiatr tumany śniegu wzbija w górę i zasypuje one-mi wszystko dokoła.

Trudno to sobie przedstawić, gdy w słońcu tutaj mamy 28 stopni ciepła i gdy się wraca z miasta z wielkimi bukietami dzikich nareczów, hyacyntów i fijołków.

Oryginalne miasteczko to Korfu: kilka tylko ulic banalnych, przy których sklepy nie nęcą wystawą. Liche towary europejskie, z Niemiec lub Włoch spro-

wadzone, a za bajeczne summy cudzoziemcom sprzedawane, rażą na tym tle greckim. Niemieckie perkalę, wyroby bawełniane, kapelusze i parasolki, psują harmonię. Stare to, trywialne znajomości spotykane we wszystkich miasteczkach cywilizowanej Germanii.

Takie to brzydkie, rażące! Uciekamy prędko na esplanadę — ogromny plac, językiem, na którym cytadela, w morze wsunięty i z trzech stron morzem oblany. Tu wojsko greckie codziennie ćwiczenia odbywa.

Gdy się patrzy na te brudne mundury, na szeregi, gdzie żołnierz niezmierniej wysokości dąży obok żołnierza śmiesznie małego, przychodzi na myśl zabawny wierszyk: „Tańcowaly dwa Michały, jeden duży, drugi mały” etc.

Nie wzbudzają oni podziwu ani postrachu, ale mustrować się trzeba. Grecya, przynajmniej na pozór, nie chce pozostać w tyle za polityczną manią zbrojenia się i mustry. Więc się ćwiczą potomkowie dawnych Feaków, otoczeni zgrają drwiących uliczników; mustrują się z pewnym lekceważeniem komendy, ale i to wiele, jak na Greków, którzy podobno nie lubią się krępować przestarzałymi pojęciami o bohaterstwie, honorze, uczciwości etc.

Biedni Grecy, fatalną mają reputację, ale nie biorą tego do serca. Co im po opinii świata, kiedy słońce opiekuje się nimi wyjątkowo, a natura dała im

hojną ręką wszystko, co tylko matka kochająca dziecku pieszczonemu dać może. Więc też śpiewają, gdzie i kiedy się da: w nocy, we dnie, na lądzie, na morzu, starzy, młodzi, rybacy i wielcy panowie.

Wielkich panów z miny i znaków bardzo wielu tutaj. Cały dzień na słońcu się grzeją i jedzą *frutti di mare*, zamiast ostryg, albo sałatę oblaną suto „złotą oliwą”.

Dumnie na świat patrzą, harde mają miny, tylko ubranie nieco wytarte: trochę to brudne, trochę dziurawe. Dawniej, póki szaty te nosiły cechę krajową, musiały być, pomimo dziur i łat, malownicze, dzisiaj malowniczymi być przestały. Angliecy wnieśli tu krawaty, krawaty i cylindry. Szkoda, bo i to psuje koloryt, harmonię.

Blizko wybrzeża, na mikroskopijnej wysepce, z kilku głazów złożonej, leży rybak, wędkę zapuścił w nurty morza, a pięknym barytonem nuci *sotto-voce* monotonną, tęskną piosenkę.

Fala kołysze się zwolna, leniwie, szeptem coś cicho nadbrzeżnym skałom; rybak jęć wtóruje. Słońce opromienia obraz ten, tętnący wielkim spokojem, dziwnie błogi.

Po urwistym wybrzeżu spuszczają się drobne jasno-zielone liście, spuszczają się festonami, ścianą zieloną, z niesłychaną bujnością. Całe przestrzenie przysлонione są liśćmi temi. Nawet stare mury, baszty i okopy weneckie pokryły się taką nieprze-

bitą zasłoną majową, udając młodość i wesołość, zgrzybiałe, pod tym płaszczem wiosennym.

Luty, 6-go. — Zawsze nad brzegiem morza. Między kamieniami wyrastają kępy listków delikatnych. Spoglądam w dół, tam gdzie fala po kamieniach spływa: starzec jakiś o długiej brodzie, z nożem w rękę, pnie się górę, czepia się kamieni, widocznie poszukuje czegoś.

— Coście zgubili? — pytam.

— Szukam liści na sałatę — odpowiada z uśmiechem. — tu są doskonałe listki! — a mówiąc to, odcina zielony krzak od korzeni.

Słońce jaskrawym blaskiem złoci białą brodę starego. Na jego twarzy maluje się zadowolenie. I przychodzi mi na myśl, że szczęśliwy lud ten, który między kamieniami pożywienie znajduje, w morzu sieć zanurzy, a ryby mu nie zabraknie, rękę ku drzewu wyciągnie, i soczystym owocem pragnienie zaspokoi.

Luty, 8-go. — Znowu serenada w nocy, dzisiaj z kilku męskich głosów złożona. Prześliczne głosy i cudna melodia.

Luty, 10-go. — Nademną spuszczają się gałęzie eukaliptusu — długie jego, delikatnie zabarwione liście, szeleszczą, drażliwe na powiew morza.

To ogród i rezydencya króla, *Villa reale*. Rajski ten zakątek ziemi *Mon repos* także nazywają; nigdzie rozkoszniejszego miejsca na spoczynek znaleźć nie można.

Na wysokim wzgórzu pałacyk (niestety, pałace i wille szpecą tu naturę, architekci nie umieją się do niej stosować). — Tam, gdzie stromo, prostopadle prawie, ściana wzgórza nad morzem się wznosi, tam wielkie, czarne cyprysy wysmukłą linią ku niebu się wzbijają.

Niebo szafirowe, bez żadnej chmurki, przebija między lekkimi gałęziami drzew pieprzowych, mimoz, eukalipsie i rzuca jasne smugi na zasiane kwiatami trawniki.

Dziś morze w pół senne, rozmarzone; słońce nie pali, ale głaszcze i pieści fale jego. Tło z gór niebiesko-różowe, mgłą z lekka okryte, opiera się o linię śnieżną dalekich wierzchołków Epiru.

Czarne glazy, jak skamieniałe zakłete potwory, wychylają się z jasnego morza. Nad niemi krążą, od czasu do czasu ostrym krzykiem ciszę przerywając, srebrne mewy.

Cały ten obraz, czy to rzeczywistość, czy senne złudzenie? Wyspę tę „czarodziejką” nazywają.

Znowu śpiew rozchodzi się w przestrzeni — to ogrodnicy z „Villa reale” nucą włoskie melodye przy pracy. Śpiew tu ludziom potrzebny, jak ptakowi; w ich duszy tyle promieni słonecznych, których myśl nie ęmi, bo oni nie myślą pewnie.

Tu chciałoby się tylko kapać w słońcu, wysoko zatapiać w morzu, rozkoszować się naturą machinalnie, bezmyślnie, tak, jak się nią bezmyślnie stworze-

nia cieszą; chciałoby się tylko czerpać powietrze morskie, słuchać szmeru mimoz i eukaliptusów, myrtów i drzew oliwnych.

Cale Korfu, wszystkie jego wzgórza i doliny, to przecie jeden las oliwny.

Każde drzewo naznaczone cyframi właściciela, a rozmiar ziemi zależy od objętości, jaką drzewo oliwne, rosnące na niej, cieniem swoim naznacza.

Pod oliwkami siedzą lub leżą kobiety i dzieci, zbierają drobny czarny owoc do kosza, nie trują się, nie pną na drzewa, aby z mozołem plon zebrać — odpoczywają.

Rozkazu „w pocie czoła pracować będziesz” nie biorą do siebie.

Luty, 12-go. — Hotel *Bella Venezia* mógłby służyć za wzór hotelom. Właściciele jego nazywają się *Gazzi*. Być Grekiem i „Sroką” w dodatku, to już do prawdy daje do myślenia. A jednak niejedyn z „Gogów”, którzy, jak wiadomo, wzięli od Opatrzności monopol na dystynkcję, elegancję (i... naiwność), niejedyn mógłby się cieszyć, gdyby go nieba obdarzyły powierzchownością pana *Gazzi*. Elegancki *gentleman* wychodzi pierwszy na spotkanie gości, przy *table d'hôte* sali jadalnej nie opuszcza, z gracyą wielką podaje salaty i kompoty, i myślimy sobie: kto kiedy u nas w kraju spotkał właściciela pierwszorzędnego hotelu „na służbie”? Ci właściciele, a nawet dzierżawcy, to mityczne postacie; toby im

przecie okropnie ubliżało, gdyby się osobiście dla komfortu gości trudzić mieli.

Tak jest podobno i w wielkich magazynach, i w fabrykach polskich, i wszędzie. Od czego płatny zastępca?

Czy lepiej się dzieje dla tego? nie wiem.

Pierwsze hotele tutaj—to pozostałość po Anglikach, komfort prawdziwy, łóżka angielskie — *c'est tout dire*, jedzenie doskonałe; *menu* bardzo urozmaicone, znakomite sery, wielka rozmaitość owoców,—jednym słowem: można być zadowolonym; nawet w tym klasycznym kraju wolno o tém wspominać, skoro Ulisses tak bardzo często zachwala „wspaniałe uczty” i wdaje się w opisy szczegółowe dań różnych, dowodząc, że są „sercu miłe i ducha podnoszą”.

Tu niema ani reunionów, ani kasyna, ani rulety, ani *rouge et noir*.

Są tacy, którzy Korfu „nudną dziurą” mianują.

Jest tu tylko natura. Wprawdzie cudowna natura, ale nie stworzona dla ślepych, głuchych i głupich.

Dla tych, którym natura wystarcza, kraj ten jest jedyny. Nieznana tu niewola światowa, nikt się nikomu nie narzuca, jedni drugim nie zawadzają. Po dwie osoby, Anglicy, Francuzi, Niemcy i Rosyanie, Włosi i Szwedzi spacerują, rządzą dalekie wycieczki po niezmiernie malowniczych wybrzeżach wyspy.

Tu się lgnie do natury, codzien nowe cuda,

w niej się odkrywa, wręcz przeciwnie, niż się gdzieindziej zwykle dzieje.

Luty, 18-go. — Dziś rano najpierw pokłon morzu oddany. W dali, za zatoką, szczyty gór albańskich (Epiru), oponą białą okryte. To śnieg—nieprawdopodobnym się wydaje pod tém słońcem, wśród téj zieleni.

Ztamtąd nieraz Mistral albo Tramontana na zwiady do Korfu przylatuje, zakręci tumanami pyłu, zamąci spokój grecki, wystudzi słodką atmosferę i wraca do swéj ojczyzny.

Ale dziś cisza. Wszędzie różowe tony dominują.

„Jasno-włosa jutrzeńka” zostawiła cząstkę powiewnej szaty na niebie.

Za mną wzgórze, okryte bujną egzotyczną roślinnością; białe domki w dolinach, albo wśród cyprysów ku górze się pnące; ze mną jeszcze stare mury i baszty i rozległa „spianasta”. Cypel, ostro w morze wsunięty z boku, na nim malownicze „bliźnie cydatele” na skałach, wysoko majestatycznie przysiadły. Ich podnóże ze sterzących głazów złożone, a między głazami wszędzie pinie, kaktusy, agawy, drzewa laurowe i cyprysy, festony pnących się roślin, niby wieńce, niby girlandy, tam po nocnej uczcie przez bogów albo bohaterów rzucone.

Ma słuszność Gregorovius: gdyby kto zabrał wyspie Korfu jéj podania mitologiczne, jéj bajeczne ogrody, Alcinousa, jego Nausikę, bohaterskie czyny Feaków,

większą-by wyspie krzywdę zrobił, niż ogalając ją z jej niezrównanych gajów oliwnych.

Luty, 19 go.—Zawsze nad morzem.

Przychodzi też na myśl śliczny hymn Karpińskiego:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki.”

Taki poranek świetlisty hymn Stwórcy zdaje się śpiewać. I ziemia, i morze i wszystkie barwy i tęcze wielbią Pana.

Podobne zdaleka do skrzydeł anielskich, białe żagle na małych stateczkach pełne są poezji, uroku. Tylko czar znika, kiedy się ich ręką dotkniemy, kiedy zbliżka im się przyjrzymy.

Z grubych, czasem brudnych szmat zszyta plachta — to owo skrzydła anielskie.

Tak-to złudzenia optyczne równają się złudzeniom duchowym. *Fata morgana*, miraż, iluzje.

Na brzegu morza dwaj Grecy szukają czegoś w wodzie, między kamieniami. Ja patrzę ciekawie i oczyma pytam: Co to?

Jeden z nich głowę podnosi, uśmiecha się wesoło i wydobywa z kieszeni pakietek. Odwija papier — w papierze *frutti di mare*, różne mięczaki, od kamie-

ni oderwane. „Czy chcesz, Signora?—pyta Grek po włosku (większość ludności zna język ten biegle) i częstuje mnie swoim śniadaniem.

— Doskonale — dodaje, zachęcając mnie do pożywienia, więcej oryginalnego, niż apetycznego.

— O nie! bardzo dziękuję; już jestem po śniadaniu — odpowiadam równie uprzejmie, w obawie, by zręcznego rybaka nie obrazić.

Luty, 20-go. — Gdzie się tylko obrócić, wszędzie pamiętki po Wenecyanach.

Czy to nie dziwne, że człowiek zawsze dąży do wiedzy, ciekawy szczegółów, dat, nazwisk; a daty i nazwiska tak często urok tajemniczości zdzierają. Ciekawość popycha do zgłębienia wszystkiego, co widzimy, co nas otacza, a ledwie zaspokoić ją zdołamy, już żałujemy. Wolelibyśmy cofnąć się do nieświadomości, która zdaje się kryć rzeczy nierównie piękniejsze i ciekawsze, niż to, co w rzeczywistości istnieje.

Weneckie pamiętki w mieście—to najpierw miasto całe, „miasto dobre do widzenia”, jak nasz wioślarz Spiro mówi, „lecz w niem źli ludzie”.

Czemu Spiro został pessimistą, to także tajemnica niezbadana. Że miasto „dobre jest do widzenia”, to pewna, szczególnie ciekawe.

Ważkie uliczki, na których dwóm ludziom minąć się trudno—cecha miasteczek południowych. Kilka ulic szerszych, na których dwóm powozom minąć

się jeszcze trudniej—zawsze ta sama cecha. Domy z krytami gankami, wsparte na kolumnadzie, żaluzye szczerlnie dzień cały zamknięte, z po za nich ciekawie różne czarne oczy na świat spoglądają. To wszystko prastare zabytki.

Po Wenecyanach mury obronne, baszty pokruszone, wały rozliczne, wszystko omszałe ze starości, zrujnowane malowniczo.

Do starój wieżycy przyczepiona nowa ściana; do odwiecznej baszty przytulony świeży biały domek; na wałach, które miastu kiedyś za pancierz służyły, winnice albo drzewa pomarańczowe—obładowane owocami.

Z po za szczątków twierdzy, niegdyś wspaniałej, wychyla się ciekawie na słońce, na świat Boży, korona palmy daktylowej, jak pióropusz z nad hełmu rycerza.

Port między dwoma cyplami, cyple te, a na nich prastare malownicze fortece, jakby na straży naprzód wysunięte, w opiekę wzięły wyspę.

U stóp jednej z cytadel, wsparta o podnoże góry, wznosi się z żółtego kamienia jedyna klasycyzna, o wysmukłej kolumnadzie, dorycka świątynia.

Trochę imaginacyi, a łatwo w siebie wmówić, że to ta świątynia Marsowi poświęcona.

Tuż pod jęj ścianami morze, a takie urocze, takie promienne, że nie mogli Grecy piękniejszej kolyki dla Amfitryty wymarzyć.

Dzisiaj na fal szafirze rzucone były szarfy złote i srebrne. Wiatr z po za gor Epiru potrzasał szarfa-mi, a wtedy tworzyła się luska złocista, której blasku oczy wytrzymać nie mogły.

Luty, 21-go. — Największy kontrast ze świetlistym morskim pejzażem stanowią wązkie kręte uliczki. Taki spokój na morzu, taki ruch i gwar w tych uliczkach! Mężczyźni snują się jak mrówki; kobiet z ludu mało bardzo widać.

Ale mężczyźni widocznie mają także dar hałaśliwości i gadulstwa, a gdy język nadażyć nie może, pomagają sobie gestami.

Przy sklepikach owoce. Pomarańcze, mandarynki, przeróżne jabłka, suszone figi i daktyle leżą stosami, jak u nas kartofle lub buraki. Mijasz stos jeden, natrafiasz na drugi; idziesz dalej, wечно to samo. Owoce z listkami zerwane, olbrzymie cytryny, wszystko jaskrawe, ozłoczone blaskiem słonecznym.

Więc też Korfu zostawi mi wrażenie najjaśniejsze. Gdy o niem w przyszłości myśleć będę, zagrają mi zaraz w oczach blaski, tęcze i światłość wielka.

Albańczycy, dawni Epiroci, najbliżsi sąsiedzi, bo się do nich łodzią w godzinę dostać można, kręcą się gęsto po ulicach. Malowniczy strój ich i piękne klasyczne rysy dziwnie harmonizują z tłem klasycyznem także.

Krótkie do kolan, bardzo fałdziste, białe welniane suknie, kaftany zahaftowane, z wielkimi wylotami,

narzucone na białą faldzistą koszulę, nogi owinięte bandażami do kolan, na nich trzewiki z wielkimi, w górę zadartymi, dziobami, turban ponsowy, z fantazyą na głowę naciśnięty—wszystko to ciekawe i miłe dla oczu.

Z bardzo wyniosłą miną zamiatają ulice. Tu i owdzie rzadka przesuwiają się ich żony lub siostry, w obcisłych, pokrytych haftem, granatowych kaftanach, do kolan spadających; kaftan ściśnięty pasem szerokim, którym, jak powijakiem, środek figury krępują: oryginalny charakter nadaje to ich strojowi. Zgrabne, choć prawie zanadto wysmukłe, snują się tak mieszkanki Epiru, nie próżnując nigdy. Nawet gdy dążą środkiem ulicy, trzymają kądziel w jednej ręce, drugą nie ciągną; z oczyma wlepionymi w pracę, zdają się tylko o niej myśleć. Podobno nie wolno im jest oglądać się na prawo, na lewo. Zamiast nici, kręcą czasem sznurki i suną żwawo naprzód, biegnąc szybkim krokiem.

W niektórych dzielnicach miasta, między wałami się murami, których proch słońce ozlaca, snują się setki osiołków; na grzbiecie ich paki jarzyn, głównie fioletowych kalafiorów, karczochów i porów; jarzyny tworzą rodzaj małego stogu, pod którym i za którym i osioł, i jeździec, siedzący na ogonie osła, nikną.

To osiołki, i te mury potrzaskane, i ten szafir nieba, i palma z po za odłamu ściany tu i owdzie się ko-

łysząca, dziwnie mi Kair przypominają, i dlatego tak mnie tam coś ciągnie między te tęskne, a jaśniejące blasków tysiącem ruiny, choć wszyscy stronią od nich, bo tam do morza daleko i smutno jakoś.

Luty 22-go. Dzisiaj wizyta u starego greka; oryginalna wizyta. Ciekawość i łakomstwo nas tam zaprowadziły.

Z po za murów istnych fortyfikacyi (tak tu obronie ludzie dobytek swój zasłaniają) wyglądają szczyty drzew migdałowych, rozłożystych, pokrytych białym kwieciami; korony drzew pomarańczowych, na których kwiat obok dojrzałego owocu się rozwija, cytryny, mandarynki — wszystko to z po za muru się uśmiecha.

Ale jak się tu dostać do tych ogrodów Hesperyd, kiedy wszystko szczelnie zamknięte?

Tak medytując, kręcimy się między zaułkami po przedmieściach, pod napowietrzną oponą praniej bielizny, która ma tutaj prawo obywatelstwa i nie kryje się po strychach, jak u nas; tu, pod tém niebem, nawet rozwieszonęj bieliźnie do twarzy.

Znowu prześliczne korony drzew z ponad murów. Między murami domek mały, o dziwo! drzwi otworem na przestrzał, tak, że z po za długiej sieni widać i pnie drzew i mnóstwo zieloności.

Pokusa za wielka; zaglądamy do wnętrza, ale nie odważamy się wejść nieproszone. Z góry otwiera się okno, wychyla się z niego greczynka — żaluję,

że nie mogę dodać: ani „białoramienna”, ani „przecudnej urody”, bo mocno stara i mocno brzydka, ale za to bardzo uprzejma: uśmiechem i gestem zaprasza nas do środka.

Na nasze spotkanie wyszedł stary grek, gruby, okazały, wprowadził nas do gaju pomarańczowo-cytrynowego, robiąc nam honory dość zrozumiałą francuzczyzną. Niezrównanie komiczny w gestach i pozach oratorskich, jakie przybierał, by nam tłómaczyć, że ludność Korfu nie nie zyskała na oddaleniu się anglików. Mówił nam, że rząd grecki nakłada ogromne podatki, że 80 procent płacą od dobytku (podobno grek przesadzał trochę podaną liczbę, uniesiony zapałem), że handel przepadł. Zrywał dla nas najpiękniejsze pomarańcze, przepraszając, że tak „podłym owocem” przyjmuje „tak wielkich gości”, a nasze podziękowania przyjmował uprzejmie: *Trop d'honneur, trop d'honneur.*

Olbrzymi kaktus jednem grubem ramieniem pnie się po ścianie domu Zory; aż na dach się zacząłgał, zupełnie do węża boa podobny formą i objętością. Dwie piękne palmy tworzą baldachim nad małym strumieniem. Wielkie drzewa migdałowe okryły się kwieciami, również brzoskwiniowe i morelowe. Kwiaty i owoce całą zimę, rok cały, to rozkosz!

Pokręcone konary winne, grube, stuletnie, rozkładają gałęzie swoje szeroko: *Abricot-pêches* dojrzewają tu w maju, nasze poziomki z oliwnych gajów —

w kwietniu, podobno doskonale brzoskwinię od czerwca, do października nefe japońskie.

Jakichże on nie ma kwiatów i owoców?

Chwile spędzone w ogrodach Zory zaliczam do najmilszych wspomnień. Każdy widok, każda nie znacząca scena tutaj, wśród téj natury, idyllicznego charakteru nabiera.

Nazajutrz grzeczny Zora przysłał nam wielki kosz najśodszych pomarańcz, jako zakończenie greckiej sielanki.

Luty d. 23-go. Homer nazywa Korfu „Scherią”, dla greków dziś urzędowa nazwa „Kerkyra”! Weneccyanie od miasta całą wyspę Korfu ochrzcieli, od wyrazu „corifo”, który podobno wierchołek, oznacza, a że góra, przednia straż miasta, na której dziś cytadela, ostro stożkowato dwoma szczytami ku niebu się wzbija, ztąd „Korfu”.

Korfu ma kształt sierpa. Mytologiczne podanie mówi, że sierp ten należał do Cerery, która się nim uzbroiła przeciw bogom, gdy jój Persefonę wykradli. Tym samym sierpem uczyła Tytanów żąć zboże, rozszerzając kulturę po świecie.

Malownicza, urocza wysepka, blisko wybrzeży położona, „Pondikonisi” zwana, ma formę okrętu z kamienia wykutego. To podobno okręt Feaków, przez Poseidona w kamień obrócony.

Czy doprawdy Homer mógł być ślepym? Kiedy on naturę maluje lepiej od wszystkich najgenialniej-

szych malarzy? Koloryt Seherii lepiej pochwylił i oddał, niż wielu późniejszych i tegoczesnych autorów.

Gdy tylko na słońce wyjrzymy, zaraz nas ciepło ogarnia, gorąco nawet nad morzem tam, gdzie podobno Ulissesa fale wyrzuciły.

Za to w pokojach zimno zupełnie. Początkiem lutego trudno się nam było ogrzać. Są kominki, ale tylko dla porady, broń Boże napalić: ryzykuje się uwędzić w dymie. Tylko w gościnnym i eleganckim konsulacie francuzkim grzejemy się przy ogniu z drzewa oliwnego lub cyprysowego.

Mieszkańcy Korfu tak się boją sztucznego ciepła, że widok ognia wypędza ich z pokoju; z podziwieniem słuchają, gdy im opowiadamy o 15-tu stopniach ciepła, wymaganych w czasie zimy po naszych domach.

— To o śmierć przyprawić może! — mówi nasz kanonik kochany.

Konsulat francuzki, otoczony również pięknym ogrodem, a eukaliptusy wspaniałe są główną jego ozdobą. Prześliczne są obramowane barwinkami i rozmarynem klomby, wśród których spaceruje biedna, kulawa mewa.

Nieujęte są ptaki te. Trzeba było kalectwa, by ten niepodległy, dziki ptak w ręce ludzkie się dostał. Przybity, smutny, okazuje swą niechęć dla obcego otoczenia uderzeniem zakrzywionego dzioba. Bije, gdy może. Ten się nie zrezygnuje nigdy.

We francuzkiem towarzystwie zapomina się, niestety, o klasycznym świecie. Taka tu niezmiernie cywilizowana, *fin de siècle*, rozmowa. Gospodarz bardzo wykształcony, typ dowcipnego paryżanina, drwi ze wszystkiego na świecie, nawet z samego siebie. Naturalnie, zaczyna od greków, dla których, nie ma słów pogardy.

— Złodzieje, handlarze, przekupnie, fałsz, obłuda, brudne wychowanie.

Na ich obronę przytaczam gościnność Zory; jego pomarańcze służą mi za dowód bezinteresowności greckiej. Pan D. z niedowierzaniem słucha: „*Vous avez roulé un Grec? Mais vous êtes donc d'une force supérieure. Enfoncer un Grec cela mérite un brevet*” etc.

A jednak, mimo tego wszystkiego, ja zachowam najmiłsze o nich wspomnienie. Nietylko ów Zora podbił nas uprzejmością swoją; bardzo często spotykamy się w kraju tym z grzecznością, usłużnością i gościnnością. Po za tém ich śmiech wesoly, ich śpiew, dzwoniący o każdej porze w powietrzu, czyni ich, dla mnie przynajmniej, bardzo sympatycznymi.

Luty d. 26-go. Dzisiaj rewizyta arcybiskupa. Byliśmy u niego kilka dni temu; tylko za pomocą drogmiana rozmowa się toczyła; niestety, brakuje nam tu bardzo języków greckiego i włoskiego. Prześliczna postać starca o długiej białej brodzie, w habicie kapucyńskim, przewiązanym pasem fioletowym. Szlachetne rysy, wielka słodycz i dobroć w oczach.

Jest on areybiskupem Wysp Jońskich, otoczony najwyższym szacunkiem, nietylko swoich owieczek.

Trudno uwierzyć, jak marnie uposażone jest duchowieństwo tutejsze. Z czego żyje i czém żyje, — to dla wielu zagadka. Nawet obiad areybiskupa bywa nieraz problematyczny. Nie dziwnego: stałej pensyi ma 300 franków.

Siostry miłosierdzia, *les Dames du Calvaire*, żyją tu w nędzy zupełnej. Wśród różnowierców poparcia nie mają, prawdziwie po cierniach i głogach dążą do wieczności, kształcąc po większej części darmo włoskie, greckie, a nawet żydowskie, pokolenie. Wszystko to razem paciérz mówi; lekeye wszakże religii odbywają się dla innowierców po za klasztorem.

Nędza tych najszlachetniejszych kobiet, które nieraz nie wiedzą, czém się pożywić i nakarmić, jest czémś, co serce ściska.

A jednak są tacy, którzy nie wierzą ani w poświęcenie, ani w najwyższe zaparcie się siebie.

Luty d. 27-go. Przyleciał wiatr z Epiru, zimny, lodowaty. To *tramontana* szaleje; tumany pyłu podnosi, zasypuje usta i oczy, burzy morze, a fale pienia się i huczą.

Chorzy na płuca, bronchity, newralgie, chodzą tłumami, kaszlą i narzekają, że się o kilka tygodni w tył cofną w kuracyi. Słońce świeci jednak, paliłoby nawet, ale mu *tramontana* nie daje: mrozi swym oddechem, a lekkomyślni, którzy bez płaszcza na

spacer się wybrali, dzwonią zębami. Ręce miałam skostniałe, wracając ze „spianatty”. W pokoju ugrzać się nie można, więc w futerkach siedzimy.

Zła jestem i wszyscy są źli; św. Spiridyonie, czyś ty zasnął, że tak żywiły na wyspie twojej dokazują?

Luty 28-my. Drugi dzień *tramontany*. Odwieczne baszty i stare mury potrzaskane, i gęste festony liści drobnych, stopy pomarańcz i kosze pełne kwiatów — wszystko tumanami piasku przysłonięne.

Morze wściekle przerzuca bałwany po za balustradę, pieni się i wyje. Chciałaby wszystko z drogi usunąć i wyspę zmieść ze świata.

Że wyspa do tej pory ani przez morze, ani przez trzęsienie ziemi uszkodzoną nie zastała, to tylko dzięki św. Spiridyonowi, — tak przynajmniej mówi nasz Spiro.

O św. Spiridyonie! Nie chciałabym dzisiaj być na morzu „na morzu groźném, morzu niegościnném”

W porcie wszystkie statki spóźnione!

Marzec, 1-go. Już cicho. Wszystko się znowu uśmiecha. Korzystałyśmy z czasu, by się wybrać do Gasturi.

Na wysokiem wzgórzu, o dwie godziny od miasta, na jakie 2.000 stóp nad poziom morza, wyrasta pośpiesznie pałac, w stylu nowym, włoskim. Pejzaż jest uroczy, ale, naturalnie, „palazzo” psuje harmonię.

Czemuż architekt nie wpadł na pomysł, że tu

w tój greckiej przyrodzie, tylko grecka architektura ma prawo bytu, skoro milionów na tę fantazyę nie żalowano!

Cudnie między gajami cyprysów, myrtów i oliwek wyglądałyby białe pałacyki niewielkie, wille, pawilony w stylu jońskim, doryckim etc.

Inne było widocznie zdanie architekta, a może i cesarzowej, chociaż wiele osób ze mną się zgadza.

Zdała od świata, wśród uroczej natury, wśród której bogowie nawet mogliby zapomnieć o Olimpie stoi dziś, otoczony rusztowaniem jeszcze, gmach ciężki, pretensjonalny, przypominający najmodniejszą cywilizacyę, o której tak tu miło zapomnieć.

Można na gmach ten nie patrzeć, to jedyńy sposób, by sobie nie psuć wrażenia. Tego sposobu trzymałam się ściśle, gdy, stojąc na szczycie jednej z gór, przyglądałam się morzu, napozór zupełnie uśpionemu.

Z tój wyżyny ni fali, ni fałdy nie widać, tylko najślodszy, najłagodniejszy lazur.

Tu się Adryatyk z Morzem Jońskim zlewa i traci swoją barwę jednostajnie szafirową. Przeistacza się w tonie i przybiera miękki, pełen rozmarzenia połysk. Łamią się tu barwy najdelikatniejsze, niewiadomo: różowe, czy błękitne, czy też perłowe, i dlatego, wpatrując się w ten obszar łagodnie świetlisty, ma się złudzenie nawpół snu, nawpół tylko rzeczywistości, a zawsze jest się zahypnotyzowanym; słodkie ukojenie splywa do duszy.

Z tój wyżyny niewiadomo także, czy to żaglowce czy łabędzie prują fale morską.

Cicho, tak cicho, że się zapomina o świecie i wielka jest ulga w tём zapomnieniu.

Schodzimy w dół między jary, rozpadliny, wąwozy skaliste. Całe lasy cyprysowe nad nami, takie ciemne, wysmukłe na niebios lazurze. Dokoła nas, na wzgórzach, w dolinach — całe lasy oliwne, wielkie, rozłożyste korony, pokryte liściem, z kształtu do wierzbowego podobnym, tylko liść ten grubszy, z wierzchu świecący ciemną zielenością, od spodu srebrno-popielaty. Pnie drzewa ażurowe, czasem, jak koronka delikatnie, misternie rzeźbione, czasem, jak stare szmaty podarte, poszarpane; niewiadomo, jak się na takich pniach żebraczych taka wspaniała korona unieść może.

Tam nawet, gdzie opoka zdaje się nieprzebitą, wiatr ziemi naniesie i zasieje anemony fioletowe, różowe i liliowe, — ten delikatny, miły kwiatek, który u nas białe ma listeczki, — paprocie, krzewy mirtowe irysy, głównie irysy, prześliczne formą i cieniami — na górach i w jarach, na ścianach skał urwistych i na równej drodze, wszędzie irysy i jeszcze irysy.

I znowu śpiew słyhać wśród tój ciszy, niezmaconej, głębokiej, wśród tych gajów cienistych; ale teraz już nie śpiew człowieka, tylko tysiąca stworzeń skrzydlatych.

Jest w Gasturi źródło i studnia, do której przy-

chodzą czerpać wodę kobiety tamtejsze; mają one reputację najpiękniejszych na Kerkyrze niewiast. Zmęczone, poszłyśmy wody się napić do téj malowniczej, odwiecznej cysterny i trafiłyśmy na prawdziwą grecką idyllę.

Śliczna dziewczyna, o delikatnych, drobnych ryśkach, o świeżej cerze, cudnych, czarnych, śmiejących się oczach i zębach równych a białych, wodę czerpała do dzbana o klasycznej formie staréj amfory.

Trudno nam się było porozumieć; dowiedziałyśmy się jednak, że imię jéj Zofia; dała nam się wody napić; powiedziałam jéj, że śliczna: zrozumiała mnie, naturalnie, i uśmiechom radości końca nie było.

Potém dzban swój na głowie umieściła, i oglądając się wiele razy w naszą stronę, znikła nam z oczu wśród oliwnych gajów, podobna do nimfy albo dryady.

Pięłyśmy się dalej po drózkach przez kozy wydeptanych, albo łożyskiem wyschłych strumieni, aż do odwiecznych, sławnych na całe Korfu, olbrzymów platanów.

Droga do Gasturi prowadzi wśród łąnów, nie kłosisztych, nie jarzynowych, ale wśród łąnów porzeczek i agrestu. Całe pola niemi zasadzone; teraz krótkie, przyszczyżone, sterzą jak patyki, — pod jesień wino z nich robią. Choć góry całe winnicami pokryte, a jednak wino Korfu nie jest smaczne: ciężkie, gęste — nasz Francuz mówi *Ce n'est pas du vin, c'est de*

la soupe. Za to białe „Ganta” dobre, a Santorino, szczególnie Santorino, wyborne, aromatyczne, dziwny się, że nie ma większego rozgłosu.

Po za plantacyami porzeczek etc. pola otoczone zewsząd murem tak zwanych *figuiers de Barbarie*. Może one z Berberyi pochodzą i nazwę ich przekrecono; żałuję, że nie mam dykeyonarza pod ręką, bo mnóstwo nazwisk jest mi po polsku nieznanym.

Figuiers de Barbarie znajdują się u nas mikroskopijne po cieplarniach, jako gatunek kaktusów przedstawiane. Tutaj dochodzą one do bajecznych rozmiarów i straszna mają powierzchowność. Liście, niezmiernie grube, wielkie jak łopaty, razem zezezione, jedne na drugich, nieforemne, niewiadomo gdzie liść, gdzie konar. Najeżone kolcami, złowrogie jakieś, wieczorem, przy świetle księżycy, robią wrażenie przyczajonych potworów, wijących się w kontorsyach, w konwulsjach; fantastyczne, straszne, przypominają dziwolągi z bajek Hofmana.

Ktoby się przedarł między temi groźnemi strażnikami pól, byłby rzeczywiście bohaterem. Kot przysiadł sobie na takim olbrzymim liściu, a mógł tam jeszcze kilkoro kociąt zaprosić, bo miejsca na téj najeżonej tarczy nie brakło, tylko dla muje jest zagadka, jakim sposobem mógł się tam dostać.

Rośliny te wydają owoc podobny do dzikiéj figi, niesmaczny według jednych, wyborny podług innych.

Nefle dochodzą tutaj do bajecznej wielkości i swym ślicznym liściem dodają jeden odzien więcej do tych rozlicznych barw zielonych, które cieszą oko.

Marzec, 2-go. — Ilość ryb i ich rozmaitość, jaką się tutaj napotyka, jest rzadka. Dzisiaj po kamiennych schodach zesłam naprzeciw rybakom, którzy z pełnemi łodziami z połowu wracali. Z ciekawością obrzydzeniem przyglądałam się potworowi, który w koszu rzucał się niecierpliwie. Straszne stworzenie. Kto czytał *Travailleurs de la mer*, może mieć o nióm pojęcie.

Są podobne egzemplarze w akwaryum berlińskiem, ale równie wielkiego okazu nie widziałam jeszcze. Niby gniazdo węży centkowanych, wije się to i kureczy, sześć długich ramion przyczepionych do ślimaczego tułowia; w tułowiu co naksztalt oczu czy paszczy, którą potwór pluje co chwila; w każdym ramieniu rurki, gęsto jedna obok drugiej, to się zamykają, to otwierają pełne śliny, wstrętne. Wiktor Hugo opowiada straszną historję: potwór taki, *pieuvre* nazwany, pochwycił i zamknął w swych ramionach człowieka, a wpijając się w niego wszystkiemi rurkami, z krwią i ciałem go połykał.

To baśń, naturalnie; faktem jednak jest, że gdy w akwaryum w Brighton jakiś pan niechcący rękę zbliżył do *pieuvre*, w mgnieniu oka otoczyła dłoń jego jedném z ramion i z taką siłą ciągnęła go do

środku, że uratowano go tylko, odcinając czémprędź ramię potwora.

Marx w *Figarze à propos* ryb morskich południowych mówi: „Ryba taka przyćmiewa blaskiem swęj toalety wszystkie inne z mórz północnych. Ma się złudzenie, że atlasy, aksamity, wszystkie metale i wszystkie klejnoty wschodnie składają się na jęj suknię. Lazur nieba, promienie słońca, srebrne blaski księżyca i migotliwe światło gwiazd odbijają się na jęj szacie. Emaliowane i świetliste, błyszczą naksztalt drogich kamieni. O ile szata piękna i bogata, o tyle fizyognomia brzydka, odrażająca.

Marzec, 3-go. — Jeszcze trzy tygodnie, a już nas tu nie będzie. Wiem z doświadczenia, jaka tęsknota nastąpi po tych zachwytach. Codzięń pięknięj i ciepłęj. Tyle piszą o Riwierze, Abbazzyi, a o Korfu przypadkiem tylko czegoś dowiedzięć się można.

Abbazzya? Wielka bлага! Naturalnie, że gdy tylko słońce świeci, to i tam morze piękne, jednostajnie szafirowe. Gdyby sztuka nie popsula zakątka tego, byłoby to urocze; ale na mnie robi Abbazzya wrażenie pięknięj wiejskięj dziewczyny, która gwałtem wielką panią chce udawać.

Natura śliczna; sztuka sztywnemi klombami, sztucznemi gajami psuje ją na każdym kroku. Abbazzya to parweniuszka; wszędzie, gdzie spojrzęć, nowe, wspaniale hotele, ale i w Wiedniu równie piękne znaleźć można; tymczasem owe gmachy przytłaczają naturę.

Po dobrze utrzymanych ścieżkach, wśród sztucznych klombów, spacerują znudzone bardzo strojne damy, z kwaśnymi minami bardzo elegancy panowie, i widać na ich twarzach, że szukają, gdzieby swój spleen utopić.

Bora pierwszy raz w Abbazzyi nas nawiedziła; podobno luty i marzec nie są uroczym sezonem w tej pseudo-uroczej miejscowości. Na esplanadzie dużo zieloności oko cieszy. Kompania *Süd-Bahn*, której dziełem jest Abbazya, wie, czém przywabić turystów. Zasadzono więc tylko te drzewa, które liści nie tracą; sprawia to złudzenie wiosny, ale złudzenie to trwa krótko. Po za willami, pałacami, kioskami etc. wznoszą się nagie góry, bez żadnej widocznej wegetacyi; podobno w maju okryte zielonością, nie wątpię, ale w maju wszędzie zielono.

Billroth, znakomity lekarz wiedeński, nadał rozgłos Abbazzyi; sława jej rozeszła się daleko i szeroko, zasilana coraz większą reklamą.

Że nad Adryatykiem od kwietnia do listopada wszędzie pięknie, to pewna, ale żeby w Abbazzyi zimą lepiej i cieplej być miało, niż gdzieindziej, to bardzo wątpię; o tyle tylko może, że hotele doskonałe są ogrzane, co się rzadko na południu zdarza.

Austria chce mieć swoją Rivierę na wzór Francyi; może jej się to uda z czasem: dziś Abbazya jest jeszcze za świeżo nobilitowaną; ładniej jej być musiało w ubraniu *rustique*.

Sąsiadka jej Volosca, nie udaje wielkiej pani: ślicznie, jak gniazdka, przytuliła swoje białe domki do gór wysokich; miło spojrzeć na nią, gdy w słońcu skąpana.

Marzec, 5-go. — Wspomnienie Abbazzyi boreę mi na myśl przywiodło, wołę wrócić do Korfu. Dziś w porcie, najweselszym, najbardziej malowniczym z portów, przyglądałam się ładowaniu beczek oliwy.

Z głębi wyspy przywożą oliwę, mętną jeszcze, świeżo wyciśniętą, zlewają ją w wielkie kubły, czyszczą, filtrują, potem złotą, jasną, o której Homer z entuzjazmem się wyraża, nalewają do beczek i tyśiącami ładują na statki.

Lubię patrzeć na tych ludzi, ogorzałych od słońca, o wielkich, czarnych oczach, w fezach, gdy z powagą, pochyleni nad beczkami, przelewają z jednej do drugiej płyn złoty, przejrzysty, bogactwo swego kraju; nucą przytém, śpiewają wszędzie i zawsze.

W przystani wielkie parowce cień rzucają na jasnym morzu. Nieruchome, majestatyczne, wypoczywają po przeprawie.

Między niemi, rozrzucone po całej zatoce, większe i mniejsze stateczki, łodzie zdaleka krążą, jak motyle, jak muchy, jak ptaki o jasnych skrzydłach, a mewy unoszą się gromadnie nad złotą falą morską, to muskają wodę białymi piórami, to wzbijają się wysoko i giną.

Marzec, 6-go. — Najpiękniejsza chwila w dniu, to kiedy słońce powoli, powoli stacza się za Pantokratos „Pantokratos”, wszechwładny po polsku, to najwyższa, najwspanialsza góra na Korfu. Za nim wierzchołki wiecznie śnieżne Epiru, gdy je słońce różowym blaskiem żegna na dobranoc, wyglądają jak kolosalne rubiny.

Pantokratos, podobny do zameczyska o dwóch basztach, otulił się o zachodzie mgłą błękitną.

Dwie cytadele, jedna w gruzach, druga uwieńczona latarnią morską, purpurą i złotem z wierzchu oblane, podnóże ich w cieniu niknie. A morze wszędzie pomiędzy poszarpanemi wybrzeżami przebłyskuje. Cudownie zasypia — pokryte mgłą tęczą wąż błogo uśmiechać się zdaje.

Śliczne są porty południowe o zachodzie słońca. Już w Fiume oczu oderwać nie można od tych barw tysiacych na górach i morzu.

Góry amfiteatrem otoczyły zatokę w Fiume. Szafir Adryatyku nie ma tych tonów delikatnych, jakie zdobią morza Jońskie i Śródziemne, ale jest także rozkoszny, wesoly.

Port Fiume, to ukochane cacko Węgier, które po zagarnięciu Kroacyi, z Tryestem rywalizują. Czas jakiś poczekają jeszcze, zanim handel u nich zakwitnie tak, jak kwitnie w Tryeście. Do téj pory cały ten miły porcik robi wrażenie ładnej zabawki. Statki tuż do lądu przybijają: takie tam morze głębokie

u wybrzeża. Niema ruchu na nich, ani przy nich; sznurem wyciągnięte, robią wrażenie szyldu tylko, który oznajmia, że Fiume jest portem.

Ale ani Węgrom, ani Kroatom nie godzi się tego mówić, bo tak jedni, jak drudzy wielce są co do portu swego zarozumiali. W tym jednym tylko względzie sympatyzują z sobą, po za tém — naturalnie, Kroaci Węgrów w sercu nie noszą. Handel ich zasadza się głównie na „Huniady”, śliwkach i drzewie. Lasy ich, olbrzymie, zwykle przez cudzoziemców eksploatowane bywają, którzy na nich zarabiają miliony; *l'improductivité slave!* wiecznie to samo.

Wjazd do Fiume był uroczy; równocześnie światło księżyca i jutrzienki padało na góry i wąwozy. Już dniało, kiedy na zakręcie drogi, w głębi doliny, pierwsze fale Adryatyku zaświeciły. O dwie godziny od Fiume (gdy się od strony Węgier jedzie), morze wdziera się pomiędzy wzgórze i skały, a zamknięte napozór dokoła, wygląda jak jezioro, w kotlinie ukryte.

Fiume miłsze od Abbazyi zrobiło na nas wrażenie. Na stoku gór miasto położone otacza półkolem morze. Domy pną się wysoko, albo w wąwozach kryją.

Bora przez trzy ostatnie dni naszego w Fiume pobytu latała po mieście i mroziła technieniem swoim. O wietrze tym mówi podanie ludowe: „Rodzi się w Sania (Kroacya), chrzci się w Baccari, ślub bierze w Fiumie, a umiera w Tryeście”.

W Sania, gdy bora szaleje, kobiety wcale z domu nie wychodzą, a mężczyźni tylko za pomocą sznurów przeciągniętych wzdłuż ulicy równowagę utrzymywać mogą. Już w Fiume, tak jak wszędzie na południu, ludność nosi ciężary na głowie, co tak malowniczo wygląda. Chłopcy dźwigają kosze pełne sardynek; drobne rybki pod promieniami słońca robią wrażenie brył srebra.

Koniec karnawału w Fiume wielkim ruchem miasto napelnił. Maski uwijały się wieczorem, nie z takim zapalem jednak i nie tak licznie, jak w Korfu.

Co się tu teraz dzieje! Ten zgłęb, ten hałas w niedzielę i czwartek na Spianaccie! Masek tysiące, koszty śmieszne; dyabły, dziwolągi, włączają się dzień cały, grochem na siebie rzucając. Śmiech, krzyk, śpiew; orkiestra w kotły i bębny bije, maski taniec wkoło niej odprawiają do późnej nocy — całe popołudnia.

A zawsze słońce, na tém wszystkiém, a zawsze morze obok, i tło z oliwek, cyprysów, eukaliptusów.

Korfu, marzec, 7-go.—Ogrodnik, szef z Villa Reale, to nasz przyjaciel. Oryginalny typ starca z długą brodą. Mówi ośmiu językami, z czego wielce dumny. Od 26 lat tutaj przy Villa Reale pracuje, wszystkie większe i piękniejsze ogrody tutejsze — to jego dzieło. Cesarzowa austriacka, u której jest w wielkich łaskach, odwiedza *Mon repos*, ile razy jest w Korfu. Opowiadał nam stary o niej z całą

naiwnością: „To bardzo miła kobieta; z nią się przyjemnie rozmawia”.

Tłómaczył nam, dlaczego ogród jest trochę zaniedbany: „Zarząd okropnie skąpy; gdy potrzeba grabie albo konewkę naprawić, piszę o pozwolenie— odpowiedź po pół roku nadchodzi”.

Stary Beppo, dumny bardzo z labiryntu tui, prowadził nas po cieniistych uliczkach bez końca, do zawrotu głowy — do zupełnego oszłomienia. Nikt bez jego przewodnictwa nie potrafiłby się ztamtąd wydobyć, chyba miał nieć Aryadny. Młode gałązki tui tańczyły mi w oczach; nie już w końcu oprócz plam jasno-zielonych nie widziałam.

Kiedym zasypiała dnia tego, ów labirynt jak zmora mnie dręczył, błędziłam w nim, wydobyć się z niego nie mogłam, okropnie zmęczona. Sen od rzeczywistości niewiele się różnił.

Jest w *Mon Repos* dróżka nad urwistym, obrośniętym brzegiem morskim; dróżka ta wije się między gęstwiną najcięższej roślinności. Tu i owdzie między cyprysami pas morza prześwieca; wysoko, wysoko pną się drzewa, nad głową konary, u stóp wierchołki, z wyżyn i w nizinie śpiew ptaków. Dziko tam jest i pięknie, a kwiaty tak pachną, że się zawrotu głowy dostaje.

Marzec, 8-go. — Nad Korfu nigdy półksiężyc nie panował.

Niegdyś, niegdyś, flota turecka otoczyła skaliste

„bliźnięta cytadelli”. Ale św. Spiridyon zesłał ulewny deszcz, oberwała się chmura nad głowami „połańców”, straszna się burza zerwała i Turcy, nie chcąc walczyć z Allahem, wyspę opuścili.

Historya mówi, że nie św. Spiridyon, ale Schulemburg, będący wówczas w służbie weneckiej, ocalał Kerkyrę.

Korfu w dawnych czasach zasłaniało republikę wenecką od wschodu i było jój puklerzem, o który wiele się napaści odbiło, było także główną jój bramą handlową. Tak mówią Gregorovius, Braun i inni. Gregorovius mówi także o tutejszych cytadellach, że tylko jako malownicza pamiątka po Wenecyanach mogą być uważane; po za tém nie mają podobno żadnej militarnéj wartości. Dzisiejszy pułk grecki, rozłożony w Korfu, robi wrażenie, nie groźnéj armii, ale strażników historycznego pomnika, jakim są bliźnięta.

Ze szczytu cytadeli, obok latarni morskiej, przez lunetę latarnika widać wspaniałą krajobraz. „Piorunowe góry Zeusa” zdają się firmament dźwigać na sobie, wiecznym śniegiem pokryte; aż do Parga oczy sięgnąć mogą.

Gregorovius, podziwiając ze szczytu cytadelli piękne widoki, mówi: „Epir magnetyczną siłą wzrok przyciąga: to barbarzyńska kraina odwiecznych Pełazgów, to ojczyzna pierwszych architektów. Ztamtąd imię Greków i historia Hellenów początek swój

biorą, tam bajeczna Dodona leżała. Już w czasach Herodota i Tucydydesa kraj ten tajemniczą zasłoną wieków i legend był pokryty, a dziś jeszcze barbarzyńców bohaterów spotkać w nim można, o pięknej postawie i patryarchalnych obyczajach.

Albańczycy, to dawni arnauci; czy im na imię Pyrrhus (od Epiru), czy Skandenberg z Kroi, czy Ali-pasza z Janiny — wszystko to bohaterowie, jeden równy drugiemu.

Morze Jońskie, wybrzeże Korfu — to główna droga z czasów mytycznych jeszcze. Tędy dążył Herakles z Melitą, Argonauci z Jazonem tym samym szlakiem płynęli, i tutaj kolchicką Medeę miał sobie Jazon przez królową Aretę poślubioną.

Tędy płynęli bohaterowie Odyssei. Eneas z tędy dążył z uciekającymi Trojańczykami i wylądował w widném z Korfu gołém okiem Buthrotum, gdzie zastał Hellenusa, syna Pryama, panującym nad miastami greckimi, i gdzie Andromacha, niewolnica Neoptolema-Pyrrhusa, z taką żalością go powitała.

Uciekającego Temistoklesa łódź w tę zatokę przyniosła. Tutaj zebrała się najwspanialsza flota ateńska, którą Tucydydes opisał. Pod Alecybiadesem dążyły tędy potężne statki przeciw Syrakuzie.

Korfu następnie była wianem żony Pyrrhusa, po czém jeden z Ptolemeuszów zabrał wyspę macosze i sobie ją przywłaszczył.

Marzec, 10-go.—Dzień upalny. Od kilku dni już

przed słońcem w eienistych gajach chronić się trzeba. Wczoraj i przedwczoraj *sirocco*. Tchu się złapać nie mogło — oślepienie piaskiem, ogłuszone hukiem morza, zmęczone, zdenerwowane, wracałyśmy do domu.

Dziś upał, ale powiew wiatru świeży wywabił nas na morze. Łodziami do Potamo, gdzie największe i najpiękniejsze gaje pomarańczowe na stokach gór. Morze tak ciche, że i pszczoła na liściu spokojnie, bez obawy, przeprowiać-by się mogła. Nasz wiosłarz, Spiro, rytmicznie o falę wiosłem uderza i śpiewa.

Na ogromnym, indyjskim statku, który za sobą zostawiamy, majtkowie ciągną liny i tak przeciągły smutny, śpiewny okrzyk wydają.

Nad nami, na niebie, zbite gęsto drobne, srebrne chmurki; niewiadomo, czy chmurki, czy może tysiące mew skrzydła roztoczyły i szybują wysoko, wysoko. Słońce bez końca, bez końca, bez przerwy — już od czterech tygodni się nie zaćmiło.

I tak pięknie, iż się pojmuje, dlaczego śmiertelni bogów posądzali, że im ich szczęścia zazdroszcza. Tak rozkosznie, iż się odczuwa wrażenie Flauberta, Bourgeta, że wyspę tę do serca przytulić-by się chciało

NIE, NIGDY!...

Nie, moja droga, tego nie zrobię, nawet dla zadowolenia ciebie! To nie upór, daję ci słowo, że nie: zimna rozwaga mną powoduje. Ja wiem, że ty nie cierpisz we mnie téj zimnej rozwagi, że wolałabyś nawet, abym popełniła jakie wielkie szaleństwo, byle się raz wydobyć z owéj skorupy żółwiéj, jak masz zwyczaj nazywać pancierz, którym serce pokryłam. Pancierz, czy żółwia skorupa, wszystko jedno; cóż z tego, jaką nazwę damy owéj powłoce, pod którą może się nic nie mieścić?

Chociaż z drugiéj strony stanowczo twierdzić mogę, że mam serce. Przecież ciebie kocham, i to tak gorąco, tak po macierzyńsku, — ty wiesz o tém. Nawet czasem nadużywasz mojej dla ciebie słabości, aby gwałtem mnie z „żółwiéj skorupy” wydobywać. Ileś ty mi już przedstawiła okazów, z jakimi pochwałami, z jakim entuzjazmem! Żaden kupiec nigdy mi tak swego towaru nie zachwalał, jak ty owych dwunożnych czcicieli... mego posagu.

Cicho! nie oburzaj się, nie patrz na mnie tak zło-

wrogo, nie przepowiadaj mi zatracenia duszy w tém dobrowolném usuwaniu od siebie... kielicha szczęścia. Rezonujmy, ale się nie unoś, tylko bierz rzeczy spokojnie, obiektywnie.

Przedewszystkiém powiedz mi: gdzie ty szczęście widzisz?... Słyszę: w małżeństwie.

— Tak? a jakąż dajesz mi gwarancję?

— Miłość.

— A zkadże ty wiiesz, że my się kochać będziemy?

— On ciebie będzie, a to trzy czwarte szczęścia stanowi.

— No! brak jednéj czwartéj; ale za to doskonałego szczęścia nie poszukujemy dla téj saméj racyi, dla jakiej nie szukamy kwiatów na opoce, więc ustępuję z jednéj czwartéj. Ale zkadże ty wiiesz, że mąż będzie mnie kochał?

— Jesteś śliczna, dobra, rozumna...

— Dobrze, dobrze. Mówiłaś mi już nieraz to wszystko i ja w to wierzę, ale pani Dora jest piękniejszą odemnie, a może i lepszą i rozumniejszą, a mąż jéj kocha sławną z nieznośnego charakteru, brzydką i podstarzałą panią Kistrzyńską.

— To nie dowód. Ty sobie wybierzesz męża, który nie będzie się odznaczał złym gustem.

— Może się odznaczać znakomitym, ale tyle jest pięknych kobiet na świecie...

Otóż ja dowodzę, jako naoczny a baczny świa-

dek, że na dziesięć małżeństw dziewięć żon jest nie-szczęśliwych, dziesiąta zaś — a i ta nie jest szczęśliwą — to ta, którą mąż kocha, ale albo kocha karty równocześnie, albo niedołęztwo i lenistwo, albo rybolówstwo, albo wyścigi, albo z głupotą ma najczulsze stosunki, albo z długami; — jedném słowem: miłość dla żony idzie u niego w parze z zaletami, które tę miłość albo neutralizują, albo nieznośną czynią.

Przypuszczam, że wygrałabym wielki los na loteryi, że znalazłabym męża, któryby mnie kochał rzeczywiście serdeczniej, niż mój posąg, któryby nie miał żadnych namiętności, żadnych przywar nawet. No, ale przecież coś mieć musi, bo medal o jednéj stronie nie egzystuje; choćby na drugiej nic nie było, to zera przecież protegować nie zechcesz...

Zatém jest odwrotna strona. Jaka? nerwy, przypuszczam. Nawet bardzo prawdopodobnie, że nerwy, bo któż dziś nerwowym nie jest?... Pan A. żonę bije — to nerwy. Pan B. burdy robi na każdym kroku — to nerwy. Pan C. jak rok długi, w domu nie siedzi — to taki duch niespokojny, to nerwy. Panu D. przy każdéj okazji białka na wierzach ze złości wychodzą — to nerwy. Pan E. żonie imperytynenecye robi na każdym kroku — nerwy. Pan F., tehórz stwierdzony — nerwy. Pan G. nie czyta, nie mówi, pali tylko od rana do wieczora — nerwy.

Pan H. skąpy, brudno skąpy — nerwy. Pan I. zadrośniejszy od Otella — nerwy.

Całego abecadła nie wyliczę, ale ty wiesz, że mam słuszność. Każdy złodziej, każdy zbrodniarz, każdy rzeźmieszek, gentleman, ulicznik, mazgaj i bohater — wszyscy są nerwowi! Prawdopodobnie więc co najmniej nerwowego męża dostanę. I co potem? Najprzód w sposób nerwowy miłość swoją będzie mi objawiał. Głosu mu zbraknie, uwięźnię mu w gardle, taka emocya nim owładnie, gdy mi miłość swą wyzna; potem zblednie i niedobrze mu się zrobi (zawsze z nadmiaru emocyi), gdy mnie do ołtarza prowadzić będzie; potem zemdleje, gdy mnie pocałuje pierwszy raz, a szczęściem jeszcze będę mogła to nazwać, jeżeli ów akt pocałunku dopiero po ślubie nastąpi, bo nuż-by się to przed ślubem zdarzyło... *Tableau!*

Wyobraź nas sobie sam na sam w moim tureckim buduarku. Nagle, przebóg! — tak ongi w melodramatach mówiono — on się wyciąga jak długi, przewraca mój stolik z turecką zastawą, wszystko się tłucze, hałas, zgiełk, służba się zbiega...

— Co się stało?

Skandal! Jestem zgubiona...

No, nie potrzebowałabym ogłaszać *urbi et orbi*, jak to nadmiar emocyi z nóg powalił mego lubego, ale, że mam mało przytomności umysłu, można-by

Bóg wie co pomyśleć i byłaby awantura, straszna awantura!

Ale niechaj wreszcie zemdleńie zdarzy się po ślubie dopięro; nie trzeba być pessimistką i tak czarno na tę sprawę się zapatrywać.

Jednak kładźmy horoskop dalej, popatrzmy w przyszłość, mianowicie: jak się dalsze emocye manifestują?

Mijają miodowe miesiące, w czasie których oczy ukochanego męża łzami zachodzą z rozczulenia, głos mu w gardle więźnie z nadmiaru uczucia, ręka rękę ściska nerwowo, niby kleszczami, z nadmiaru wzruszenia i t. d. Następują miesiące przejściowe. Możliwość je nazwać inaczej marcową pogodą, bo niebo się wyjaśnia i zachmurza na przemiany. Klacz kasztanowata wróciła do stajni ochwacona. Mój pan i mąż wpada do mego pokoju, drzwi lecą za nim z niezwykłym loskotem.

— Co ci jest, mój ptaszku?

Ja zawsze mego męża ptaszkiem nazywać będę, bo „kotku” już się oklepało.

— Do kroćset stu tysięcy dyabłów, dajże mi święty spokój!

Ty, która mnie znasz, odgadniesz łatwo, że owi dyabli nie są stworzeni do wprawiania mnie w stan „świętego spokoju”. Ale, mój pan ma nerwy, więc się stosuję, *tant bien que mal*, do jego rozkazu i wynoszę się śpiesznie z przed oblicza Jupitera. Dotych-

czas byłam bluszczem, przyrosłym nieledwie do dębu; raptem spostrzegam, że ten dąb z mych ramiion się usuwa i że równocześnie bluszczowi niebezpieczeństwo grozi w jego sąsiedztwie, bo tam pioruny padają. To nie — godność moja, urażona ową burzą, nie pozwala mi jednak dowiadywać się, co się z dębem stało.

Wchodzi, nozdrza mu latają, z oczu skry idą.

— Ciebie nic nie interesuje, co się wkoło ciebie dzieje! Klacz kasztanowata pada — niech pada: co to ciebie obchodzi? Mogłabyś choć dla oczu ludzkich trochę serca okazać!...

Mnie wiadomość o blizkim zgonie kasztanki przejmuję do żywego, ale godność, raz dotknięta, pokrywa twarz moją maską z lodu. Scena!... Ja, naturalnie, mając mniej burzliwe nerwy, wychodzę zwycięzko, lecz w sereu zapisuję sobie epitety w rodzaju:

— Jesteś egoistką, lalką salonową, obcą w domu, wymagającą holdów tylko i uwielbienia, a nie zasługującą na szacunek nawet i t. d.

Tu mu głos w gardle nie więźnie ze wzruszenia, co mnie zawsze dziwi, bo mężczyzna tak się często dławi w rozczuleniu zbytнім, a nigdy mu słów nie brak w pasyi ostatecznej! Powinno być przeciwnie, mojem zdaniem, — ale, mojem zdaniem, tyle rzeczy powinno być przeciwnie..

Cicho... spokój wrócił w domowe progi. Mój

pan, niby rumak stepowy, własnem miotaniem się i buntem wycieńczony, sapie, oddycha coraz wolniej, coraz prawidłowiej, w końcu powraca do przytomności. Spogląda w moją stronę. Ja z olimpijską pogodą bębnię palcami po szybie, patrząc na dwie wrony na płocie siedzące.

— Loro!

— Cóż takiego?

— Chodź tu do mnie.

— Po co?

— Przeproś mnie.

— Za awanturę, którą zrobiłeś?

— Gniewasz się?

— Rozsądne osoby nie gniewają się na szaleńców.

Zrywa się tedy nowy uragan, ale w innym rodzaju. Pan mój u nóg mych się czolga.

— Prawda, jestem szaleńcem! Masz słusność. Ty jesteś aniołem cierpliwości, świętą kobietą. Ja niegodzien jestem, abys po mnie deptała, niegodzien jestem dotknąć brzegu twój sukni.

Ale nietylko, że dotyka brzegu méj sukni, chwytając przytém ręce moje, ściska, miążdży, całuje i śladę zębów pozostawia, gniecie je i sińcami w miejscu dotknięcia ozdabia.

To jedna ze scen przejściowych. Marcowa pogoda trwa tak lat kilka, póki oczy moje wydają mu się zawsze lazurem nieba, źródłem słodczy, włosy moje skarbem złotych promieni, uszy moje różowemi

muszelkami, ręce moje arcydziełem skończoném, ósmym cudem świata.

Powoli jednak źródło, skarbiec, muszla i cuda świata albo tracą na świeżości skutkiem codziennego użytku, albo się opatrzą. Najlepszy dowód, że mnie się mój buduar trochę opatrzył! Cóż wtedy, następuje? Trzecia faza, w której-to nerwy pana mego szaleją od rana do wieczora. Harce te odbywają się głównie na jedném polu, mianowicie na nerwach żony, tylko że żona, jako przedmiot, o nerwach swych milczć musi. Wtedy-to, gdy się kucharz spóźni z obiadem, gdy się rządca pokłóci z wójtem, gdy się ksiądz pomyli w wiście, gdy się buty nowo kupione za ciasnemi okażą, gdy się rękawiczki zgubi, gdy się który z bębnow nie w porę pod nogi nawinie — wtedy to następuje przedstawienie „wielkiej newrozy”. Szyby się trzęsą, mury drżą, myszy w ostatnich dziurach się kryją, służba blednie, dzieci beczą, krzesła latają, stół zaś od pięści, a żona od języka mężowskiego, zaledwie z życiem uchodzą...

Biedna moja siostrzyczko, trzeba ci się pogodzić z myślą, że Lora pancerza z serca nie zdejmie. Nie, nigdy..

Ty sobie za przykład cytujesz? To mi do przekonania nie trafia. Pozostałaś pod urokiem miodowych miesięcy, a że mąż twój nieodżałowany newrozy nie cierpiał, więc w czasie owój słodkiej epoki nie gruchotał ci kości z rozczulenia. Nawet téj przy-

jemności nie doznałaś! Dwa lata pożycia małżeńskiego nie mogą mnie nawrócić na drogę powołania matrymonialnego: *primo* dlatego, że dwa lata stanowią depiéro-dwudziestą przypuszczalną część życia we dwójkę, a potem dlatego, że ty jesteś wyjątkową, ale to zupełnie wyjątkową, istotą. Anioł przy tobie zostałby archaniołem, tyran — barankiem, ciernie — kwiatami, no, jedném słowem, przy tobie wszystkie matamerfozy są możliwe.

Dlatego ja się tak ciebie boję; ty, co cuda umiesz robić, nużbyś zamieniła pancerz mój ze stalowego na woskowy? Nużbyś we mnie wmówiła, że pan X. nie ma nosa, który do ust ciekawie zagląda, że przeciwnie deszcz w czasie ulewy szuka w nim rezerwoaru. Czego ty wmówić nie potrafisz! Sugestyja u ciebie jest tak łatwą, że wszyscy służą ci za medyum z bajeczném powodzeniem. Póki zdaleka się trzymam od ciebie, póty małżeństwa, owe czule pary, wieczne „on i ona” tworzące, przedstawiają mi się jako dwoje galerników do jednego łańcucha przykutych: jeden krótki, drugi długi (moralnie), jeden tłusty, drugi chudy (moralnie) jeden zezuje na prawo, drugi na lewo, jeden radby swego kompaniona otruć, drugi powiesić, a muszą maszerować razem, bo tak chce łańcuch i bat dozorca, a raczej konwencye ludzkie i zwyczaj, *vel* przysięga przed ołtarzem.

Powiesz mi, że gdyby wszyscy byli tego zdania i t. d.

Otoż ten kłopot powinien być najmłodszym z twoich kłopotów: [albowiem... wszyscy nigdy tego zdania nie będą! Przedewszystkiém więcéj zawsze będzie głupich wróbli, niż mądrych, i plewy w postaci małżeństwa-galer, zawsze będą miały widoki powodzenia. Że panny się na to łapią, pojmuję... Prawa natury i t. d. — na to jesteśmy stworzeni i t. d., — smutno jest człowiekowi żyć samemu i t. d. Ale, że mężczyźni, którym tak łatwo nie żyć samotnie, omijając... bat dozorecy, a raczéj konweney ludzkie, że mężczyźni łapią się na okuwane nogi w kajdany, tego pojąć nie mogę! Wprawdzie oni mają większe szanse przejścia przez świat bez szwanku ze strony żony, niż żony przejścia przez tenże świat bez szwanku ze strony męża. To prawda, ale zawsze zagadka pozostanie dla mnie zagadką.

Mówisz, że nikt-by mnie nie posądził o podobne teorye, że owa żółwia skorupa dla ciebie tylko jest znaną rzeczą, że oszukuję świat, biorąc na siebie rolę osoby, pełnej uczucia, temperamentu, nawet osoby aż nadto szafującej uśmiechem rozkosznym, po za którym tyle obietnic się kryje...

Może ja rzeczywiście tak się ludziom przedstawiam. Nie zastanowiłam się nad tém, zresztą bawi mnie to, iż mężczyźni aż do końca swego życia będą musieli zginać się wpół przedemną, komplimenta mi prawić i dawać dowody tylko dodatnich swoich przymiotów,

jednemu zaś z nich nie dam nigdy wyłącznego prawa znęcania się nademną.

— Nigdy — to wielkie słowo! ostrzegasz mnie. A twoje ostrzeżenia niepokoją mnie zawsze. Nie zapraszaj mnie do siebie tak umiętnie, tak chytrze, bo gotowa jestem uleść pokusie. I co wtedy będzie? Znowu w mówisz we mnie, że mi się podoba Tadeusz, twój protegowany, — zwrócisz uwagę na inteligencyę, jaśniejącą z jego czoła — a mądre ma czoło to prawda — przekonasz mnie, że głos jego dźwięczny, niby arfa eolska, głaszcze i do duszy przemawia, że serce jego szlachetne szczęściem wybraną kobietę otoczy... Co będzie, jeżeli w mówisz we mnie to wszystko? Nuż ja ci uwierzę?... A nerwy?... Nie — ja się boję, doprawdy, że się boję!...

Tylko mu tego nie mów! Ale mi donieś, czy ty zupełnie jesteś pewna, że on mnie kocha? Ciekawa jestem, jak ci on powiedział? Ciekawa jestem, jak by on *mnie* to powiedział? To nieszczęście, że on taki nerwowy. Widzisz, widzisz, że mam słusność! A to największe nieszczęście, że ja tak lubię ludzi nerwowych.

Tylko, proszę, żadnych optymistycznych wniosków ztąd nie wyciągaj. Miła mi jest wolność moja złota! Miałabym ją wymieniać na — na co?... w *najlepszym* razie na nerwy? Nie — nigdy!...

ŚLUB CIOCI MARYNI.

(Ze wspomnień dziecięcych).

Dramat niniejszy odegrał się dawno, bardzo dawno temu.

Działo się to xx lat temu, a dwór modrzewiowy najweselszym był dworem pod słońcem; cała banda dzieci uwijała się na prawo, na lewo—na dole, na górze, w ogrodzie; wszędzie ich było pełno. Pięciu chłopaków, synów gospodarstwa domu, pięcioro kuzynów i kuzynek, przybywających z wizytą na długie wakacje.

Więc zaczynały się rajskie czasy... a dzieci, gdy im opis raju w Piśmie Świętém czytano, nie umiały go sobie inaczéj wyobrazić, jak pod postacią ogrodu, lasów, jeziora i łąk w W.

Najczulszą parę wśród téj gromady tworzyli: pan Andrzej i panna Muszka.

On miał lat dziewięć, ona osiem. Zdawało im się że po za niemi świat nie istnieje, tak byli pochłonięci ważnemi sprawami bardzo urozmaiconéj egzystencyi. Tak ich życie zadowalniało, takie było dla nich pełne wrażeń, uroku, że nie myśleli zaglądać w przy-

szłość; chwila obecna wyzyskana była do gruntu, a gdy które z osła spadło, albo zostało podrapane przez ukochaną wiewiórkę, nietylko ta para, ale i cała kompania zajęta była tą sprawą nierównie więcej, niż wszystkie kongresy międzynarodowe pokojem lub wojną europejską.

Odrotną stroną medalu był odźwierny, stojący u bram rajskich w postaci guwernantki francuski. Cała rozhukana banda dzieciaków wiedziała dobrze, że raj o tyle tylko rajem pozostać może, o ile „Françoise” wyrzeczce *fiat*, lecz zarazem, że łatwo o piekielne chwile, tém sroższe, im się ściślej łączyły z chwilami zaczarowanemi, jeżeli „Françoise” zawoła: — „Sezamie, zamknij się!”.

Całe szczęście było, że „Fransuaza”, jako niewiasta z krwi i kości i zacna niewiasta w dodatku, rządziła się więcej fantazją, niż surową sprawiedliwością. A że fantazje jej zależały od humoru, a humor miewała w ogóle rozkoszny, ztąd chwile piekielne wypadały rzadko, lecz może właśnie z powodu swój rzadkości tém sroższe sprawiały męczarnie.

Otóż jednego dnia ruch był niezwykły w starym dworcu modrzewiowym, nietylko między dzieciarnią, wielce przejętą ważnością chwili, lecz i między wszelkiem żyjącem stworzeniem królestwa tego. Ni mniej ni więcej, tylko dzień ślubu ciotki Maryni oznaczono. Każdy łatwo zrozumieć, że gdy ciotka Marynia za męża wychodzi, to i starsi, i dzieci, i psy, i kot, i wie-

wiórka, i gołębie, i cały zwierzyńiec, w którym młodego wilczka i lisa też chowano,—że wszystko to było w stanie na-pół tylko przytomnym, gdyż w całym dworze o niczem inném mówić ani myśleć nie chciało, nie umiano i nie starano się nawet, bo przecież wszyscy razem i każde z osobna równie gorączkowo tą sprawą było zajęte, ulubione zatem zwierzęta pozostawione były samym sobie.

Ciotka Marynia wychodzi za męża. Ślub za dwa, tygodnie, za tydzień, za pięć dni, za cztery, za dwa, jutro.

Już pannę Muszkę i siostry jej przeniesiono z jednej komnaty do drugiej. „Komnaty”, bo w starym dworcu niema pokojów, tylko komnaty, a szczegóły ten dodaje równocześnie wielkiego uroku, połączonego z rodzajem dziwnym wzruszeń, pobytowi w W. Bo dla panny Muszki każda komnata jest czémś tajemniczym, o zmroku pełnym snujących się cieni.

Nigdy jeszcze sama jedna nie ważyła się przestąpić progu żadnego z tych wielkich, trochę ciemnych pokoi; a że już wtedy, jako nieodrodne dziecko wieku, uganiała się za wrażeniami, więc komnaty dworca wrażeń tych dostarczały jej codziennie; szukała ich w towarzystwie nieodstępного *cavaliere servente*, kuzynka Andrzeja. Około godziny szóstej, jesienią albo wiosną, wsuwała się ta para do pustych i najmniej zamieszkanym pokojów, ręka w rękę, trzymając się coraz silniej; Muszka pozostawała tro-

chę w tyle, a Andrusz szedł odważnie, wyzywająco, przytupując mocno nogami.

Jeżeli dzień minął bez żadnych wstrząsających nerwami wypadków, to pod wieczór młoda para udawała się zwykle do najbardziej ponurzej komnaty, w której wisiały portrety pradiadów.

Straszny był portret pradiadzi Michała; ręką jedną opierał się na szabli, a drugą węża pokręcał i patrzył złowrogo, zawsze w ten punkt, z którego się ciekawe źrenice na niego podnosiły; dlatego-to panna Muszka przekonana była, że oczy pradiadka żyją, i dlatego, gdy potrzebowała czuć, że w niej serce gwałtownie bije, tam się o zmroku udawała.

Andrusz, także dziecko wieku, nie miał serca wezbranego szacunkiem dla wszystkich bez wyjątku dziadów swoich, do tego zaś, co wytrzeszczał oczy na portrecie, czuł wyraźną antypatyę; trzymając Muszkę za rękę, stawał przed nim, nogę naprzód wysuwał, głowę do góry zadzierał i wołał:

— Zejdź, dziadzie, zejdź! a zobaczysz, co cię spotka.

Dziad nie schodził, wtedy animusz Andrusia wzrastał.

— Widzisz, dziadzie, boisz się! taki jesteś odważny, co?

Rączka panny Muszki ścisnęła się konwulsyjnie ze strachu, oczu nie mogła już oderwać od palących źrenic pradiada i cofała się, jak rak, tyłem ku

drzwiom, ciągnąc za sobą Andrusia, grożącego pięścią portretowi.

Ale od chwili, gdy dzień ślubu ciotki Maryni został oznaczony, od tej chwili nawet stare komnaty przybrały inny charakter, cienie i duchy zrobiły miejsce żyjącym osobom, które teraz uwijały się po domu, zanim nieruchome miały w swoim czasie zawisnąć na ścianie *in effigie*, ku postrachowi swoich prawnuków.

Ale nie o tém mowa. W tej chwili ruch i gwar dochodzi do zenitu w dworcu odwiecznym. Dzieci przymierzają sukienki, bo to przeddzień ślubu ciotki Maryni, więc trzeba będzie godnie wystąpić; naprzód panienki.

Hela i Muszka krygują się w swoich białych, muślinowych sukienkach w złote gwiazdki. Mama tych dwóch godnych osóbek chciałyby pozrywać wszystkie gwiazdki z nieba ku ich szczęściu i uciechu, a że z trudnością przyszło jej w dalszym życiu promieniami drogę im zasłać, więc choć sukienki ich dziecięce zdobiła złotymi gwiazdkami, własną śliczną białą ręką haftowanemi.

Hela już stała przy lustrze i wykręciła się jak szczygielek na gałązce nad wodą, gdy swe barwne piórka podziwiała. Muszka zaś przeglądała się w czarnych oczach swojego wielbiciela, który aż wypieków dostał z radości, widząc ją taką piękną, niby motyl, niby jutrzienka, niby sama w złotą gwiazdeczkę za-

mieniona. Lekkie spódniczki piętrzyły się jedna na drugiej; główka o siwych, trochę zmrużonych oczach, o pulchniej, jędrnej, śmiesznie głupiutkiej twarzyczce, wychylała się z pośród falbanek i fryzyczek, jak mak polny z pośród kłosów srebrzystych.

Andrusiowi bardzo się to wszystko podobało, a gdy Muszka, zmęczona przymierzaniem, usiąść chciała, aby odpocząć trochę, jój adorator stanowczo oparł się temu.

— Zgnieciesz sukienkę — mówił — nie trzeba siadać do jutra.

Całe szczęście, że owa świetna tualeta została prędko zdjęta z roztrzepanej nad wyraz figurki, bo inaczej autokratyczny wielbiciel byłby Muszkę przypawił o kurcze w nogach, nie pozwalając jój zgnieść sukienki.

Potem przyszła kolej na białe, całe haftami zdobne, ubranie młodzieńca, i znowu Muszką podziwiała, przekonana, że żaden zaczarowany *Prince Charmant* nie mógł mieć piękniejszego stroju i ładniejszych loków czarnych na głowie.

Gdy tak już cała gromada musztrę paradową od była, puszczone im eugle i wolność oddano, co w tych dniach rajskiej niezależności podwójną miało wartość, bo „Fransuaza” co innego miała na głowie, niż komendę: „Marsz do kąta, ręce w tył!”, albo: „*Po-lisson, ton dessert, Metela, va le manger*”.

Metela, ach! ta Metela! najmiłsza, najdroższa

przyjaciółka dzieci, ich kozioł ofiarny, ich skarb nieoceniony, ich „wodzicielka na pokuszenie”. Była to ukochana psina ciotki Maryni, zwykle nieodstępna od boku swojej pani, o tyle, o ile pokusa hulanki z dzieciarnią nie stawała się silniejszą od niej.

Otóż Metela od pewnego czasu wyłącznie Muszce i Andrusiowi w opiekę oddana została przez ciotkę Marynię, bo sama ciocia przeniewierzyła się jój chwilowo, wszelkie czułości dla wujka *in spe* chowając.

Młoda para wywiązywała się bardzo sumiennie z roli opiekunów: nigdy Metela nie przejadała się tak systematycznie, jak w tym ważnym dziejowym przełomie kroniki W.; nigdy Metela nie brała tak regularnie dwóch, a i trzech kąpiei higienicznych dziennie w jezioru. To ostatnie nie trafiło do jój przekonania, starała się zwykle wyperswadować opiekunom, że jedna kąpiel tygodniowo wystarczy; ale opiekunowie, dbali o czystość pupilki, również jak i o swoją rozrywkę, pławili ją, ile razy sposobność się nadarzyła.

Nadszedł dzień, w którym przeniesiono łóżeczka panienek z komnaty pradziadowskiej do oficyny, i Muszka, ku ogólnemu zdziwieniu, nie nalegała już, aby spać „od ścian”.

A było to jój zwyczajem, bo gdy spała „od ścian”, to ją drugie łóżko, siostry, zasłaniało od duchów, i tylko w ten sposób spokojnie zasnąć mogła.

Ale w oficynie wesoło było; pokoje niewielkie,

jeden pokój oddano paniąkom, drugi chłopakom; przez otwarte drzwi rozmawiać było można i o strachach zapomnieli wszyscy.

Tylko, o zgrozo! wtedy to zostało rzucone ziarno spisku, który miał mieć tragiczne następstwa i miał się wyryć na wieki w pamięci bohaterów: Andrusia i Muszki.

Kto rzucił to fatalne ziarno, tego nikt sobie później przypomnieć nie mógł; faktem jest, że po długich naradach, jak się zachowywać w dniu ślubu cioci Maryni, co jeść, a czego nie jeść, po rozprawach gastronomicznych, w których wszyscy razem udział brali, a w których cukrowa kolacja wypukle rysowała się w podnieconych wyobraźniach, zaczęto radzić nad strojami.

Hela dziwiła się, czemu, skoro panna młoda w bieli występować musi, czemu i pan młody białego fraka i białych bucików nie przywdziewa?

— Pytałam się mamy; mama mówi, że biały kolor, to kolor niewinności, i że dlatego pannę młodą tak ubierają do ślubu.

— Co to jest niewinność?

— To jak ktoś nie nie winien, a ciocia Marynia nie nie winna temu, że „się żeni”, bo jój tak mama i papa kazali, a pan młody dlatego nie może się ubrać w kolor niewinności, bo on winien, bo on sam chciał; on już nie ma papy i mamy, i robi, co chce.

Tak tłumaczyła Muszka; ona zawsze wszystko starała się zrozumieć; tylko, że wtedy, tak jak i w późniejszym życiu, rozum jej zwykle na imaginacyi się opierał, co pojęcia jój czyniło bardziej fantastycznymi, niż matematycznie ścisłymi.

Ale dzieciom wyjaśnienie Muszki wystarczyło zupełnie, i w tej chwili z zaciekawieniem słuchały Michasia, który z entuzjazmem opisywał, jaki będzie ślub jego.

Michaś miał jedno tylko marzenie w życiu: zostać stangretem i powozić czwórką koni, i mieć Władzia, ukochanego amikusa-kuzyna, za forysia pod swoją komendą. Zupełnie te same marzenia żywił Władzio w swój ambitnej duszy, z tą różnicą, że on miał być stangretem a Michaś forysiem; to jedno dzieliło ich pojęcia, i czasem do starcia doprowadzało te dwie braterskie dusze. Michaś jął przekładać zgromadzeniu, jak to on sam żonę do ślubu zawiezie i od ślubu także, a biczysko będzie miało dwie mile długości, a trzaskać będzie tak, że dzwony kościelne zagłuszy, a potem spać będą w stajni, bo złodzieje mogliby ukraść czwórkę koni, która równiej sobie nawet w „harem” szacha perskiego nie będzie miała. (Dzieci były przekonane, że „harem” znaczy po turcku stajnia).

Plany te wywołały żywą dyskusję; paniąkom się to nie podobało; Andrus także dowodził, że to nie miałyby sensu, bo panna młoda zawsze musi sie-

dzieć przy panu młodym, a przecież na koźle nie mogłaby usiąść z taką długą białą powłoką, bo-by się pobrudziła.

Spostrzeżenie to było trafnym bardzo, ale wywołało nowe uwagi na konto strojów. Hela pytała: czemu-to jój suknia ma być bez trenu? ona-by wolała taką wspaniałą powłokę od swój krótkiej spódniczki. Muszce się to podobało o tyle tylko, o ile pod taką długą suknią możnaby mieć zabłocone buciki, a „Fransuaza” nie spostrzegłaby tego.

W tój-to chwili właśnie któreś z kongresowiczów odezwało się: „A Metela? Dlaczego Metela nie ma dostać sukienki na jutro, skoro to ślub jój pani?”

Myśl ta zelektryzowała wszystkich, a projekt podany przez Muszkę spodobał się najwięcej.

Metela powinna mieć białą sukienkę w różowe „ciapki”. To im się wydało bardzo gustownym strojem i zupełnie zastosowanym do urody Meteli, tylko, że na tём zatrzymały się i języki i umysły, bo późna noc była; wszyscy ochrypli potrosze od zbyt ożywionego rozhoworu i, marząc o tём, jakby to ładnie było Meteli w sukience w różowe „ciapki”, całe towarzystwo zasnęło.

Nie, nie całe. Muszki imaginacya została rozkołysana; cały zasób fantazyi swój wysiliła, aby znaleźć radę na zdobycie tualety dla Meteli. I już, już zaczął się rysować plan kampanii w jój umyśle, gdy i ona zasnęła.

Nazajutrz, godzina czwarta po południu—cudowny dzień lipcowy; inaczéj być nie mogło, dzieci spodziewały się tego: jakże słońce i drzewa, kwiaty i ptaki zapomnieć miały, że to ślub cioei Maryni?

O siódméj wieczorem ma się odbyć ceremonia ślubna w kościółku, na górze położonym. Ludzie snują się, jak mrówki; jedni wiozą wieńce i bukiety do kościoła, drudzy między oficyną a dworem z ciastami, tortami i owocami się uwijają. Karetą za kareta wtacza się przez bramę do ogrodu. Tak są wszyscy pochłonięci arcyważnemi zajęciami, „Fransuaza” tak się zatapia w swoich czynnościach ochmistrzyni, które chwilowo przyjęła na siebie, że dzieciom z tego nadmiaru swobody w głowach się przewraca.

Porozpraszali się, każde idąc za swém powołaniem. I tak: Hela, udając pannę, płacze się w salonie między strojnymi damami i lustruje ich tualety; Władzio z Michasiem, trzymając w najwyższej pogardzie wszelkie światowości, wytargowali od stangretów baty o długich biczykach i siedzą na koźle wyprężonej karety, łając konie, które w ich wyobraźni posiadały wszystkie zalety eugowców Ali-Baby; Andrusz zaś z Muszką, dopiéro-co wypuszczeni z klatki, gdzie ich ostatecznie w godowe szaty przystrojono, radzą, co począć z temi trzema godzinami, to jest do chwili ślubu cioei.

Trzy godziny, trzy wieki! a za trzy godziny Andrusz i Muszka mają ważniejszą misję do spełnienia,

niż panna i pan młody. Ni mniej, ni więcej, ale mają być paziami i nieść majestatyczny tren cioci; osądźcie moi państwo!—nieść „tren”.

Czémże jest całe to licznie zebrane towarzystwo wybec dygnitarstwa tych dwojga osobistości? Jakże nieznaczące, liche, marne wydają im się te figury, które na nich z zachwytem spoglądać będą, gdy oni poniosą „tren” cioci?

Tak, ale Metela? Meteli nie wpuszczą do kościoła, a jest to niesprawiedliwością, bo przecież skoro to ślub jój pani, któż miałby prawo przyglądać się i być świadkiem, jeżeli nie ona?

Trudno—oni temu zaradzić nie potrafią, ale potrafią wynagrodzić jój poczęści krzywdę: będzie miała suknię w różowe „ciapki”. Tak zawyrokowała Muszka, tak postanowił Andrus.

Andrus jeszcze nie wie, jakim się to cudem da uskuteczyć, ale wierzy, bo Muszka mówi, że się da, więc widocznie dać się musi.

Za ogrodem, pełnym klonów, grabów i lip, za szpalerami cienistemi, daleko, daleko, o milę drogi, według wyobrażeń „milusińskich”, rozciągał się sad rozkoszny. Ten sad ciągnął dzieci, jak magnes, nęcił ich tysiącem uroków; stopy owoców, które tam leżały, jak gdyby na pokusę dla ludzkości, drzewa pokryte jabłkami — nie! to było coś, do czego ogród Hesperyd nie mógł się urzywać.

— Jako ongi Ewa w raju — mówi Muszka do Andrusia — chodźmy do sadu.

— Do sadu? Po co? — pyta Andrus strwożony bardzo.

„Do sadu!”—gdybyż to „Fransuaza” wiedziała! Wydała ona zakaz surowszy od zakazu Jehowy; wedle tego zakazu, nie jedno drzewo jabłoni, ale sad cały był miejscem potępienia.

— Chodźmy — mówi Muszka. — „Fransuaza” nie wiedzieć nie będzie; ona teraz zastawia cukrową kolację.

— A co my tam będziemy robili? — pyta jój towarzysz, ale mu oczy świecą na myśl przestąpienia progów sadu.

— Zobaczysz; zrobimy Meteli sukienkę w różowe ciapki.

To było dostatecznym argumentem; poszli tedy, a Metela za nimi, trzęsąc białym ogonkiem na znak wielkiego zadowolenia.

Nie minął kwadrans, kiedy młodzi państwo przestępowali granice surowo w przykazaniach „Fransuazy” wzbronione.

Oglądają się trwożliwie, bo wejść—to nie sztuka, ale zostać—sztuka. Od czego sadowi, dusze zaprzędane „Fransuazie”, jeżeli nie od tego, by grzecznie za drzwi wyprosić niepotrzebnego gościa? Ale złowroga gwiazda przyświecała zamiarom tych głów buntowniczych; ni sadowego, ni stróża, ni chłopaka, ni

żywej duszy; wszysej poszli patrzeć na „ślub ciotki Maryni”. Jako Adam i Ewa w raju, tak ci dwoje sami zostali.

Muszka rozgląda się teraz znowu, ale już nie szło jej o stróża lub inne straszidła: co innego miała na myśli.

— Czego szukasz? — pytał Andrus.

— Wisien.

— A na co?

— Zobaczysz.

Szukali tedy oboje i znaleźli.

— A teraz zrobimy Meteli różowe ciapki — mówi rezolutnie Muszka, tak zaabsorbowana swoją myślą, że bez pamięci na swą toaletę, gwiazdkami pokrytą, na hafty pazia *in spe*, siada na trawie pod drzewem wiśniowém, ciągnie za rękaw Andrusia, który obok niej przykłęka, rozgniatając kolanem kilka wisien czerwonych, a oczy trzyma wlepione w swoją bogdanę, z mniejszym zachwytem niż ciekawością.

Gdyby był spojrział w tej chwili na różową „ciapkę”, która się na jego spodeńkach wycisnęła po rozgnieceniu wiśni, byłby zrozumiał, jakim-to cudem Metela przybraną zostanie w różowe „ciapki”.

Ale on o swoich spodeńkach nie myślał w tej chwili, tylko śledził pilnie taktykę swojej towarzyszki.

— Aha! już wiem! — zawołał z tryumfem.

I dalejże za przykładem Muszki gnieść wiśnie i soki wyciskać na białą sierć Meteli. Po kilku mi-

nutach tej pracy mozolnej i zacieklej, Metela rzeczywiście oryginalny nosiła kostium. „Ciapki” różowe zdobyły setkami jej skórę, a szkoda tylko, że fabrykanci „ciapek” nie znali miary w swoim zapale, bo sukienka przeładowaną została owemi „ciapkami”; gdyby nie to, mogła być zupełnie gustowną.

— Jeszcze tu. I tu także. I tam. I na łapce. I na ogonie.

A Metela poddawała się z pewną filozofią tej operacji. Może być, że jej to ulgę sprawiało, bo chłodziło skórę i odświeżało ją.

— Już gotowa — zawołali tryumfalnie oboje.

Tak, Metela była gotową, ale nietylko ona została ozdobioną różowymi „ciapkami”.

O zgrozo! Tej chwili niezapomną ci dwoje nigdy w życiu. Hafty, złote gwiazdki, falbanki panny i żaboty młodzieńca, wszystko nosiło ślady różowych ciapek. Spojrzeli na siebie, ale głosu nie znaleźli, by wyrzucić uczucia swoje. Gdyby włosy miały rzeczywiście własność powstawania na głowie ze strachu, byłyby im się teraz niezawodnie zjeżyły do góry.

Gdyby się ziemia pod nimi zapadła i pochłonęła ich, byłiby z pewnym rodzajem ulgi pograżyli się w jej czeluściach, ale ziemi nie śniło się zapadać, a tymczasem ślub ciotki Maryni miał się odbyć za niespełna dwie godziny.

Stali tak chwil kilka w milczeniu; Metela obok nich podniosła łepkę do góry i wpatrywała się w te

twarze o tragicznym wyrazie, nie kręciła więcej ogonem; dobrze rozumiała, że zaszło coś okropnego.

Pierwsza odezwała się Muszka: — Uciekajmy.

Andrusz głucho powtórzył: — Uciekajmy.

I poczęli uciekać w najciemniejsze zakątki ogrodu, a Metela za nimi. A była to część ogrodu „piekłem” zwana. Kto ją tak nazwał i dlaczego, tego nikt nie wiedział; dość, że inaczej część ta nazywana nie była.

Na urwistym, prawie prostopadłym, stoku wzgórza rosły olchy tak zbite, tak gęste, że nawet w najjaśniejszy dzień słoneczny prawie ciemno tam było. Tuż u stóp góry wił się strumyk, dość szeroki, pod baldachimem gałęzi, które go zakrywały nieprzebitą prawie zasłoną, ztąd wody jego, choć czyste, nieledwie czarnemi się wydawały, na czarnym podkładzie kamieni. Tajemniczy był to zakątek; dla dzieci groza w nim mieszkająca: rzadko kiedy zaglądali do „piekła”, i to tylko całą bandą, gdy jedno drugiemu animuszu dodawać mogło.

W tej chwili prawie machinalnie kroki Muszki ku „piekłu” się kierowały; tam najciemniej, tam ich nikt nie znajdzie, a myśl, że odkryci zostaną, napędzała oboje trwogą nieopisaną.

Trzymając się ciągle za ręce, dopadli kępy drzew o pogiętych konarach i tam, niby dwa spłoszone ptaki, przysiedli, bojąc się głosu wydobyć, by ich kto

nie posłyszał. Siedzieli tak czas jakiś nieruchomie; nareszcie Andrusz pierwszy zapytał szeptem:

— Co to będzie?

— Nie wiem — odparła posępnie Muszka.

— Kto będzie nieś „tren” cioci Maryni?

— Nie wiem — odszepnęła Muszka.

— A cukrowa kolacya?

Muszka kiwnęła tylko głową, bo jej rozpacz głos odebrała i lzy strumieniem polały się z oczu.

Tego widoku znieść Andrusz nie mógł. Przyszła mu myśl bohaterska do głowy; tak, on się poświęci, on na siebie weźmie odpowiedzialność za zbrodnię.

— Nie płacz, Muszko — szeptał — ja powiem, że to ja poplamilem twoją sukienkę.

Ale równocześnie w oczach mu się zarysowała złowroga postać „Fransuazy”; poczuł *gęsią* skórkę na ciele i po krótkim wahaniu dokończył:

— Albo lepiej powiemy, że to Metela; ty powiesz i ja powiem, że to Metela tak nas poplamiała.

Muszka na chwilę uczuła się ocaloną, ale tylko na chwilę, bo rozsądek wrócił, by ją przekonać, jak dalece myśl ta jest niepraktyczną. Zapytała też z prawdziwym zniechęceniem:

— Tak, a jeżeli nas się spytają, kto „ciapki” na Meteli porobił?

— Powiemy, że to ona sama.

— „Fransuaza” nie uwierzy.

— A możeby wypruć?

- Ale gdzie?
- W strumieniu.
- Tutaj, w piekle?
- Tutaj.
- A może... spróbujmy.

Zeszli tedy niżej, aż do strumienia, i poczęli z najwyższą zaciekłością prac i prac, i trzec i trzec hafty, falbanki i żaboty, nachylając się tuż nad wodą. Ale, niestety, „ciapki”, o ile traciły na świeżości koloru, o tyle zyskiwały na rozmiarach.

— Ja twoje prac będę, a ty moje — proponowała Muszka; ale i to na nic się nie zdało.

Raptem rozległ się głos przerażający w powietrzu, a jeżeli umarli w dniu sądu ostatecznego doznać mają podobnego wzruszenia na głos trąby archanielskiej, jakiego doznali Andrus i Muszka na głos „Fransuazy”, to zamiast wyjść z grobów, napowrót się w nie pochowają i nie ich ztamtąd nie dobędzie.

— André!... Muszka!

André i Muszka przestali prac, zawiesili swoją pracę gorączkową, chwycili się za ręce i nasłuchiwali, niemi ze zgrozy.

— Andrrré! Muuszka!

Oni milczeli, ale słyszeli wyraźnie bicie swych sere.

Wołanie się zbliżało, i już nie jeden, ale dwa, trzy, pięć głosów naraz. Formalna oblawa: Hela,

Władzio, Michaś, stara niańka, jeden służący, a na czele, pokrywający wszystkie inne, głos Fransuazy.

— *Où êtes vous? Andrrrééé!*

Gdyby nie Metela! ach! ta przekłeta Metela, możeby nie odszukano przestępców do tej pory, może jakie bóstwo byłoby się ulitowało nad niemi, i jak ongi, za rządów jowiszowych, zamieniło tę trwożną parę w prątki sitowia albo w drżącą osiczyńkę; ale Metela zanadto dobrą miała okazję, by się zemścić za wszystkie zimne kąpiele, za wszystkie skoki, które jej narzucano po przez obręcz, i zemściła się, pędząc jak wiatr w stronę, z kąd głosy dochodziły.

Dziwna rzecz, że się ludzie w głowy nie zamieniają w niektórych okolicznościach życia; bo, że doznają uczucia skamieniałości fizycznie, to tylko potęguje cierpienie moralne, gdy duch cierpieć nie przestaje.

Andrus i Muszka skamienieli i niby posażek, przedstawiający krańcową rozpacz, stali ze splecionemi rękoma nad wodą.

Już są, już są spektatorzy!

Władzio i Michaś stoją naprzeciw przestępców, stoją, patrzą, oczom niedowierzają, już ręce załamali, już radziby ukryć tę parę przed oczyma sędziego nieubłaganego, ale zapóźno! zapóźno!

Zbliża się Hela, i ona oniemiała z przerażenia, a tuż za nią, kroczy, nie kto inny, jak ona, jak stra-

szna w majestacie swój niebieskiej jedwabnej sukni Fransuaza.

Już ich zoczyła, już pojęła doniosłość sytuacji, już oczy jej cisnęły sto błyskawic, skrzyżowanych z taką ilością sztyletów, a winowajcy stoją dalej nieruchomi, oczu nie śmia podnieść! Z batystów, falban i żabotów sączy się mętna woda, niby lzy, kapiące obficie po całych osobach.

— *Saligauds!* — wycodziła Françoiza wyraz ten, jako przednia straż tego, co się dalej z ust jej posypać miało.

(Bardzo przepraszam, czuję to dobrze, że wyraz ten nie kwalifikuje się druku, ale dla ścisłości sprawozdania powtórzyć go muszę.)

— *Sales enfants, on vous mettra des torchons, attendez.*

Des torchons, ależ i owszem, niechby i ścierki, tylko to nie nie pomoże, bo ciocia Marynia nie zechce pażków, pokrytych ścierkami.

Fransuaza dobrze rozumie, że zemsta jest na dzisiaj niepraktyczną, a tu goście siadają już do powozów, panna młoda niezadługo sama wyruszy przed ołtarz, już jej welon przypięli, już nawet do tej pory błogosławieństwo odbyć się musiało, tak, błogosławieństwo, ta chwila najciekawsza, najuroczystsza, w której nietylko panna płacze, i mamy, i papy, i liczni krewni, i sługi, i służebnice, ale psy i koty, i myszy z kącików wychodzą i lzy

ocierają, i wiewiórka na oknie ogonkiem oczy rozrzucone otrzepuje. A z powodu tych dwojga, tych, którzy tu stoją w „piekle” nad strumieniem, Fransuaza nie mogła być przytomną owęj wspaniałej ceremonii.

A więc ustronie to nie bez racji nosiło nazwę swoją złowrogą, bo w tej chwili stało się, zaiste, piekłem, i byłoby się to przeciągnęło do nieskończoności, gdyby nie coraz częściej dochodzący zdaleka turkot powozów—snadź wszystkie ku kościołowi wyruszają.

Trrrach! Piff! paff! paff! biecze naksztalt rewolwerów hueżą i echo do „piekła” dochodzi — nie! tego Władzio z Michasiem nie ścierpią, by tak trzaskano siarczyście, gdy oni w „piekle” siedzą, więc kłusem wydobyli się z tej czarnej jamy, gdzie o zachodzie słońca ponuro było zupełnie, i poewalowali tam, gdzie im słusznie miejsce należało, bo nie oni malowali „ciapki”.

Opuścili więc skamieniałą parę w niedoli z poczuciem bezsilności, bo i oni nie potrafiliby wyrwać towarzyszy ze szponów mścicielki.

Poszła i Hela, choć w zamyśleniu, ale miała sobie za obowiązek oddać ostatnią panięską posługę ciocie Maryni, bo skoro tamci tak się „usmekotali”, to któż ślubny tren poniesie? Pewnie ona z Władziem, już mniej dobrana para co do wzrostu i sympatii, ale w braku tych drapichrustów...

Nareszcie i Fransuaza nie wytrzymała, a zakończywszy chwilowo rozprawę wymowném: *Polissons!* — odwróciła się z pogardą i wyszła z „piekła”, by swęj cząstki nie stracić w tém, co się dzieć miało tam na górze.

I znowu ci dwoje sami zostali, bo wiarołomna Metela dawno już pogalopowała za innymi, wywołując ogólne zdumienie swemi różowemi ciapkami, — zdumienie wśród psów i ludzi. Ludzie przebaczyli jęj tę ekscentryczność w stroju, ale psy nigdy; od tęg pory Metela w pogardę została wzięta wśród swego rodu i kto wie, czy się jeszcze ostał jaki wielbiciel jęj wdzięków, bo z powodu niezwykłych przewrotów w państwie W. przez trzy dni błądziła ona w tém przebraniu, zanim zdecydowano się ją wykąpać; pojąć nie mogła, nie wiedząc, jakie dziwaczne kolory ją zdobią, czemu cała psia rasa w ogóle strojni od nięj i czemu ją wyniośle traktuje.

Ale wróćmy do „tamtych”.

Dopiero po cofnięciu się Fransuazy duch w nich powrócił i ruchy odzyskali i duch w nich pracować począł, a równocześnie z odzyskanemi władzami przejął ich żal serdeczny, głębokii, nieutulony za tém, co się tam na górze dzieje, a czego oni z „piekła”, widziēć nie mogą. Wiēć tknięci oboje równocześnie tą samą myślą, pomknęli i oni za innymi, czując, że opóźnienie wielkie nie pozwala naprawić złęgo.

Stało się — *c'était irréparable!*

Już pustki w starym dworeu, same duchy zostały — wszystko, co żyło, tłoczyło się w kościółku i u wrót kościółka; Andrus i Muszka, zmęczeni, zniechęceni, z głuchą rozpaczą w duszy, przysiedli na trawniku i nowym potokiem łez się zalewali.

Przecież i dla nich zbawienie zabłysło: oto z po za oficyny wydobyła się głowa starego ogrodnika, a za nią druga — starego służącego. Ci dwaj zdecydowali, że ktoś musi w domu pozostać, bo nuż ogień albo złodzieje. Ale na widok panicza i paniēki stare ich serca się rozczuliły.

— Ot! biedactwo! — zawyrokowali, gdy im młoda para tragiczne dzieje tego popołudnia opowiedziała.

Po krótkiej naradzie Osiński wpadł na pomysł, że Paweł ogrodnik, jako młodszy i silniejszy, zanieśie paniēkę do kościoła, by i ona widziała, co się tam dzieje, a że panicz za rękę go się uczepli, to pójdzie prędkiej.

Tak tedy Muszka oryginalnym ekwipażem zajęchała przed bramy kościelne i to właśnie w chwili, gdy organy zagrzmiały uroczystem *Veni Creator*. Szczęściem, że wszystkie oczy w pannę młodą były wlepione, nikt więc na tę trójkę spóźnioną uwagi nie zwrócił.

Panna Muszka zawsze na rękę Pawła przyglądała się obrzędowi z po nad głów całego orszaku —

pana Andrzeja podniósł także do góry stary Maciej karbowy i tak, co mieli widzieć, widzieli, bo droga przez ogród znacznie była krótsza, niż powozowa, więc raptem tylko mówka księdza proboszcza ich ominęła, podobno bardzo piękna mówka, ale oboje winowajcy bardziej czuli się niepocieszonymi po roli paziów, której odegaré nie mogli.

Możnaby cały tom napisać z tego, co się potem działo, jako to dzieci okryły się niesławą w obliczności całego towarzystwa, które wysłuchało opowieści o różowych ciapkach ze zgrozą; bo w końcu po nitce doszła Fransuasa do kłębka za pomocą Władzia i Michasia, którzy indagowali przestępców; oni dowiedzieli się całej prawdy i zakomunikowali ją władzom, starając się złagodzić winę, o ile się dało.

Już wyrok zapadł, że cukrowej kolacyi ci dwoje nie skosztują i na resztę dnia zostaną zamknięci w osobnych pokojach; ale ta, która miała prawo amnestyi obdarzać dnia tego, jako wstępująca na tron małżeński, ta unieważniła wyrok przez groźnego sędziego wydany: winowajców do łask ogółu powróciła, a owi nowocześni Adam i Ewa, ubrani w nowe szaty, które dopiero nazajutrz figurować miały, częstowali się wzajemnie przy stole, wspaniale zastawionym.

— Chcesz jeszcze kawałek makaronika?

— Nie, ja wolę marcepan, ale ty zjedz ten kasztan osmażany: zobaczysz jaki dobry.

I starali się zapomnieć o nieszczęściach swoich o tyle, o ile oczy Fransuazy, zwrócone na nich, od czasu do czasu, oddechu im w piersiach nie tamowały.

A działo się to dawno temu. Mój Boże! gdzie te czasy? gdzie ciocie? gdzie kuzynkowie?

Tylko wspomnienie serdeczne zostało o ślubie cioci Maryni i o Meteli w różowe „ciapki”.

TOMCIO I ROMCIO.

Esteja. — Kto zwyciężcą?

Smutna wróżba towarzyszyła ich poznaniu się. Było to na leceyi tańca u pani Wileńskiej. Na leceyi téj rej rodził pan Tomasz Kalinowski, a z wieku i urzędu rejwodzenie mu się należało.

Z wieku, bo miał już lat dziewiętnaście, wolno mu więc było lekceważyć takie dziecinne harce i zapasy, choć ich nie lekceważył; a z urzędu, bo był najładniejszym chłopcem, jakiego dane jest oczom ludzkim oglądać. Naturalnie, że podlotki głowę traciły dla pięknego Tomcia. Gdybyż tylko podlotki! Od czegoż one mają głowy, jeżeli nie od tracenia? tracą i odnajdują i znowu tracą i znowu znajdują — więc o to niéma kłopotu. Ale między młodzieżą opowiadano sobie, że młody pan Tomasz tém swoim powłóczystém spojrzeniem, temi oczyma, z których razem i miód i promienie tryskały, poczynił niebywale spustoszenia tam nawet, gdzie się ich czynić nie godzi — tam nawet gdzie jedno serce męzkie wzięło w monopol jedno serce damskie,

pod egidą przysięgi kościelnej, dwóch świadków, złotej obrączki i specjalnego prawa do niewinnych scenek małżeńskich.

Tam nawet, w te zakazane okolice zajechały oczy Tomcia, a zajechały całkiem mimowolnie, bo cóż on temu był winien, że miał takie oczy, którym bezkarnie nie wolno było patrzeć? Przecież nie mógł na tych swoich czarnych źrenicach nosić przepaski, przez wzgląd na posiadaczy monopolu — mężowie oczu takich nie znoszą u bliźnich swoich, radziby policją wmieszać ku obronie swych praw; — radziby wydać wyrok na właścicieli ócz tych, nakazujący im bez niebieskich okularów nie chadzać po świecie.

Gdy świat dojdzie do ostatecznych wyników umoralnienia, kodeks karny wydanym zostanie dla tych, którzy, mając oczy niebezpieczne, zechcą bez okularów zabawiać mężatki. Zanim to nastąpi, Tomcio korzystał z wolności pod tym względem i gdzie spojrział, tam serca drgały i drżały pod jego spojrzeniem, jako klawisz pod palcami mistrza.

Raz jeszcze: nie on temu był winien, ambicyi pod tym względem nie żywił; — był sobie ślicznym chłopcem, wesołym jak gil, zwinnym jak koń arabski, serdecznym jak polska piosenka, a z powodu lat młodzieńczych naiwnym trochę, o tyle, że gdy jakowa niewiasta szeptała mu na ucho serdeczne słówka, to je brał za dobrą monetę.

W pamięci serca swego zebrał już skarbiec cały monet takich. Choć miał lat dziewiętnaście dopiero, ale wspomnienia jego pod względem czułych słówek datowały nieledwie od kołyski, bo już nianki kochały się w tych jego czarnych, słodko błyszczących źrenicach.

Byłby może długo ludził się illuzjami, że w skarbcu wspomnień jego znajdują się tylko perły uryańskie z szafirami zmieszane, gdyby nie owa pamiętna lekeya tańca, na której kilka młodych mężatek się znajdowało, towarzysząc siostrzyczkom lub kuzynkom. Tam-to przekonał się Tomcio, że trzy damy, w których kochał się od dwóch tygodni, to kolejno, to równocześnie, to gorączkowo, to z rozmarzeniem, — wszystkie trzy w owym czasie nawet, kiedy odpowiadały najczulszém spojrzeniem na jego spojrzenie, a uściśnieniem dłoni jego, gdy on im rączki całował... że nawet wtedy grał tylko rolę kompasu w ich życiu i był nadprogramowym dodatkiem.

Jak się o tém przekonał, długo byłoby opowiadać; faktem jest, że w tej chwili dopiero przejrzał zamiast czekać cierpliwie, aby po kilku latach dostać główną rolę bohatera, powyrzucił w przystępie szlachetnego oburzenia wszystkie fałszywe monety ze skarbcza pamiętek i postanowił odtąd inną dążyć drogą.

Mianowicie przysiągł sobie nigdy już serca swe go na manowce nie puszczać, nigdy już nie oddawać go w ofierze chytrym niewiastom, na których ciążył monopol, a które chcąc się z niego otrząsnąć, fałszem tylko żyły, kłamstwem i obłudą.

Pan Tomasz postanowił od téj pory poświęcić swe uczucia panienkom, li tylko panienkom. Właśnie na owéj lekcyi tańca poznał szesnastoletni okaz kwiatka wiosennego.

Wprawdzie po rozczarowaniach, jakich doznał wieczora tego, miał serce zdruzgotane na miazgę i truciznę niewiary w duszę zaszczipioną; ale kwiatek wiosenny tak to jakoś poreparował, tak wygładził i osłodził kilku spojrzeniami rzuconemi zpod oka, niby to nieśmiało a tak zręcznie, — kilku wyrazami niby-to bez głębszego znaczenia a tak pieczęciami ucho, że Tomcio ani spostrzegł, gdy z mężatkowskiego przeszedł na lep paniński; ale nie próżnował, serce jego bezczynności nie znało.

Tym razem zanosilo się na coś, co mu nie groziło rozczarowaniem, bo i kwiatek wiosenny przylgnął magnetycznie do miodowego spojrzenia Tomcia i byliby z pewnością w tym pierwszym zachwycie miłosnej pieśni wiosennej ulecieli na wyżyny, o jakich zwykli śmiertelnicy pojęcia nie mają, gdyby w wirze rozkosznego walca nie byli się po-

tknęli o lupinkę od gruszki i nie klapnęli marnie na ziemię: nie jako kwiaty wiosenne, ale jako dwa listki wiatrem listopadowym podcięte.

I to właśnie złą wróżbą zamigotało nad tym prądem elektrycznym, który ich ku sobie popychał.

Tomcio zerwał się pierwszy, i zanim tuzin małoletniej młodzieży pośpieszył ku ratunkowi kwiatka wiosennego, już tenże kwiatek, na ramieniu Tomcia wsparty, pofrunął dalej, jak gdyby nigdy nie.

Mógłby kto przypuścić, że takie nagłe a niespodziewane zająście ostudzi zapal w tych dwojgu i nadwerezę to, co zaledwie korzonki puszczać zaczynało. Otóż przeciwnie.

Tomcio przeszedł znakomitą szkołę; formalne *Gradus ad Parnassum* Clementiego. Ostatnie trzy zeszyty (wydanie mężatek) przedziwną wprawę w nim wyrobiły; i teraz mógł dawać koncerta, jak skończony wirtuoz, a marne rozciągnięcie się na posadzce, zamiast ugasić płomień, posłużyło mu tylko do rozdmuchania ognia.

— Panno Melanio — mówił, pochylając się nad maleńkiem uszkiem kwiatka wiosennego — czy pani przebaczy mi moję niezgrabność? Ja chciałem panią unieść w lazurowe przestrzenie, a tu mi dyabeł nogę podstawił.

Ostatnie wyrazy, jako pełne mężkości, zrobiły

wielkie wrażenie na pannie Melanii, *vulgo* Myszce; jako dobrze wychowana panienka nigdy nie byłaby śmiała posłużyć się imieniem szatana, ale jój to nieraz imponowało, gdy jeden z jój wujaszków używał z niesłychaną odwagą słownika pełnego dyabłów, bomb i kartaczy, więc tenże słownik w ustach Tomcia nadawał mu cechę dojrzałego mężczyzny.

Panna Myszka podniosła na niego swoje wymowne oczy, które tém silniej działały na imaginacyę, że zdążyły tylko zaświecić niby błyskawica i gasły natychmiast, przyémione powieką, o długiej gęstej frendzli rzęsy ciemnej (jak mówi poeta w białym wierszu).

Tomcio zelektryzowany ścisnął mocno rączkę panienki w swój dłoń i szeptał dając:

— Proszę powiedzieć, że mi pani przebaczysz, proszę, bo inaczej będę niepocieszony, ucieknę i nie pokażę się więcej ze wstydu.

Znowu ostatnie wyrazy obrachowane były na wywołanie najsilniejszego wrażenia. On miałby uciec i nie pokazać się więcej! Myszki serce boleśnie się ścisnęło, i tym razem nie podniosła oczu, tylko rzekła śpiewnie:

— To przecież moja była wina: ja nadeptałam na łupinkę i ja się pośliznęłam.

— Ale ja powinienem był wesprzeć panią i uchronić ją od takiego przykrego wypadku, — to było moim obowiązkiem, bo tańcząc z panią, jestem

jój chwilowym opiekunem, mam ją na swojej odpowiedzialności.

— Pan temu nie winien, że nie umiem tańczyć i że jestem niezgrabna.

— O panno Melanio! pani dobrze wiesz, że ten ostatni przymiotnik prędzej mógłby się do rusalki stosować, niż do pani!

— Ja komplementom nie wierzę — odparła poważnie Myszka i tym razem znowu oczy podniosła, w których mieścił się wielki znak zapytania: „wierzyć czy nie wierzyć?”

W odpowiedzi Tomcio poprzysiął sobie w duchu, że ta „kobieta” uwierzyć musi, jak dalece sercem jego zawładnęła, a głośno odrzekł:

— Czas okaże czy ja jestem zdolny karmić panią czczeni kamplimentami, tylko, że pani już ufać nie zechcesz, ani się czuć bezpieczną po tém fatalném zajściu dzisiejszém.

Teraz kwiatek poprzysiął sobie w duchu, że ten „człowiek” uwierzyć musi w nieograniczoną ufność i sympatyę, jaką ona ma dla niego.

Głośno odparła:— „Najlepszy dowód złożę, że się nie boję i że ufam zrzeczności pana, jeżeli z nim jutro na łyżwach się puszcze; jeździsz pan?”

O dziwo! ten wiosenny kwiatek odzywał się i spoglądał z ukosa, jak gdyby i on także ukończył *Gradus ad Parnassum*; chociaż ten się tylko dziwić będzie, kto przypuszcza, że ród niewieści w kunszcie

zawracania głów męzkich szkoły potrzebuje; ten zaś kto wie, że niewiasta rodzi się artystką w swoim niewieścim zawodzie, zrozumie dlaczego panna Myszka tak się zręcznie wysłowić umiała. Czy Tomcio jeździł? naturalnie, że jeździł.

Jeździł na wszystkiém, na czém się jeździć dało, — i to po mistrzowsku. Jeździł na koniu, jak Aleksander Wielki albo Ciniselli, na łyżwach, jak Nordenskiöld albo jakowy Laponczyk, na imaginacyach niewieścich, jak Lewiatan na chmurze ognistój: na smoku i na lwie srogim byłby jeździł, gdyby Myszka zażądała tego jako dowodu miłości.

Tak tedy uczucie, to dzieciątko wczoraj dopiero zrodzone, przeszło przez próbę lodową nazajutrz po owęj pamiętnój lekeyi tańca i przeszło zwyciężko.

Silne ramię Tomcia kierowało ewolucjami zręcznej kibici Myszki, jak umiętny żeglarz lekką łodzią.

Sunęli w tył i naprzód, wolno jak obłoczek leniwy, szybko jak strzała z łuku wypuszczona, — w ósemkach jak dwoje baletników, którzy trudności nie znają, zakreślali kółka podobne do kółek dymu, które w chwilach zamyślenia Tomcio ku sufitowi posyłał, — nareszcie z szaloną, ze wściekłą werwą, jaka Tomcia zwykle cechowała, on sam, puszczając na chwilę rączkę panny Myszki

ze swęj dłoni, pomknął, robiąc wielki zakrętas na początku, potem naprzód się posunął, potem w tył, potem znowu naprzód i znowu w tył, robiąc zamasyte koło na zakończenie. W czasie tych ewolucyi piętą zagłębiał ostrze łyżwy w lodową skorupę i gdy nareszcie stanął obok Myszki z oczyma błyszczącemi niezwykłym ogniem, ona czytała wyraźnie zakreśloną literą swego imienia, — olbrzymie „M”, poblyskujące na gładkiej powierzchni lodu.

Tego dnia nie było żadnego wypadku niefortunego, ani Tomcio ani Myszka nie rozciągnęli się na tym ślizkim gruncie; ale kto wierzy w *omina*, może znowu za złą wróżbę poczyta owo „M” na lodzie pisane, — mogło to przypominać te zamki kryształowe, które się rozplywają w mgłę srebrzystą na wiosnę.

Oni jednak o złych wróżbach nie myśleli wcale, zajęci chwilą obecną wyzyskiwali ją, promienni szczęściem.

Panna Myszka była sierotą, ale nigdy nie zaznała sieroctwa swego, bo babka najczulsza, najbardziej kochająca z rodu babcinego, psuła ją więcej, niżby tego była rzeczywista potrzeba.

Wola wnuczki była wolą babci.

Stajem mieszkaniem pań tych była uroczą wioska nad Bugiem.

Do téj pory Myszka z wielkich grodów znała

tylko Warszawę; zwiedzenie innych miast odkładała w myśli do owej pory, kiedy jako dorosła panna długą suknię przywdzieje; bo była bardzo rozsądną i rzadko kiedy szybki z okna albo gwiazdki z nieba żądała.

Jako porę na „dorośnięcie” obrała Myszka szesnasty roczek życia. Babci ani w głowie postać opierać się temu; pamiętała ona jeszcze te czasy, kiedy panienci w szesnastym roku za męża wychodziły, i twierdziła, że działo się wtedy dużo lepiej, bo panny nie wyczekiwały daremnie na męża i nie robiło im się pstro w głowie od tego wyczekiwania.

Sama babcia wyszła za męża, mając lat piętnaście; dnia jednego ojciec rzekł do niej: „waćpanna zważ, co wolisz: iść na pensyą, czy męża dostać?”

Nie było jeszcze dość naiwnej „waćpanny”, która w takiej chwili nie padła ojcu do nóg i nie zawołała: „Męża, męża!”

Tak też uczyniła babcia, gdy panną była, i ztąd to nie przejęła się wcale różnemi przesadami wieku tego, w którym nierozważni rodzice, trzymając panny pannami jak najdłużej (gwoli zebrania posagu), pozwalają, by im się pstroczna w głowie rozgospodarowała.

Gdy zatem babcia uznała „dorośnięcie” panny Myszkowej jako rzecz słuszną, ona i Myszka, a teraz trzeci, Tomcio, nie myślał podawać w wątpliwość

praw bohaterki do długiej sukni, a w razie danym nawet do ślubnej obrączki.

Były mamy na świecie — no, i córki także, — które już szesnastą stronkę życia dawno odwróciły, i którym, naturalnie, dawno już było pstro w głowie. Otóż były takie, które obwiniały babcie o lekkomyślność a wnuczkę o rozmyślne deptanie wszelkich praw doletności panięńskiej, gdy ją wpośród siebie ujrzały niemniej otoczoną, i niemniej umiejącą się posługiwać oczyma lub językiem. To było jasnym, że zazdrość ścigała ten kwiatek wiosenny i dyktowała paniom różne złośliwe komentarze; ani babcia jednak, ani Myszka, ani Tomcio nie brali tego do serca.

Ale prawda. Nie zostało jeszcze wyjaśnionem: jakim sposobem białogłowa o siwych i jej wnuczka o złotych loczkach znalazły się we Lwowie?

Otóż, gdy szesnasty rok wybił na dziejowym zegarze Myszkowej, postanowiła ona podróżować, — i, naturalnie, podróżowała. Zaczęto od wyekwirowania się w Warszawie, bo panienka nie spuszczała się na „szyk galicyjski”, potem podążono *via* Lublin do Lwowa; *via* Lublin w celu zwiedzenia jednego grodu więćej; w czasie, gdy pociąg rozmyślnym próżnowaniem się zabawiał, babcia z wnuczką zauważyły, że podróż ta jest nieco mola i nawet nudną nazwać-by ją można. Było

to pierwsze rozczarowanie; im się zdawało, że taki przeciąg czasu i te przeszkody, jakie się napotyka między [Warszawą a Lwowem *via* Lublin, wystarczyć-by powinny na małą wycieczką do Ziemi Ognistej albo Kamerunu. Przecież stanęły w końcu w grodzie nad Pełtwią, gdzie już Pełtwi nie zastały, bo na starość zapomniała się jejmość perfumować i wody jęj wydawały nader niemiłe zapachy, więc ją pogrzebano niebogę, jako psującą harmonią prastarego miasta.

Prastare miasto podobało się bardzo Myszcze... gdy wyszła po za jego obręb. Wysoki zamek w słodką zadumę ją wprawił, i tam wyjaśniła sobie rycerza Tomcia, — bo kubek w kubek taki sam panielic w marzeniach jęj harcował na koniku, cały w zbroję zakuty, na wałach zamku.

Tylko przyłbicę miał spuszczoną, więc twarzy jego widzielić nie mogła, ale gdy przedstawiono jęj pana Tomasza, ona w tęg chwili poznała, że tamten z zamku takie musiał mieć lica, a nie inne.

Po trzech dniach, spędzonych nad pogrzebaną Pełtwią, Myszka przedstawioną została kilku rodzinom, które babcia jęj znała za dawnych jeszcze czasów. Nie minął tydzień, a posypały się zaproszenia na tańcujące herbatki, na baliki, na lekeye tańca i tympodobne gymnastyczne ćwiczenia.

Ze swęj strony Tomcio także czas jakiś tylko spędzał we Lwowie. Kalinówka, wieś na granicy węgierskiej położona, była miejscem, w którém ujrział światło dzienne.

W Debreczynie zaprawiał się do życia umysłowego na podartęg książce, a do życia uczuciowego na słodkich oczach i czułych słówkach dam miej scowych.

W Kalinówce pozostawił papę i mamę; już trzeci miesiąc zbliżał się ku końcowi, jak Tomcio opuścił progi domowe — trzeci miesiąc!

Już mama Tomcia wysłała niejednę prozę pod jego adresem, ze wzmianką jako to jęj serce bije na myśl uściskania jedynaka, — jako to drugi jedynak tęg więcej przypomina jęj nieobecność pierwszego, — a tak jęj tęskno za najmilszym swoim chłopcem, że skoro powróci, to mu pozwoli papierosy palić publicznie, nawet w jęj pokoju, — co mu oszczędzi upakarzających tajemnic, w jakie zabrnął, gdy dotknięcie tytoniu nie było jeszcze sankcyonowaném przez papę.

Tomcio odpisywał regularnie na listy mamy, dobierał równie serdecznych wyrazów i chwalił się, że kiedy wolno mu będzie palić w jęj pokoju, to kupi sobie papierosów, które palić zwykły tylko hare-mowe damy sułtańskie, bo mu jeszcze pięć reńskich z owych stu zostało; — że ma nadzieję, iż za tydzień drogi odmarzną i on znowu na swym wier-

nym bicyklu będzie mógł pokłusować w objęcia matczyne, a owe pięć reńskich wystarczą mu na tytoń Odalisek.

W ogóle szeroko dosyć rozpiisał się o tych pięciu papierkach, tak szeroko, że mama gdy list odebrała, wyczytała między liniami najwyraźniej napisane „Mateczko, przyślijcie mi tam jakie 20, któreby moję piątkę zasilily”. — Ale papa nie chciał nic widziéć między owemi liniami, przeciwnie,—najeżył wąsa na dowód niezadowolonia, że jedynak już „przelampartował“ sumę, w jaką był na podróż tam i z powrotem zaopatrzony, i alluzye mamy co do zasilków poczytywał za przywidzenie niewieście.

Tak tedy chwilowo nie nie pozostawało mamie jak oczekiwać cierpliwie widoku stalowego ruma-ka, z któregooby zeskoczyło jój serdeczne chłopię, i pocieszała się w tęsknocie tym, którego mogła brać kolejno i według fantazyi, to za Tomcia, to za Romcia.

Wielkie musiało być podobieństwo między Tomciem a Romciem, skoro nawet matka niezawsze wiedziała, — i dlatego obu jedynakami zwała, — który jest którym.

Co zaś do obcych w ogóle, to Tomcio i Romcio, Romcio i Tomcio stanowili jednę nierozzerwalną całość, której nikt nigdy nie mógł rozgmatwać.

Zdarzały się z tego powodu różne dziwaczne zajścia, czasem komiczne, czasem groziły nawet

tragedya, ale do tragedyi nigdy nie przyszło i przyjść nie mogło, bo Tomcio i Romcio należeli do gatunku bliźniąt niebywałych: nietylko, że sobie nigdy niczego nie zazdrościli, ale nawet, o dziwo!, cieszyli się, jeden tryumfami drugiego. Nie tylko, że ustępowali sobie z drogi, ale nawet w chwilach krytycznych dopomagali sobie wzajemnie. Gdy jeden z nich naciągał łuk, mierząc prosto w serce której z bogiń debreczyńskich, drugi pomagał mu celować, ale nigdy nie rościł sobie pretensyi do korzystania z wygranej.

Zdarzyło się np., że Romcio kochał się w pani Róży i kochał się rzetelnie, a nie mógł, z powodu niewykończenia studyum łacińskiego nad Owidyuszem, poświęcić, jój całego wieczoru; wtedy brał Tomcia pod ramię i szeptał mu coś cicho na ucho, poczem się ulatniał.

Tomcio zaś siadał obok pani Róży i magnetyzował ją oczami tak podobnemi do oczu Romcia, że sam nieraz powątpiewał: czy to nie oczy braterskie, gdy się w lustrze przejrzał.

Otóż pani Róża, bywało, rzeknie śpiewnym głosem: — Ja myślałam, że pan Roman ze mną rozmawia, a to pan, panie Tomaszu.

Na to Tomcio, z miną najspokojniejszą i pobłażliwym uśmiechem, odpowiadał:

— To teraz mylisz się pani: Tomasz miał dużo

zajęcia i opuścił zebranie, to ja jestem Romanem. Jeszcze mnie pani nie odróżniasz od mego brata?

Ostatnie wyrazy wymawiał z cieniem żalu i skargi w głosie, a pani Róża ręce składała jak do pacierza.

— Niechże mi pan daruje — prosila — naturalnie, że to była pomyłka; o! już teraz zawsze panów rozróżnię; pan, panie Romanie, masz dźwięk głosu, którego zapomnieć nie można, a potem i oczy! pan Tomasz nie umie tak, jak pan, spoglądać.

Tomcio powinien był poczuć żal do pięknej pani za tę niewczesną uwagę, ale on tak był w tej chwili wcielony w brata swego Romana, że uwagą tą był tylko rozczulony, nie więcej, i nie spuszczał z oka pani Róży, nie pozwalając, by się jakieś inne wrażenie do serca jej wkradło, póki bratu swemu nie zwróci praw nad nią, bo tego właśnie żądał od niego Romcio, wychodząc.

Pani Róża nieraz padała ofiarą tej bliźnięcej strategii, ale nigdy nie miała się o tem dowiedzieć, bo dyskrecya dwóch braci była zupełniejszą od dyskrecyi dwóch wysmukłych smereków, mieszkających na szczycie Tatr niedostępnych.

Jeżeli pani Róży oczy Tomcia potrafiły zastąpić oczy Romcia, to i mama musiała się zadawać widokiem jednego z jedyneków, gdy nie było drugiego.

A ten drugi, choć ojciec jego począł już wymy-

ślać, że się chłopiec łobuzuje, nie łobuzował się wcale, tylko się kochał na zabój w kwiatku wiosennym.

Kochając się, rozmyślał: co to będzie, gdy owe pięć reńskich przejdą w dziedzinę wspomnień. Bo, nie mogąc się doczekać na progę swego pokoju tego anioła pocieszyciela w postaci listonosza, który się na kwitku podpisywać każe, aby potem zostawić rozkoszną kopertę z pięciu majestatycznymi pieczęciami, nie mogąc się tedy doczekać tego najszlachetniejszego z synów ziemi, obwiniał matkę swą, że nie rozumiała niemiej, choć wymownej, próśby zawartej w owem extra-serdecznem piśmie.

Nie był bowiem nigdy matką do tej pory, a tylko matka zrozumieć może, jak dalece krzywdzące podejrzenie rzucił na swoją rodzinę. Dość, że rzucił, a w przystępie coraz większej trwogi wysłał do brata, do swego drugiego „ja”, alarmującą depezę, w trzech słowach:

„Przyślij co masz.”

Brat zrozumiał, bo jedną myśl mieli i jedną duszę, ale właśnie dla tego, że tworzyli nie ledwie jedną całość, nie mógł się tym razem różnić Tomcio od Romcia i odtelegrafował:

„Nie warto posyłać, bo nie mam.”

To było ciosem dla Tomcia, ale nie miał żalu do brata, bo wiedział, że skoro taka, a nie inna,

była odpowiedź, to snadź Romcio innęj odpowiedzi dać nie mógł.

Że Romcio, aby mu dopomódz, mógł pożyczyc pieniędzy od którego z kollegów, nie przyszło Tomciowi do głowy; od pieluch słyszeli jedno przykazanie, powtarzane zgodnie przez rodziców:

„Nie będziesz się w długi pakował.”

Święte, cudowne przykazanie — które mamy i papy nie dosyć wpajają w uszy synowskie w kraju naszym; a które, raz wpojone, obfite owoce wydaje, albowiem chroni synów od zapredania dusz swych izraelskiemu Mołochowi, pożerającemu z nienasyconém żarłocstwem ofiary swe za życia.

Otóż Tomcio z Romeciem byliby woleli pocałować starą Ruchlę przekupkę w same wąsate usta, niż pożyczkę zaciągnąć. Dlatego-to pan Tomasz po odebraniu odpowiedzi pana Romana wpadł w najgłębszą melancholię, czarne myśli obsiadły go jak stado kruków, i cierpiał, a tylko ci wiedzą, jak cierpiał, którzy ostatnią dziesiątkę z ostatniego reńskiego wydali.

Gdyby zamiary jego były wedle życzenia rodziców, gdyby mu chodziło tylko o spędzenie jakich kilku dni dłużej we Lwowie, to byliby się może odważył napisać do ojca wyraźnie, że mu takiego-to a takiego zasilku potrzeba; ale plany jego, choć niezupełnie jasno rysowały mu się w głowie, przecież dostatecznie już na to, by pojął, że

do każdego prędczej, niż do ojca, udalby się z prośbą o pomoc.

Wnuczka ustami babci zadecydowała, że po zwiedzeniu Lwowa czas teraz zwiedzić Kraków, a potem zatrzymać się w Wiedniu jakiś tydzień i zakończyć tę pielgrzymkę w Kwietniu, kiedy-to ich obecność będzie potrzebna w Kozielnóże, majątku nad Bugiem.

O planach tych wiedział Tomcio; nietylko został w nie wtajemniczonym, ale ilekroć razy Myszka o nich wspomniała, tyle razy podnosiła na pana Tomasza te swoje, nawpół smętne, nawpół figlarne, żrenice i pytała:

— „Pan także pojedziesz, nieprawdaż?”

Tomcio byliby wolał poświęcić cały puszek, który mu się obficie wysypał nad ustami w czasie kilku ostatnich tygodni, niż wyznać Myszce, że się boi papy — a cóż dopióro, że nie ma monety potrzebnej.

Więc nie wyznał nic, — przeciwnie, ile razy Myszka pytała: — „Pan także pojedzie?”

Tomcio odpowiadał: — „Gdzie pani, panna Melanio, — tam i ja”.

Babcia miała pana Tomasza za konkurenta zdeklarowanego, — już zasięgnęła języka na jego rachunek, dowiedziała się, że młodzian należy do zacnej i znakomitej rodziny; że się sprawnie wzorowo; że się w nim panie trochę zanadto kochają, ale tém większy tryumf dla Myszki; że rodzice jego są ma-

jętni, więc i on niezawodnie majątnym będzie — zaraz albo w przyszłości.

Czegóż więcej było potrzeba? — Do tej pory oświadczyć się nie mógł jeszcze wedle wszelkich reguł; bo dopiero trzy tygodnie temu poznał panią swych myśli, więc babcia nie żywiła najmniejszych pretensyj do niego.

Tem mniej Myszka, która w Tomciu widziała swego dozgonnego przyjaciela; Tomcio brał także na seryo swe konkury, — tylko nie śmiał pomyśleć jak to papa, a tym razem nawet i mama, zapatrywać się będą na rzecz tę.

Niestety, tam, w Kalinówce, nie miano go za tak skończonego młodzieńca, za jakiego go miała babcia i wnuczka. Wczoraj dopiero dostał pozwolenie na papierosy; — papieros a małżeństwo jeszcze w pewnej odległości od siebie stoją, — więc Tomcio trwogę w duszy zabijał, upajając się co dzień, co godzina słodkiem spojrzeniem panny Melanii.

— Panie Tomaszu, jutro jedziemy — rzekła dnia jednego panienka — czy pan jesteś gotów do drogi?

— W każdej chwili, gdy tylko pani rozkazać raczy — odpowiedział pan Tomasz, choć mu głos z trudnością z piersi się wydobywał.

Panna Melania nie postępowała wedle reguł obowiązujących panienki do grania komedyi obojętności w chwili, gdy ich serca goreją. Ona o ko-

medyi nie miała najmniejszego pojęcia, a przytém uważała Tomcia za swoją własność, którą wolno jej było komenderować tak samo, jak babcia, potém, — ona czuła, że się nie narzuca panu Tomaszowi i że jemu nawet przez głowę przejść nie może opuścić ją i pozwolić samęj jechać.

Miała o tyle słuszność, że Tomcio rzeczywiście buntował się na myśl powrotu do Kalinówki, w chwili, gdy Myszka w przeciwną stronę podąży.

Buntować się łatwo, ale jak tu zaradzić złemu?

Przecież w kassie nie dadzą mu biletu do Wiednia na kredyt, a na bicyklu gonić pociąg kurierski i uwijać się pod oknami wagonu, z którego się główka panny Melanii wychyla, to rzecz bardzo tentująca i niekosztowna wcale, tylko niewykonalna.

Ostateczne „czy pan gotów do drogi?” — wywołało w nim formalny uragan sprzecznych uczuć. — Uścisnął rączkę panienki, żegnając ją „do jutra.”

Pod pozorem, że musi załatwić niektóre sprawy i kufer upakować, powrócił do swego namiotu, rzucił się na ottomanę, która mu łóżko zastępowała w apartamencie przyjaciela, i ukrywszy głowę w obu dłoniach, począł się bić z myślami, z których dwie mianowicie, jak natrętne muchy jesienne, najgłośniej brzęczały:

— „Musisz jechać.”

— „Nie możesz jechać.”

Odezwał się dzwonek, po chwili wszedł przyja-

ciel do pokoju, w którym się ta tragedia wewnętrzna odgrywała.

— Tomciu!

— He? — pytał głosem złamanym bohater, nie zmieniając pozycyi.

— Cóż u licha! Czyś zjadł co niezdrowego, że się tak wijesz?

— Zjadłem, do stu dyabłów! — daj mi pokój.

— Jeżeli zjadłeś, to ci nie dam pokoju, ale kieliszek anyżówki: pyszna rzecz na takie dolegliwości.

— Do kroćset! Proszę, zostaw mnie w spokoju, bo mnie wszyscy dyabli wezmą.

— Ba! niema o to kłopotu. Coży z tobą robili?

Pan Tomasz rzucił się na ottomanie, jak karp na piasku, a Wacek, przyjaciel jego serdeczny, przestraszył się, ujrzawszy te oczy podsiniałe i ten rozpaczliwy wyraz twarzy.

— Tomciu — rzekł znowu — tyś naprawdę chory. Powiedz: co ci się stało? Odpała cię. Et! taka dzierlatka! Masz się czego martwić!

Pan Tomasz zerwał się na równe nogi, przyskoczył do niewinnego Wacka z zaciśniętymi pięściami i zawołał:

— Nie żartuj, ej! nie żartuj! bom zły.

— No, to widzę; nie potrzebujesz mi mówić. Ale chciałbym wiedzieć: czegoś zły?

Pan Tomasz chodził teraz wielkimi krokami po pokoju i milezał, sapiąc mocno.

Wacek ustąpił mu z drogi, wyciągnął się na fotelu, zapalił papierosa i czekał, — a gdy Tomcio wciąż chodził i wysapać się nie mógł, wtedy przyjaciel zapytał go łagodnie, jak matka:

— Cóż u licha! czyś ty się już przedzierzgnął w lokomotywę gotową do drogi?

Niebaczny, przycisnął najboleśniejszą strunę w sercu Tomasza. „Lokomotywa do drogi gotowa” — ironio!

Pan Tomasz przystanął, spojrział złowrogo w oczy przyjaciela i rzekł ponuro:

— Ej Wacek! proszę cię na naszą przyjaźń, nie mów mi o lokomotywie.

— A o czymże mam ci mówić, do stu par beczek! — Przecież cię tak nie zostawię samego. Coś cię opętało; kto cię będzie pilnował, jeśli nie ja?

To trafiło do przekonania Tomcia: spuścił głowę na piersi i mileżąc chodził już spokojniejszym krokiem, przestał nawet sapać, by nikomu, a sobie najmniej, lokomotywy nie przypominać.

Nareszcie zmęczył się i usiadł. Wacek tymczasem wypalił już trzeciego papierosa, a teraz spojrział na zegarek i rzekł:

— Człowieku, to już po 5-ój. Cóż? nie pójdziemy na obiad?

— Idź — mruknął Tomcio.

— A ty?

— Nie jestem głodny.

— Co to będzie? Bo mnie już z głodu coś szarpie w żołądku.

— Idź.

Wacek namyślił się chwilę, poczem wstał, obejrzał się dokoła i zbliżył się do stolika, na którym przyrządy toaletowe leżały. Wziął nożyczki, spróbował ich raz i drugi, otwierając i zamykając, w końcu wsunął je do szuflady; — potem ujął brzytwę, — obejrzał, zamyślił się nad nią, w końcu położył ją zcicha obok nożyczek w szufladzie; — potem rzucił okiem na mur swego apartamentu. Wisiała tam na jednej ścianie stara szabla po praszczurach, fuzya i rewolwer. Wacek, zawsze z równym spokojem, zdejmował jedno mordercze narzędzie po drugim. Nareszcie, gdy już nic podejrzanego nie mógł dostrzedz, zamknął szufladę, dwa razy klucz obracając, wsunął go do kieszeni i przystanął, by się jeszcze raz uważnie Tomciowi przyjrzyć.

Tomcio stał koło okna, tyłem do niego wykręcony, więc z fizyognomii jego trudno coś było wyczytać.

Wacek się zamyślił, — potem potarł rękę po czole, na znak wielkiego frasunku, i mruknął zcicha:

— Nie, trzeba co zjeść, bo mi się koła w oczach robią.

Więc się cofnął ku drzwiom, schwycił za kapelusz, jeszcze się namyślał chwilę i znowu mruknął:

— Co się temu stało, że nawet jeść nie chce?

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie dokoła pokoju, — spostrzegł szczypee stalowe, którymi węgle na kominku zwykł układać, — zbliżył się do nich, podniósł, ważył chwilę w rękę, ale postawił znowu na miejscu, cedząc przez zęby:

— Tém się chyba nie zabije.

I uspokojony ostatecznie, wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Tomcio sam został, walcząc ciągle z dwiema żartém i wściekle potykającém się myślami.

— Pojedziesz — szamotała się jedna, — nie możesz — krzyczała druga w niebogłosey.

Już mózg rozsadzić mu miała ta szalona walka wewnętrzna; powietrza mu zabrakło: więc rzucił się ku drzwiom, by się na ulicę dostać i w Jezuickim ogrodzie ochłodzić głowę zbolalą.

Ale drzwi oparły się jego wysiłkom.

— Cóż u licha! Zamknął mnie ten błazen, czy ja może zwaryowałem, czy co?

Wrócił do okna, ale mu się życie w tak czarnych kolorach przedstawiło, Myszka tak była niezdobytą, kompromitacyą niedotrzymanego słowa, pannie Melanii danego, tak straszna, — że chwycił się za głowę oburącz i pobiegł tam, gdzie broń po praszczurach zwykła była wisić.

Nie! tylko sześć gwoździ.

Pobiegł do toalety, gdzie zwykle leżała brzytwa — nie! oprócz lustra, szczotek, grzebieni i fixatoaru.

Więc padł znowu na ottomankę i sam nie wiedział: zemdlął-li na nią, czy przytomność stracił, czy też może zasnął poprostu?

W niespełna godzinę klucz w zamku się obrócił i do pokoju wszedł rozważny Wacek. Odetchnął głęboko, gdy po kilku nawoływaniach i potrząśnięciach rękawem Tomcio głowę podniósł i zapytał trochę sennym głosem:

— Czego?

— Spałeś?

— Dyabła tam spałem.

— A coś robił?

— Albo ja wiem?

— Chce ci się jeść?

— Aż mnie ckli z głodu — przyznał pokornie, zwalczony przez naturę.

— No, to chodźmy.

— A no, chodźmy.

I poszli, a wierny Wacek poświęcił się do tego stopnia, że „pałaszował” drugi obiad z rzędu jakoby na czezo był wyszedł z domu, bo uważał, że połowiczne poświęcenie licha warte. Kazał przy tej sposobności postawić butelkę węgryzna i przy tej-to okazji wydobyl nareszcie z przyjaciela troskę jego na światło dzienne.

Zamiast się rozczulać, rąbnął pięścią o stół, aż Tomcio podskoczył, bo miał dnia tego nerwy star-gane, i zawołał:

— Wyrzekam się ciebie.

Tomcio patrzył na niego zdziwiony.

— Nie masz pojęcia o przyjaźni, ślimacze masz serce, — nie znasz pierwszej litery w kodexie przyjaźni. Mam cię za hetkę pętelkę a nie za przyjaciela.

Teraz Tomcio rąbnął z niemiejszą energią i krzyknął:

— Odwołaj!

— Nie odwołam.

Odwołaj, bo cię zadławię — ciągnął Tomcio z oczyma iskrzącymi od gniewu.

— Odwołam, jeśli mi ty powiesz w tej chwili: „Potrzebuję 50, 70, 100 reńskich, dawaj.”

Tomcio zakrztusił się winem i tak kaszlał a kaszlał, że go aż Wacek żyłastą dłonią po karku trzepnął, powtarzając — nie udławisz się, powiedz, powiedz mi to zaraz, ile potrzebujesz, bo jak nie, to dalibóg, słowo uczciwego człowieka, kwita z przyjaźni!

W Tomciu rogata dusza siedziała: nie chciał się poddać; Wacek ją przekładać: jaką to krzywdę mu robi, jak to nie godzi się Ieka ani Szmula mieszać w historye miłosne, bo to nie przynosi szczęścia, ale co innego wziąć od brata szlachcica,

przyjaciela, któremu procentu się nie płaci a oddać można choćby i na dolinie Jozafata.

Tu się Tomcio zachnął: — Jeżeli pożyczę, to oddam, do kroćset!

— No, to oddasz, kochanie! oddasz! A kto ci broni? — ale najpierw weź, bo cię będę miał za trutnia.

W oczach Tomcia zamigotała rusalkowa postać panny Melanii, — zamajaczyły mu w myśli rajskie dnie w murach wiedeńskich — i rzekł: — Alboś ty taki Krezus, że miałbyś sto reńskich; tak sobie, gotówką?

— Albo co? Czym ja gorszy od Krezusa? czego mi ubliżasz? Krezus mógłby być moim fagasem. Chcesz sto, będziesz miał sto, ale czy to dosyć?

Tomcio rzucił się przyjacielowi na szyję i wołał w uniesieniu: — Wacku, niech cię wszyscy dyabli, jakęś ty pocziwy!

I tak się stało, że nazajutrz Tomcio siadał do „fiakra” (powozu) w czasie gdy „fiaker” (furman) siedział już na jego kufrze gotów do zacięcia rumaka.

Tomcio siadał z wolna, bo obie ręce miał zajęte: — w jednej dłoni trzymał bukiet z bratków i rezedę dla babci, w drugiej bukiet z konwalii i fijołków dla wnuczki, a gdyby był miał trzecią do użytku, byłby w niej trzymał 10-cio-funtowe pudło

cukierków, ale, że nie miał owęj trzeciej dłoni, więc mu przyjaciel Wacek podawał z kolei, tak pudło, jak i worek podróżny i pudełko z cylindrem — bo Tomcio zaopatrzył się nawet w cylinder.

Na dworcu Karola Ludwika głucha jeszcze była pustka, gdy pan Tomasz wysiadł z bukietami i pudełkami, a zanim ruch się zrobił, upłynęły, co najmniej, trzy kwadranse.

Ale kto po służbie jeździ na dworce kolejowe, ten powinien trzy kwadranse spędzać samotnie w poczekalni, bo nuż „ona” stawilaby się i wcześniej; na to nie mógł się narazić, tembardziej, że i babcia grała wybitną rolę w intrydze.

Znaną jest bowiem rzeczą, że babcie cierpią na gorączkę kolejową. Jeżeli mają wyruszać w świat daleki o jedenastej zrana, zrywają się zanim kur zapieje, i gdyby nie „roztrzępaństwo” wnuczki, już około południa stawilby się u zamkniętej kassy.

W takich warunkach żaden Tomcio nie miałby szansy znaleźć się pierwszym na dworcu, — ale Tomciowie znają swe panie i liczą na ich wpływy, że babciom nie będzie daném ruszyć się z domu, póki ostatni loczek nie zostanie zakrecony na głowie wnuczki a zaś woalka nie będzie starannie spuszezona, nie tworząc już żadnej fałdki. Takie „guzdralstwo” młodych wprowadza babci w stan niepoczytalny i w irrytacyą nie do opisania, ale to mija, gdy się na dworcu dowiedzą, że po-

ciąg nie wyruszył jeszcze z ostatniej stacyi, — wtedy wnuczka woła z tryumfem: „Widzi babcia! nie miałam racyi?”

A babcia udaje, że nie słyszy i zawsze jeszcze gorączkowo udziela wskazówek numerowemu co do bagaży i szesnastu ręcznych pakunczków, których wnuczka nienawidzi nienawiścią wielką.

Wszystko się odbyło wedle zwykłego programu. Tomcio chuchał w ręce długo bardzo i ziewnął kilka razy, zanim się tych pań doczekał; te panie nadjechały, zanim pociąg wyruszył z ostatniej stacyi, — i tylko ta była różnica, że babcia w strasznych opalach wyjazdu t. j. w jednej chwili, w której bunt przeciw Myszcze wypowiedała, nie pozwoliła jój nawet rękawiczek zapiąć, woalki starannie obciągnąć, — więc teraz, gdy panna Melania przejrzała się w lustrze poczekalni, zakryła oczy rączkami i zawołała: „o zgrozo!”

Z pod owój woalki wychodziło całe jedno uszko różowe, w czasie gdy na drugiem gęste faldeczki się tworzyły. Tomciowi bardzo się to podobało, ale Myszka miała się za zgubioną w jego opinii, więc czempredźj woalkę zdjęła, aby ją dopasować wedle reguły. Babcia zajęta była w tój chwili wyrzucaniem do dna wszystkiego, co się w torbie podróźnej znajdowało, bo zdawało jój się, że zapomniała kluczy od kufrów. Mozolna ta a przykra

operacya tak ją pochłoneła, że niezupełnie wiedziała, co się dokoła niój działo.

Bohaterowie nie omieszkali skorzystać z tego roztargnienia; Tomcio zaofiarował swe usługi Myszcze w zawiązaniu woalki. Myszka, nie mogąc sobie dać rady, przyjęła je z wdzięcznością: więc Tomcio wiązał i odwiązywał, i znowu wiązał, a jedwabne włosy panny Melanii dłoń jego o rozkoszne drzenie przyprowadzały; więc myślał, że choćby dla jednego wiązania woalki warto było urządzić „fugę,” która jeżeli obfitą będzie w złe skutki, bo papa nie daruje mu tego, przecież pokuta warta będzie grzechu.

Byłby tak może wiązał ową woalkę, aż po za sygnał trzeciego dzwonka, gdyby nie obrażony głos babci, który wyrwał oboje młodych z zachwyty przy lustrze.

— Myszko! ja się zabijam, a to ty je przecież schowałaś!

Tomcio ręce spuścił i stanął jak niewinne jagniątko obok lustra, a Myszka obróciła się frontem i mocno zdziwiona pytała: — Ja schowałam? co ja schowałam, babciu?

Ale babcia była w złym humorze i marudziła troszkę: — Ja wiem dobrze, że ty nie nigdy nie schowasz, ale tym razem ja ci je dałam do schowania i mówiłam „zgubisz”, i zgubiłaś pewnie, co?

— Babciniu droga, kiedy ja nie wiem, o co chodzi?

— Przecież ci mówię od godziny, że szukam kluczyków — woła babcia, łamiąc ręce.

Tomcio rzuca się jak oparzony, by także szukać, bo teraz dopiero zaczyna pojmować, dlaczego babcia w torbie przewracała.

Ale Myszka nie daje mu czasu na poświęcenie i tryumfalnie wyciąga z kieszeni pęk kluczyków.

— Babcia mnie zawsze niesłusznie obwinia; mam klucze, — naturalnie, że mam! nie myślałam ich zgubić.

— A czemuś nie pozwoliła szukać?

— Przecież musiałam woalę zawiązać! Jaka babciniunia niecierpliwa!

To trafiło do przekonania babci; od téj pory łagodnie i cierpliwie się zachowywała, a Tomecio sprawiał się dzielnie, gdy przyszła chwila krytyczna umieszczania na siatkach w przedziale drugiej klasy szesnastu ręcznych pakunków babci, dwóch bukietów, pudła cukierków i cylindra.

Zmachał się biedny Tomcio, Myszce żal go się zrobiło; — na razie nie powiedziała, ale gdy po dwugodzinnej jeździe babcia się zdrzemnęła, panna Melania kazała sobie podać swój bukiet, przytuliła główkę do konwalii i fijołków, nie tracąc na świeżości, w tym blizkiem sąsiedztwie koleżanek, kwiatków wiosennych, a gdy Tomcio nieśmiało

poprosił o jeden kwiateczek, wyjęła dwie konwalijki i trzy fijołki i podała mu je.

On wtedy: — Co mi potém, jeżeli mi ich pani własną rączką nie przypniesz!

— Ale czém?

— Szpilką.

— Oh! szpilki panu nie dam: to zły omen; za nic-bym panu szpilki nie dała.

— To niech pani paluszką przytrzyma, a ja własną szpilką wepnę.

— Czy panu doprawdy na tém tak bardzo zależy?

— Panno Melanio! Pani wiész...

— Kiedy mi się nie chce zdejmować rękawiczek. Panu Tomciowi wcale na myśl nie przyszło, że można kwiatki przytrzymać bez zdjęcia rękawiczek.

— To konieczne, odparł — bo mógłbym pani rączkę uwięzić szpilką przy butonierce. Ja pomogę.

I teraz począł ściągać rękawiczki z różowej rączki panny Melanii, — rączki bardzo starannie utrzymywanej, odkiedy miała konkurenta.

Ściągał z wolna jeden paluszek po drugim; najpierw ukazało się wiązanie ręki, delikatne jak cacko, bardzo kunsztownie porysowane niebieskimi żyłkami, potém wydobyła się dłoń różowa, dłoń podobna do téj, jaką Jutrzenka zasłonę nocną z nieba zdejmuję; — potém jeden paluszek po drugim, a co

jeden to ładniejszy od swego braciszka; — więc, gdy przyszła kolej na ten najmiłszy, najdrobniejszy, Tomcio już nie mógł wytrzymać i pocałował z przejściem wielkiem.

Myszka, bardzo obrażona, cofnęła się w sam rozek przedziału, — i nie chciała patrzeć na Tomcia; — ale gdy on widocznie posmutniał i humor stracił, a babcia ciągle spała, żal się Myszcze zrobiło, i chłopca, i czasu straconego, więc rzekła słodko: — Miałam panu przypiąć kwiatek.

Czarne dyamenty Tomcia w oprawie rzęs ciemnych zabłysły; spojrzął na panienkę, jak tylko on jeden na świecie patrzeć potrafił, i rzekł:

— Przebaczyła mi pani?

— Cóż mam robić? Takie z pana niegrzeczne dziecko!

— To pani winna: czemu mieć takie rozkoszne paluszki, na pokusę dla biednych ludzi stworzone?

— Ej! bo się znowu rozgniewam.

— Nic już nie! Najprzód niech pani przypnie obiecany kwiatek, potem zjemy cukierków: czy zgoda?

Naturalnie, że zgoda, — zjedli cukierków, zjedli dość dużo nawet, — Tomcio wybierał najlepsze dla Myszki, Myszka wybierała najlepsze dla Tomcia; — gdy się który Myszcze nie podobał i tylko go napoczęła, Tomcio nieznacznie przywłaszczał sobie ten skarb nadgryziony. Myszka, by go nie marwić,

udawała, że nie widzi, — aż wreszcie już mieli dosyć, i Myszka pudełko, dziesięć — nie, w tej chwili już ośmio-funtowe, zamykała.

Tomcio tymczasem kręcił a kręcił wasa, codzień o drobny atom potężniejszego, — i widocznie myśli jakaś, której nie śmiał wyrazić, dławila go, bo się zakrztusił kilka razy.

— Wié pani, co ja myślę? — rzekł w końcu.

— Nie wiem, doprawdy!

— Powiedzieć?

— Naturalnie!

— A jeżeli się pani rozgniewa?

— Kiedy pan tak zaostrza moją ciekawość!

— No, to już powiem.

— Słucham.

— Kiedy się boję.

— Nie, nie wierzę; pan nie masz miny tchórza.

— Kiedy ja się tylko pani boję.

— Czy ja jestem także straszna?

— Gdybyż dlatego; ja się boję właśnie, dlatego

że pani taka...

— Taka?

— Taka śliczna, panno Melanio!

— Panie Tomaszu!

— Już nie! już nie nie powiem.

— Ale ja chcę wiedzieć to, co przedtém...

— Na pani ryzyko?

— Na moje.

— Więc ja myślę, że cukierki słodkie, ale paluszek ten piąty, jeszcze słodszy.

Naturalnie, że mimo obietnicy, panna Melania znowu się rozgniewała; ona przecież nie mogła wiedzieć, że myśli Tomasza są takie straszne.

Ale potem gniew zajedli „kanapkami”, które babcia zabrała, — a gdy resztę kanapek pakowali z powrotem na siatki, tyle narobili wrzawy, że się babcia obudziła, i ziewając, rzekła:

— Już też tak hałasujecie, że na chwilę zasnąć nie mogłam.

— Babcuniu! babcia tak spała, że aż się serce radowało patrzeć; siedzieliśmy cicho, jak prawdziwe myszy.

— Co też ty mówisz, moje dziecko! Ja spałam? Ja i oka zmrużyć nie mogłam; zamykałam dlatego, że mi się śni od tego ruchu.

Więc się zaczęła ogólna rozmowa; panie cieszyły się, że żaden obcy passażer nie dostał się do ich przedziału. Tomcio, jak dobrze wychowany „gentleman”, nie myślał się chwalić, że wsunął dwa reńskie konduktorowi do rękawa, z prośbą, by mu nikt nieba nie zakłócał. Wprawdzie nie tych słów użył, ale konduktor się domyślił, bo wyczytał niebo w oczach Tomcia.

Podwugodzinnéj rozmowie o tém i owém babcia odezwała się nagle: — Jakie też to dziwne rzeczy płaczą się człowiekowi we śnie po głowie! Ot, mnie

się przyśniło, że ś. p. nieboszczyk mąż mój był małym dziecięciem, że ja go nosiłam w poduszce, i dziwiło mnie tylko, że takie małeństwo już ma siwą brodę — no, i co wy powiecie? śniło mi się, że wy oboje trzymacie go do chrztu.

Tomcio z Myszką aż się zapłakali ze śmiechu. Po małej pauzie podstępna Myszka rzekła: — Kiedy się to babci przyśnił ten sen dziwaczny?

Naiwna babcia wpadła w łapkę i, zapominając o tém, co zaszło jakiś czas temu, odparła:

— Ot, dziś, tu, w wagonie, kiedy się trochę zdrzemnęłam.

Teraz Myszka z tryumfem rzuciła się babci na szyję: — A widzi babciniunia, a widzi babcia, a kto mówił, że nie mógł oka zmrużyć, bośmy hałasowali?

Babcia moeno się zmieszala, ale prędko odzyskała zimną krew i tłómaczyła młodym: — Widzicie, sny przychodzą czasem na człowieka, kiedy jeszcze usnąć nie zdążył.

Myszka, w téj chwili nie mając nic innego do roboty, przytuliła się do babci i poczęła ją pieścić i całować, i włosy jej białe gładzić i koronkę czarną układać jej na głowie, i znowu się tuliła do niej pieszczotliwie, aż Tomcio zaklął w duchu:

— Do kroćset! Że się też to człowiek nie może przedzierzgnąć w babcie, w danym razie.

Nie mogąc dłużej znieść tego widoku, zapytał pań: czy mu pozwolą papierosa zapalić, a otrzymawszy pozwolenie, uchylił okno i przez szpary dym wypuszczał na świat szeroki.

Czas leciał szalenie prędko, i tak babcia, jak młodzi, nie dowierzali uszom, kiedy się pociąg zatrzymał, a konduktor zawołał: „Kraków“ — tubalnym głosem. Ale tam jeden dzień tylko się zatrzymali, bo dowiedzieli się, że za dwa tygodnie otwartą będzie wystawa kotów i gołębi w wawelskim grodzie, — a że Myszka „kochała“ gołębie i kotki, więc zdecydowała, iż lepiej prosto jechać do Wiednia, a dopiero z powrotem w Krakowie się zatrzymać i ztamtąd na Warszawę do Koziejnóżki powrócić.

Za zgodą ogólną projekt ten został przyjęty i wieczorem popędzono dalej; Tomcio, nie chcąc paniom przeszkadzać, przeniósł się do innego przedziału, w którym przemarzył całą noc na pół we śnie, na pół na jawie. Marzenia miał przerwane krótko-trwałą zmorą; zdawało mu się, że się dusi, uwięziony w czarnej jamie, przywiązany do skały, — że z po-za krat czarnej jamy sto rąk się wyciąga, wskazując na niego, i że głosy ludzkie, jak wezbrana fala morska, szemrają ze zgrozą: — Patrzcie! — to smok wawelski, który zjada młode dziewice; trzeba mu dać siarki!

I coraz głośniej wołano: — Trzeba mu dać siarki! Trzeba mu dać siarki!

Tomcio, okryty zimnym potem, obudził się i odechnął, gdy spostrzegł, że czarną jamą był tunel, w którym się właśnie znajdowali, a głosami wezbranymi — potężny huk pociągu, gdy się toczył między wązkiemi murami.

Więc już są i w Wiedniu. Tomcio, dla uczynienia zadość wymaganiom świata, stanął w innym a panie w innym hotelu: one zajęchały pod „Złotą koronę“ a on pod „Czarnego orła.“

Babcia przy téj sposobności zauważyła, że nie ma taktowniejszego młodzieńca pod słońcem.

I poczęło się snuć nowe pasmo dni rajskich. Zwiedzano razem wszystkie ciekawości wiedeńskie; wieczór spędzano, to w operze, to w cyrku, to w teatrze nawet, bo czego panna Melania zrozumieć nie mogła, to jój pan Tomasz tłómaczył, a babcia sobie drzemala, zachwycając się „wykwintném przedstawieniem.“

Tych cukierków, jakie Myszka miała teraz na śniadanie, na obiad i na kolacyą, tych cukierków, tych spojrzeń i tych słówek, byloby wystarczyło dla całego batalionu Myszek, — tak — cukierków spojrzeń i słówek, a jednak to nie było dostateczném dla téj jednéj Myszki; ona była praktyczném dzieckiem wieku i mówiła sobie: „cukierki się zjedzą, na spojrzeniach nie budować nie można, a słówka

o tyle mają cenę, o ile nie są przemijającą fantazją, o ile mieszczą w sobie treść bogatą w następstwa.“

Więc dnia jednego Myszka postanowiła: — Dzisiaj na spacerze mi się oświadczy. — Tomcio już od kilku dni miał widocznie jakąś troskę w sercu, — ale w obecności panny Melanii zdobywał się zawsze na świetny humor. Dzisiaj również wszedł promieniający do mieszkania tych pań; babci nie zastał w saloniku: zajęta była układaniem stu pięćdziesięciu gracyków wnuczki, bo chociaż Myszka przysięgała babci codziennie, że wszystko ułożone na na swoim miejscu, to jakimś dziwnym trafem broszka na fotelu, pończoszki na stole, gąbki na łóżku a rękawiczki na dywanie, — rozkładały się zwykle z całym wdziękiem fantastycznego nieładu.

Babcia fantastyczności tej nie lubiła i sprzątała kilka razy dziennie różne sprzęciki, uniewinniając wnuczkę w duchu: — Zakochane biedactwo, to trzeba jęj darować.

Tomcio zastał panienkę mocno zamyśloną; zbliżył się do nięj i uwięził w swęj dłoni jęj rączkę. — O czém? — spytał.

— O smutnych rzeczach — odparła żalawionemi oczyma.

Tomcio przeraził się wielce. — Powie mi pani?

— Wolałabym nie. W każdym razie nie w tęg chwili.

— A kiedy?

— Późnięj, nie wiem jeszcze.

Pan Tomasz zafrasował się mocno. Tęgo tylko chciała młoda bohaterka, i gdy wrażenie, jęj słowami wywołane, zdawało jęj się już dość silném, przeszła na inny ton, swobodny i wesoly. Świergotała jak ptaszek, śmiała się jak rozbawiony chochlik, aż się Tomcio zaraził tą wesołością, choć cież jakiś pozostał w duszy jęgo, z powodu owych pierwszych tajemniczych słów panny Melanii.

— Podaj mi pan płaszczyk: babcia zaraz będzie gotowa i wychodzimy.

Tomcio podał, następnie zawiązał znowu woalkę, zapiął rękawiczki, potęm okazało się, że buciki panienki były trochę zabłocone, bo rano wychodziła już z babcią do kościoła.

— Trzeba zadzwonić na numerowego — rzekła. Po chwili znalazły się szczotki, ale numerowego odprawiono, bo nie umiał bucików czyścić, tak przynajmniej dowodził Tomcio, więc sam przyklął. — Myszka po krótkich ceregielach nóżkę wysunęła i młodzieniec tarł a tarł bucik z zapałem, póki skórka, jak zwierciadło, nie zabłysła. Szczęściem, że już obie nóżki były w porządku, bo raptęm babcia we drzwiach się ukazała i bardzo, ale to bardzo, miała niezadowoloną minę.

Tomcio zapłonił się, jak gotowany homar, Mysz-

ka — jako drobna krewetka, — a babcia rzekła groźnie i stanowczo:

— Proszę, proszę, proszę! a to co? — i nie oglądając się na winowajców, szła naprzód zagniewana, a oni za nią, Tomcio, bajecznie zmieszany i Myszka także na pozór; ale to minęło dość prędko, tylko smutek pozostał. Ona rzekła:

— Widzi pan, to pana wina! Teraz nie śmiem babei w oczy spojrzeć.

— Ja wiem, że to moja wina i dusza mi pęka z żalu, że z mego powodu pani cierpisz, ale przecież zbrodnia nie była tak straszną. Jeżeli wolno numerowemu, to czemuż mnie nie miało być wolno?

— Pan dobrze wiesz, że są formy przez świat przyjęte, którym się poddać trzeba.

Tomcio spuścił głowę i uczył najgłębszy szacunek dla kwiatka wiosennego, który taktu i rozumu mógł uczyć choćby Minerwę.

Myszka ciągnęła dalej:

— I to jeszcze dziś, kiedy mam tyle kłopotu!

— Obiecałaś pani powiedzieć.

— Zasłużyłeś pan na moje zaufanie?

— Nie, ale jeżeli pani masz trochę serca, to się mścić nie będziesz, ukrywając swoje troski przedemną.

— Nie mam zamiaru mścić się, ale... może to pana nie zainteresuje nawet?

— O! panno Melanio! pani wiesz dobrze!

— Miałam dziś list od wuja, mego opiekuna.

— ?...

— Wuj pisze, że Kazio, syn jego, już powrócił z uniwersytetu.

Z uniwersytetu! — I on, Tomcio, musi z jój ust, z ust panny Melanii ten wyraz posłyszć!

— Powrócił? — ciągnęła Myszka; — ukończył wydział prawniczy, złożył świetnie egzamin i teraz..

— I teraz?

— Teraz ma się żenić.

Dzięki Bogu — pomyślał Tomcio — im prędzej tém lepiej.

Myszka przerwała mu te wewnętrzne uwagi, mówiąc dalej:

— Szukają żony dla niego.

Tomcia twarz nabrała innego wyrazu.

— Dopiéro szukają? — rzekł z pewnym rodzajem rozczarowania w głosie. — Ja myślałem, że on już sobie żonę znalazł!

— Gdzie tam! dopiéro szukają, a wujcio pisze, że on nie szukałby długo, bo ta, o której marzy jako o przyszłej synowej...

— Dokończ pani!

— Kiedy to tak trudno...

— Musisz dokończyć, panno Melanio! — zawołał desperacko pan Tomasz. — Mam prawo żądać wyjaśnienia.

— Więc wujcio pisze, że to ja — że to o mnie,

że... no, jedném słowem, że nie chce innéj synowej, tylko mnie.

— A on? — pytał zdławionym głosem Tomcio.

— Jaki on? — pytała niedomyślna Myszka.

— Ten... ten pan!

— Mój kuzyn?

— Tak.

— Przypisał się tylko.

— Co pisze?

— Myśli, że mnie wkrótce zobaczy.

— To źle myśli! Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli nie myśli źle!

Myszka patrzyła bardzo zdziwiona i przerażona nawet.

— Źle myśli! niech to sobie wyperswaduje, nigdy pani nie zobaczy, nigdy! już ja w tém; możesz mu to pani napisać.

— Panie Tomaszu! pan, pan!

— Co? co ja?

— Pan nie wiesz, co mówisz. Pan mnie przecież więzić nie będziesz!

— Nie — ale pani będziesz moją żoną, panno Melanio! Będziesz pani! bo tak już na gwiazdach zapisano. Nie odmówisz mi, bo miałabyś bańkę mydlaną zamiast serca. A gdy ja będę pani narzeczonym, a potem pani mężem, to dyabła zje tamten... błazen kuzynek! jeżeli ja mu panią pokażę.

Myszce się bardzo podobało to oświadczenie,

tyle w niém było zapału, tyle męskiej stanowczości i odwagi. Nie miała jednak dość siły, by mu odpowiedzieć, — przygarnęła się do babci, która najprzód nie chciała na nią spojrzeć, rozgniewana do téj pory; ale gdy Myszka wsunęła swą rączkę pod jej rękę, gdy jej do ucha wyszeptwała:

— Babcie! babciuniu, już mi się oświadczył! Co ja zrobię?

Wtedy w babci serce roztajało i musiała przysiąść na ławeczce z wielkiego wzruszenia; szczęściem, że ławeczka znalazła się tuż, tuż, do użytku. Więc babcia przysiadła, obtarła lzy chusteczką i rzekła:

— Ale bucików czyścić nie pozwolę, choćby tam pięćdziesiąt lat był narzeczonym!

Tomcio i Myszka przyrzekli, że nigdy się to już nie zdarzy, i powrócili do hotelu, bo dusze ich z nadto były wezbrane, by w téj chwili cuda wiedeńskie oglądać.

Tomcio wkrótce pożegnał te panie; i on po tym kroku stanowczym a nieodwołalnym samotności potrzebował — by rozważyć: co mu pozostało do zrobienia.

A pozostało bardzo wiele! Tak bardzo wiele, że się Tomcio za głowę złapał i miał ochotę wszystkie włosy sobie powyrwać z rozpacz.

Co tu teraz począć? — Te panie rozgościły się w rozkosznym Wiedniu, nie miały wcale zamiaru opuszczać miasta, aż za jaki tydzień dopiero.

A choćby chciały wyjechać natychmiast, to i cóż mu z tego przyjdzie? Jechać z niemi do Koziejnówki przez Kraków bardzo dobrze, ale na to trzeba mieć punkt oparcia w kieszeni, a on tego oparcia nie miał.

Z owych stu reńskich, po obliczeniu kosztów podróży, hotelu, cukierków, teatru i tego, co każdy człowiek, choćby najbardziej zakochany, swemu żołądkowi w ofierze nieść musi, po obliczeniu pary kamaszy bardzo eleganckich i dwóch krawatów, które się Myszcze podobały na wystawie sklepowej, co mu zostało? co zostało?

Niedyskretném jest zaglądać w cudzą portmonekę, zwłaszcza w takich okolicznościach; to przecież jedno dla wyjaśnienia powiedzieć się godzi, że Tomcio, po zrobieniu ostatecznego rachunku i ładu w pugilaresie, znalazł tam dużo biletów treści bardzo interesującej, w których Myszka donosiła mu, że się wybiera z babcią tam albo owdzie; ale po-za temi drogocennymi pamiątkami zauważył przerażający brak papierków innej treści, dużo mniej poetycznej, ale o wiele praktyczniejszej.

Natenezas Tomcio pomyślał: — Choćbym téż i depeszę odebrał, aby się nią przed temi paniami zasłonić, i wskutek téj depeszy musiał natychmiast wracać do domu, — to jeszcze na ten ostateczny krok kapitałów mi nie starczy. Co ja pocznę?

Póki jest zapas, póty wytrwam na stanowisku i Myszki nie opuszczę, — ale potem? Poło-

żenie moje bez wyjścia, gdy wydam ostatniego centa... przecież chyba w łeb sobie nie palnę. A kto wie? może się i na tém skończy, byle ona wiedziała, że jój byłem wierny, aż do śmierci. Biedactwo! dziś, z temi bucikami! Uważam, że to idiotyczne ceregiele mnie zabraniać, bym jój buczki czyścił — ale temu trza się poddać chwilowo. A potem... Et, marne życie, nawet tego mi nie dało do téj pory, bym miał prawo trochę szuwaksu rozetrzeć na jój nóżce. Gdybym sobie w łeb palnął, to babcia żałowałaby dzisiejszych chimier. Ale potem, ona gotowa wyjść za tego świszczypałę kuzynka! Zęby mu powybijam! Zrobię testament! Zapisałbym jój wszystko, co mam, t. j. co mieć będę — ale zaklnę ją na spokój méj duszy, by za tamtego nie wychodziła, bo z grobu wyjdę, a nie pozwolę. Tymczasem, póki ja żyję, cukierków jój nie zabraknie, wolę sam nic nie jeść; ale jój — nie! nie będzie powiedziane, żem robił oszczędności na cukierkach dla mojej narzeczonej. No, straszna ostateczność mnie czeka. Biedna mama! Głupstwo zrobiłem! Nie żałuję, żem pojechał, bo ją kocham, ale trzeba było z rodzicami jakoś porozumieć się, wytłómaczyć, — mama zrozumiałaby może. Serce nie sługa. Ciekawy jestem, czyby mnie téż w tych nowych kamaszach pochowali: trochę ciasne, — kanalie! Gotowi mi włożyć te stare z wykrzywionym obcasem. Mama zrozumiałaby może, ale za to ojciec... *Kreuzlunder Donner Wetter!*

Już-bym wolał gryźć ziemię, niż teraz z ojcem się spotkać. A jednak! Co to będzie? Co to będzie? — I Tomciowi łzy w oczach się zakręciły, ale nie pozwolił im stoczyć się po męzkim obliczu,—gwizdnął przeciągle, zapalił papierosa, zadeklamował z patosem: Czy dziś czy jutro, zrzucić to ciało, jak futro.

W końcu rzekł: — Wyzyskam każdą godzinę. — Dosyć ma dzień swój nędzy; będę o tém myślał; teraz jestem narzeczonym, a jako narzeczonemu...—Tu aż mu się w głowie zakręciło, gdy pomyślał, że ostatecznie miałby prawo dotknąć, choćby tylko raz jeden, różowych usteczek panny Melanii.

— Byłbym błaznem — dokończył po głębszém rozpatrzeniu téj sprawy, — gdybym poszedł na tamten świat bez pocałunku od Myszki; miałbym się za hetkę pętelkę.

To mu dodało hartu duszy: — Pocałuję ją raz jeden — myślał—a potem zobaczymy! Choćby też przyszło przespacerować się na Saturna. Czy dziś, czy jutro rzucić to ciało... Już Tomcio humor odzyskał, już cylinder na głowę wpakował, obiecując sobie, że go Romciowi w testamentie przekaże, gdyby się zdecydował na zgon tragiczny. Już począł nucić arytkę z *Cavalleria rusticana*, i dążył śpiesznie do hotelu pod „Złotą koroną”, wstąpiwszy po drodze do cukierni, gdzie kupił funt kasztanów osmażanych i funt ananasowych dla Myszki.

Wieczór spędzili ci państwo w operze na przedstawieniu „Orfeusza i Eurydyki”, Glücka. — Babcia zawiele miała wzruszeń dnia tego, by nie zasnąć, więc zasnęła, a Tomcio pił rozkosz z kielicha przez Myszkę zgotowanego, w postaci dwóch tysięcy pocałunków, które składał na jój rączce.

Ale zasypiając dnia tego, myślał: — Dwa, najdłużej trzy dni jeszcze, a będzie źle. Jutro obiadu jeść nie będę, to się byt mój o dzień przedłuży, na pojutrze zostanie mi 50 centów. A jeżeli moja pani zechce „fiakrem” pojechać, to ja zapłacę, jakem szlachcic! nie uchodzi inaczéj. Ale gdy zapłacę, to już na pojutrze dyabli śniadanie wezmą. Ani śniadania, ani obiadu! — będzie źle. I tu, niby błyskawica, przebiegła myśl przez głowę jego, że kto wie, czy nie popełnił wielkiéj pomyłki i czy powołaniem jego nie był chwilowo uniwersytet? Ale serce głośno myśl tę ofuknęło jako herezją.

Nazajutrz obudził się w melancholijném usposobieniu, a gdy w godzinę później spotkał się z panną Melanią, blady był, mizerny.

Myszkę martwiło to bardzo; gdy szli pod rękę przez Prater, rzekła: — Pan ukrywasz coś przedemną. Proszę pamiętać, że tajemnic nie powinniśmy mieć dla siebie.

Tomciowi jeść się chciało, bo była już piąta godzina, a on spożył tylko lekkie śniadanie. Nie chciał pójść na obiad z temi paniami pod pozorem, że

spotkał „dawnego” kolegę, który potrzebował jego pomocy w jakiejś ważnej sprawie, i to właśnie w godzinie obiadowej.

Jeść mu się chciało, ale przecież tej tajemnicy nie mógł wyznać swój narzeczonej, rzekł tylko: — Głowa mnie trochę boli, ale to minie. Zbyt wiele szczęścia szkodzi człowiekowi; — nie spałem noc całą, myśląc o mojej pani, a teraz zmęczony jestem.

— Weźmiemy fiakra, — nie pozwolę panu się męczyć. Zawołaj pan! — Kutscher! — wołała sama Myszka.

Tomcio opierał się energicznie. Za nic w świecie, panno Melanio! Ruch najlepszy na ból głowy. Niech mi pani wierzy.

— Nie! nie! siadamy do fiakra. Babciuniu, wszakże babcia także zmęczona?

I siedli; bo tak chciała panna Melania. Tomcio zapłacił furmana i... i... dziwna rzecz, przestał już nawet marzyć o pocałunku — tak mu się jeść chciało. A tu nazajutrz niema nawet co myśleć o śniadaniu!

Wieczór nadchodził; zadecydowane było od rana, że wieczór ten poświęcony będzie cyrkowi. Pan Tomasz lubił cyrk, bardzo nawet lubił, i gdy się godzina ósma zbliżała, a on czuł, że pod pozorem bólu głowy będzie musiał, zamiast do cyrku, udać się do swego samotnego zimnego pokoju w hotelu, to mu się życie całe zarysowało w wyobraźni jako jedna wielka, skomplikowana męczarnia. Usiadł w kąci

na fotelu, tam, gdzie światło lampy nie dochodziło, i klął w duchu wszystko i wszystkich.

Myszka tymczasem ubierała się w drugim pokoju, aby na ósmą być gotową, bo do tej pory ludził ją Tomcio, że pójdzie, że mu będzie lepiej.

Myszka od czasu do czasu wsuwała przez uchylone drzwi swój zadarty nosek i śmiejące się wielkie oczy, pytając troskliwie:

— I cóż? głowa?...

— Będzie lepiej — odpowiadał Tomcio. Wtedy Myszka — (o zgrozo! jeżeli tragedją niniejszą, mamy do rąk panienek dopuszczają, zaleca się im, by następujące wiersze starannie atramentem zamazały). Wtedy Myszka przykładła różowy paluszek do różowego dzióbka i zlekka pocichutku, tak, żeby babcia nie usłyszała, posyłała Tomciowi pocałunek — bez skrupułu, bez wyrzutu sumienia. — To mój narzeczoney — mówiła sobie — kto mi zabroni?

Kto? Nie Tomcio, naturalnie. Ile razy Myszka, drzwi uchylając, pytała: — a teraz czy lepiej? ile razy na otrzymaną odpowiedź przesyłała mu ten sam, rozkoszny, choć czysto platoniczny, pocałunek, tyle razy serce jego rwało się na strzępki z rozpacz.

Aż nareszcie weszła już pani serca jego w całym blasku swjej urody, — tak jej było ładnie w sukience mysiego koloru, obłożonej czernią, co do mysiej skórki podobnym było, — tak jej było ślicznie z bukiecikiem fijołków, darem od narzeczonego, wpiętym

do futerka, w które była, jak w ramy, ujęta, tak jój było pięknie w rozfryzowanych loczkach, które zło-temi promieniami czoło jój wieńczyły, że Tomcio patrzył na nią z zachwytem, myśląc w duchu: co to będzie? co to będzie?

Do téj-to niepokojącej myśli przyplątywała się inna, posępna w swój ironii.

— Ten bukiecik fijołków—to moje śniadanie jutrzejsze.

Ale przy téj myśli nie zatrzymywał się długo.

Tymczasem Myszka zapaliła maszynkę, położyła na nią szczypeyki do zakręcania loczków i, czekając, aż się ugrzeją, mówiła:

— Widzi pan, jaka ze mnie pocziwa „nie wiasta”.

Babcia musiała tak mi pomagać przy ubieraniu, że teraz biedactwo jeszcze z półgodziny sama się stroić będzie. Która to godzina?

Tomcio zmieszał się trochę i odparł: — Mój zegarek w naprawie, — pękła sprężyna.

— Proszę spojrzeć na mój, — odparła niewinna Myszka, która wpadała we wszystkie pułapki bólów głowy, pęknięcia sprężyny etc.

Tomcio spojrzał posłuszny, gdy jego pani już loczki kręciła.

Wpół do ósmój.

— To mamy jeszcze dwadzieścia minut czasu; ja tu dawno maszynkę przysposobiłam, bo wiedzia-

łam, że się pan nudzić będzie bezemnie. Babcia nie spostrzegła.

— Jaka pani dobra!—i chciał, na dowód wdzięczności, wszystkie dziesięć paluszków obcałować, ale szło to zwolna, bo Myszka wołała co chwila: — oparzę się, oparzę!

Już loczki skończone: panna Melania jeszcze piękniejsza. Stoi zadumana nad maszynką i nie gasi płomienia.

Tomcio, w nią wpatrzony, nie mówi, aby niepotrzebnie sił nie wyczerpywać; Myszce wystarcza zachwyty, który w oczach jego czytała.

— Wie pan o czym ja myślę? — pyta nagle panna Melania.

— Nie wiem.

— Gdyby pana wąsy były trochę, troszeczkę w górę zakręcone, byłyby jeszcze ładniejsze.

— Doprawdy? Nie podobają się pani? — pytał strapiiony Tomcio.

— Naturalnie, że mi się podobają: przecież dałam tego dowody, — ale gdyby były zakręcone, to, doprawdy, niech mi pan wierzy, byłoby je lepić widać.

— Może być—mówił zafrasowany pan Tomasz, spoglądając z wielką nieufnością na szczypeyki, ale — ale ja jeszcze nigdy nie zakręcałem, pewnie- bym nie potrafił.

Myszka główką kiwnęła: — To nie! Wie pan co ja myślę?

— Nie.

— Że to-by przecież nie nie szkodziło, gdybym sama je zakręciła. Ja potrafię. Przecież pan mój narzeczony, a babcia i tak nie zobaczy, bo tam teraz wszystko układa, — ja wszystko porzrzucałam!

— Jaka pani dobra, panno Melanio!

— Chce pan?

— Nie miałbym chcieć! Czegóżbym mógł jeszcze pragnąć na świecie, jeśli nie tego!

— No, to prędkiej, póki babci niéma.

Tomciowi nie było tak śpieszno, — przecież do-
rabiał się wąsów z wielkim mozolem, a jeszcze nie
doszedł do tych rezultatów, jakie pragnął otrzymać —
miałże teraz oddać ten drogi dobytek w ręce panny
Melanii, w rączki, o ile cudne, o tyle roztrzepane!

Ryzykowna rzecz.

— Ależ kto nie nie ryzykuje... pan Tomasz chciał
w duchu zakończyć znane przysłowie utartą końców-
ką— tylko, że był pesymistycznie usposobiony dnia
tego i dośpiewał w myśli: — ten nie skręci karku.

Ale panna Melania czekała, unosząc w górę
szczypeczyki—więc cóż było robić? Ryzykować, na-
turalnie.

Niestety! czarne przecucie nie omyliło pana To-
masza. Pierwszy wąsik, co prawda, już w górę się

podnosił junacko i sterczał dumnie, a Myszka tryum-
falnie na niego spoglądała, — ale za to drugi!

Bo też babcia mogła się cicho sprawić w sp-
pialnym pokoju — gdzie tam? od czego babcie, je-
żeli nie od grania roli śnieżnych okładów w zachwy-
tach młodzieńczych.

Otóż stara matrona w krytycznej chwili stuknęła
mocno o drzwi — czém? niewiadomo, bucikiem, czy
dzbankiem? — Tego historia zbadać nie mogła, czy
nie umiała, dość, że stuk był wielki, a Myszka nie
wątpiła, że się drzwi otwierają z łoskotem i że są
w nich zagniewane lica „babciuni” ukazują.

Z przestrachu wsunęła szczypeczyki, dopiero z o-
gnia zdjęte Tomciowi do ręki i odskoczyła o dzie-
sięć kroków; Tomcio stracił przytomność umysłu
i, nie ostudziwszy szczypiec, sam uchwycił w goreją-
ce kleszcze męzką ozdobę swego oblicza, coś zasycza-
ło, maleńki dymek uniósł się w górę, maleńki swę-
dzik rozszedł po pokoju, — i taki był sromotny ko-
niec tego wąsa, który dopiero zaczął się rozglądać
po świecie.

Stali tak chwilę w milczeniu, — nareszcie panna
Melania, kobieta bez serca i bez sumienia, parsknęła
śmiechem srebrzystym, — śmiech ten niby gamma
z kryształowych dzwoneczków, rozsypywał się w po-
wietrzu dźwiękami pieszcząciami ucho, ale tém panu
Tomaszu śmiech ten robił wrażenie zgrzytu piekiel-
nego; kielich goryczy, którym się poił od dni kilku,

zamiast się wyczerpać, przelewał się w tój chwili, jadem serce jego pojąc.

Cierpieć i móć się poskarżyć, znosić męczarnie i móć jęć z bólu — to jest rzeczą ludzką; ale cierpieniu stawiać pogodne czoło — to jest bohaterstwem.

— Jak pan śmiesznie wygląda, panie Tomaszu. Ten jeden wąs! Nie! Ja umrę ze śmiechu! Ten jeden wąs! To klasyczne. Ha, ha, ha, ha.

I jechała dalej w zapamiętaniu swoim, nie myśląc, co się w tém zbolalém sercu dzieje.

Tomcio śmiał się także, ale tém śmiechem, jaki znany jest tylko duszom na głęboką boleśćskazanym.

Nareszcie babcia weszła zaciekawiona: co tak rozśmieszyło tę zakochaną parę.

Tomcio chustkę przy ustach utrymał i mimo nalegań Myszki, by się pokazał babci w całej oryginalności swego wyglądu, wymawiał się bólem głowy wzrastającym do potężnych rozmiarów.

— Prawda! — zawołała Myszka, znowu ręce łamiąc — To nasz cyrk przepadł na dzisiaj.

— Odprowadzę panie—rzekł Tomcio — i wróć pod koniec przedstawienia, u wyjścia poczekam. Wypocznę kilka godzin, to będzie lepiej.

Ale ani babcia, ani wnuczka nie chciały przystać na to poświęcenie. Myszka nie miała wcale ochoty przedstawiać się światu z narzeczonym o jednym

wąsie, a babcia rada była, że się położy trochę wcześniej.

Noc cała, zamiast być odpoczynkiem, była dla niego, pana Tomasza, tylko jedną męczarnią; spać nie mógł, — ale też nie był zupełnie przytomny, — figlarne oczy panny Melanii, bifstek z jarzynkami, wąs palący się płomieniem na stosie, comber sarni na roźnie, i znowu rączka panny Melanii z bukieci-kiem fijołków, — wszystko to plątało się w jego wyobraźni, majączyło, łączyło, rozpierzchało i znowu, ująwszy się w jeden łańcuch nieprzerwany, tańczyło wściekłą sarabandę.

Mijała godzina za godziną, — nadszedł ranek posepny, pochmurny, błoto szaro-czarne, gęste błoto wydawało się tłem najstosowniejszym dla wszystkich dramatów odgrywających się na ziemskim obszarze; niebo ołowiane, czarne chmury tuż, tuż nad ziemią, przytłaczające ją swoim ciężarem, zdawały się najstosowniejszym horyzontem dla tego, co się działo w duszy pana Tomasza.

— Która godzina być może? — pytał sam siebie: — zegarek zastawiony. Wszystko zastawione! Jedyne ratunek, spać, póki się da. A potem?

Ciemno było jeszcze i ciemno być miało dzień cały. Tomcio pomyślał: — musi być jaka szósta — i zapadł znowu w stan napół przytomny.

Tymczasem zwolna, poważnie na pobliskim gmachu wybiła ósma,—wybiła dość głośno nawet—

i biła tak godzina za godziną, ale zawsze wtedy, gdy Tomcio wpadał w stan na pół przytomny, więc słyszeć nie mógł.

Głód obudził go — nie, to jest ocucił, chwilę później.

Podniósł się raptownie, posiedział chwilę na łóżku z głową ukrytą w dłoniach.

— Czy przyjdzie umrzeć z głodu? — pomyślał — czy lepiej w łeb sobie palnąć? Ale ja nie mam ani rewolweru, ani żadnej broni odpowiedniej. Zdawałoby się, że umrzeć można w każdej chwili, bez przeszkody, a i to nawet trudności przedstawia. Została mi jedna szpilka od krawata, tak, ale za to rewolweru nie kupię, najwyżej — strychniny — jak dla szczura.

Dreszcz go przejął. A taką to dziwną gmatwaniną myśl się płacze, że po szczurach myszy stanęły mu w oczach — i Myszka, naturalnie — i wczorajszy wieczór — i schwycił się za wąs opalony.

Smutnie teraz zwiesił głowę na piersi i rozważał: jakie to igraszki losy uczyniły sobie z niego.

Umrzeć, — umrzeć musi każdy — myślał — takie jest nienbłagane prawo, śmierć wzbudza współczucie, poszanowanie; — śmierć ma w sobie pewien uroczysty majestat. Ale ja i tego zadowolenia miećbym nie mógł, — do czego byłbym podobny, nawet w trumnie, z opalonym wąsem? Trzeba przede wszystkim się ogolić; sam nie potrafię, — do tego

trzeba wprawy; więc muszę pójść do fryzjera, — znowu kilka centów... Coraz mu było smutniej.

Spojrzał na ten pokój ciemny, ponury; — w tymto pokoju mógł niebawem spocząć wiecznym spoczynkiem, do którego nie tęsknił wcale.

Dreszcz go przeszedł, a skero na śmierć zawsze jest czas, nawet w ostatniej chwili, więc się ułożył na poduszce, koldrę wyżej pociągnął i wpadł w stan napół tylko przytomny.

Wybiła godzina dziesiąta.

Wkrótce potem głód go wyrwał z zupełnego odrętwienia. Z zimną krwią powiedział sobie: — Jeść mi się chce.

Poczem wpadł znowu w stan letargiczny, który zwykli śmiertelnicy byliby lekceważąco snem nazwali.

Wybiła jedenasta. Tomcio ocknął się i rzekł:

— Która też może być godzina? Za ten zegarek kupiłem jój dwa bukieciki, dwa pudła cukierków i byłem z niemi na „Orfeuszu w piekle”. Alboż ja to w piekle nie siedzę po uszy? Siarczyście mi się jeść chce. Dyabelnie nie wiedziałem, że to takie ohydne uczucie. Za godzinę wstanę, bo dłużej nie wytrzymam: teraz pewnie ósma być musi. Wstanę, pójdę się ogolić, bo tak zostać nie mogę. Tu mi na kredyt jeść nie dadzą. Płaci się gotówką, a za numer już jestem winien. Pójdę chyba po strychninę. Ale czy mi dadzą? Trzeba coś skomponować. Powiem, że mi szczury dziecko zjeść chciały.

Dziecko! — I tu zarysowała się w imaginacy Tomcia cała sielanka. Kwiatek wiosenny z dzieciątkiem na ręku — z jego dzieciątkiem!

Łzy mu się zakręciły w oczach.

— Piekielnie mi się jeść chce, — zakonkludował. Obrócił się do ściany, pociągnął poduszkę i wpadł znowu w sen do snu „Nony” podobny.

Dwunasta wybiła. O dwunastój miał być u tych pań „Pod złotą koroną”.

Gdy się nie stawił, ze zwykłą akuratnością, babcia rzekła do wnuczki:

— Trzeba posłać do niego. On może chory. Ten ból głowy!... wczoraj tak mizernie wyglądał.

— Oh! babciu! Jeszcze czego! Zaraz-by mu się w głowie przewróciło! Nie można posyłać. Nie mu nie jest, tylko taki próżny. Wąs mu się spalił, więc mi nie chce się pokazać. Przyjdzie jeszcze, przyjdzie. Niech się babcia nie boi.

Wybiła pierwsza. Tomcio nie przyszedł, ale Myszka nie zaniepokoiła się wcale — czekała cierpliwie, aż młody bohater zrezygnuje się na stratę i ukaże się jój oczom bez wąsów.

Obawiała się nawet trochę tego widoku, bo nuż się rozczaruje do niego?

Pierwsza wybiła.

Tym razem Tomcio usłyszał, ale myślał, że zegar pół godziny uderza niezwykle głośno. Pewnie wpół do 9 éj—rzekł w duchu.—Ale trudno. Ja tych

męczarni dłużej nie wytrzymam. Mam dziesięć centów, trzeba się zdecydować: albo kawałek chleba, albo strychnina. Jeżeli chleb — to trucizny niema za co kupić. Jest Dunaj, — może się utopić?... Wstrętna śmierć!—i począł się zwolna ubierać. Od czasu do czasu przysiadł, bo mu się ciemno w oczach robiło i nie znaleźć nie mógł. —Oblał sobie głowę zimną wodą; to go orzeźwiło, ale pożałował téj czynności, bo wtedy groza położenia tém jaśniej w myśli mu się zarysowała.

Już był prawie ubrany. Miał wciągnąć tylko owe nowe eleganckie kamasze, do czego niechętnie się zabierał, nawet teraz, gdy otchłań rozpaczy zamknęła się nad nim. Miał tylko włożyć paltot i cylinder.

Ten cylinder, kupiony na wyjeździe z Lwowa, Waacka mu przypomniął. Poczciwy Waack!

— Choćbym do niego zatelegrafował, toby mi pieniędzy nie przysłał, bo nie ma. Wiem, że ich nie ma. Dał mi to, co miał. Ale mu dłużny nie będę. Zostawiłem bocykl; to sprzeda. Będzie zawsze sto reńskich. Jak ja z tym jednym wąsem na ulicę się pokażę! A jak mi strychniny nie dadzą? Sprobuję jeszcze — może kamasze zastawię. Tobym miał na przyzwote śniadanie.

Stuk, stuk, stuk.

Ktoś sztuka do drzwi. Pewnie numerowy z rachunkiem. A to się wybrał!

Tomcio mileczy, bo jest tylko na pół przytomny. Wszystko snem mu się wydaje.

Stuk, stuk, stuk. Głośniej tym razem.

Pewnie bilecik od panny Melanii, przypominający łożę na operę. A to się wybrała!

Stuk, stuk, stuk, stuk. Tym razem bardzo głośno. Więc się Tomcio ocknął zupełnie i woła:

— *Herein!*

Drzwi się otwierają i wchodzi jakaś nieznaną panu Tomaszowi postać: poważny jegomość w okularach i bobrowej czapce. Pan Tomasz myśli:

— To pomyłka — ale jakaś straszna apatya go ogarnęła i nie go nie dziwi.

Tymczasem ów pan w okularach pyta:

— Pan Tomasz Kalinowski?

Pan Tomasz głosem złamanym odparł:

— Tak, panie.

— Syn pana Mikołaja Kalinowskiego, ożenionego z panną Wacławą Rokicińską?

— Tak, panie—odparł raz jeszcze pan Tomasz, myśląc: — Pewnie jaki dawny *amicus* papy. — Zkąd on mnie odkrył? W samą porę, nie ma co mówić!

— Czy z Kalinówki, z okolic Czerniowców?

— Tak, panie. — Cóż mu u licha do tego — myślał pan Tomasz, ale głośno myśli swęj nie wyraził, bo był pogrążony w apatyi.

— Pan będziesz tak dobry spakować rzeczy swoje i natychmiast wrócić pod dach rodzicielski

— Waryat jakiś! — pomyślał pan Tomasz, ale się nawet nie zdziwił, w takiej był straszliwej apatyi, i patrzył na pół przytomnie na poważnego pana w okularach, zapomniawszy o wásie i o głodzie w tej chwili.

— Pan się dziwisz, — mówił dalej ten pan w okularach,—na jakiej zasadzie dyktuję mu prawa?

— Trochę — odparł zimno pan Tomasz, z całą godnością, na jaką go stać było w obecnych ciężkich warunkach.

Tu ten poważny pan odpiął paltot a Tomcio myślał: — Winszuję, on chce tu się rozgościć!

Ale nie o to chodziło. Nieznajomy *deux ex machina*, odrzuciwszy połę od paltota, wskazał na mężką pierś swoją.

Pan Tomasz spojrział i zajrzał — zadrzał.

Na owęj mężkiej piersi jaśniał orzełek srebrny dwugłowy, nakształt orderu.

Pan Tomasz wiedział już, kim był ten pan w okularach. Był to pełnomocnik prawa krajowego; był to człek najdłuższego ramienia i potęgi wielkiej, człek, na którego skinienie bataliony policyantów wychodziły, choćby z pod ziemi, gotowe stanąć na jego rozkazy.

Pan Tomasz zadrzał. Odbył błyskawiczny rachunek sumienia. Ależ nie! Nie zabił nikogo—nie okradł—nie oszukał.

Pomyłka być musi, jakaś nowa tragiczna komplikacya sposobi się widocznie.

— A teraz wiesz pan, że mam prawo pytać się o wszystko? — mówił poważniejszym głosem pan w okularach.

— Wiem — odparł pan Tomasz — ale nie rozumiem.

Zrozumiesz pan. Ile pan masz lat?

— *Höchst impertinent!* — pomyślał Tomcio i mimo głodu, mimo tragicznego położenia, nie mógł się oprzeć, by pana z orzełkiem w błąd nie wprowadzić. To prosta mystyfikacya, której się pan Tomasz bez wyrzutów sumienia zwykł względem swych bliźnich dopuszczać.

— Ile mam lat? Mam lat dwadzie...

— Nie kończ pan; ja dokończę! Masz pan lat dziewiętnaście.

Panu Tomaszowi słabo się zrobiło, z głodu i nadmiaru oburzenia.

— Nie jesteś pan pełnoletnim. Wykradłeś się z domu rodzicielskiego.

— Wyjechałem, bo...

— Ojciec pana pisze „Wykradł się”, ja zmuszony jestem trzymać się litery. Przepraszam bardzo. Otóż ojciec pana niespokojny szuka go z niestrudzoną gorliwością. Telegramy doszły nas tutaj. Jakim sposobem znalazłem pana? To prosta. Jesteś pan widocznie zacnym człowiekiem i nie zmieniłeś na-

zwiska. To byłoby zagmatwało sprawę. Tak, jak jest, nie ma nic zastraszającego; cała rzecz pozostaje między ojcem a synem.

Na Tomciu skóra trochę zdrętwiała.

— Między ojcem a synem—kończył pan z orzełkiem. — Naturalnie, nie wątpię, że pan oporu stawiać nie będziesz i do powrotu nakłonisz się bez trudności.

— Ależ, panie...

— To jest konieczne!

— Ale niemożliwe, dla tej prostej przyczyny, że nie mam na bilet.

— Bilet się znajdzie: jeden dla pana, drugi dla tego, który pana na miejsce odstawi.

— Ależ, panie...

— To jest konieczne!

— To jest niemożliwe. Ja... ja umieram z głodu. Do stu tysięcy dyabłów! nie dowłóklbym się do dworca kolei.

— Jeść pan dostaniesz. Śniadanie, obiad, wszystko, tylko zawsze w towarzystwie...

— Orzełka?

— Orzełka.

Pan Tomasz w tej chwili staczał walkę ze sobą. Uściskać tego człowieka jak zbawcę, czy za drzwi wyrzucić?

To ostatnie, choć był w stanie napół tylko przytomnym, wydało mu się niepraktycznym ze względu

na legion tych, którzy, choćby z pod ziemi, wychodzili, by panom z orzelkiem pomagać w trudniejszych warunkach.

Więc wybrał złoty środek i uściśnił rękę poważnego człowieka, mówiąc:

— Co ma być zrobione, zrobmy zaraz — mianowicie, jeżeli o śniadanie chodzi. Potém zostawisz mnie pan na godzinę, zapakuję rzeczy, pójdę pożegnać znajomych i pojedziemy — w duchu pomyślał:

— Godzina czasu, — gdy zjem, namyślę się co począć dalej.

Bo choć był dobrym synem, serce nie rwało mu się do papy, w przekonaniu, że ojcowie z biblii są już zabytkiem zamierzchłej przeszłości i że nie tłym cielecem powitany zostanie w progach domowych.

Plany kielkujące w głowie młodego bohatera nie miały dojrzeć, bo pan z orzelkiem odezwał się łagodnie, ale stanowczo: — Co do śniadania, zgadzam się, skoro panu śpieszno, — ale co do owój godziny, — na to nie wolno mi przystać, — i choć z przykrością, muszę panu narzucić towarzystwo swoje lub swego zastępcy, tak w chwili pakowania się, jak podczas pożegnalnych wizyt.

— Ależ, panie.

— To jest konieczne!

— Niech się pan zastanowi. Jakże ja pana przedstawiać będę? Może pan zechcesz zostać dole, w salonie, — w czasie, kiedy ja skoczę na górę?

— Nie, panie, — ja skoczę razem z panem, — to nas nie opóźni; ale — trudno, to mój obowiązek. Taki rozkaz, po służbie...

Pan Tomasz głowę zwiesił — no, i byłby tak może skamieniał na miejscu, gdyby nie myśl śniadania.

— Zawsze, nawet z orzelkiem, śniadanie lepsze, niż strychnina — postanowił w końcu i zrezygnowany zadzwonił na numerowego; po jego wejściu rzekł poważnie: — Proszę o „menu” — a pan z orzelkiem dodał: — I o rachunek.

Numerowy spojrział na tego pana ze zdziwieniem, bo orzelek był ukryty pod połą surduta, ale pan Tomasz powtórzył jak echo posłuszne:

— I o rachunek. Nim godzina minęła, młody bohater, pokrzepiony na siłach, powinien był z większą otuchą w świat spoglądać; ale zważywszy, że nie samém tylko ciałem żyje człowiek, nikt się dziwić nie będzie, iż wyjazd z Wiednia bez pożegnania panny Melanii, z tego Wiednia, gdzie się nadługo z pierwszym przychówkiem, z tym wąsikiem młodzięcym, rozstało — wyjazd z Wiednia w towarzystwie orzelka, towarzystwie narzuconém, a niewiele rozrywki obiecującym — wyjazd z Wiednia w perspektywie ramion ojcowskich, w które będzie trzeba się rzucić zaraz na wstępie do Kalinówki...

Czyż jest jaki spis potraw na świecie, któryby mógł ułagodzić taką gmatwaninę zawistnych losów?

Każdy przyzna, że nie nie zdoła zmniejszyć rozpaczycy bohatera. Gdy siada do wagonu z nieodstępnym cieniem, który go od rana prześladowa, pan Tomasz nabiera przekonania, że życie jest olbrzymią pomyłką, — że cała farsa bytu ludzkiego nie jest warta dymu, który się z jego papierosa i z lokomotywy unosi w tej chwili.

E P I L O G.

Minęły trzy lata.

Cudny dzień lipcowy promienieje tysiącem blasków na Michasiowej w Krynicy.

Sosny szeptem cichym gwarzą o tych zmianach, które zaszły od lat niewielu na tych górach, w tych dolinach.

Pięćdziesięcioletnia matrona, pełna jeszcze sił żywotnych, pokryta nieprzebraną ilością zielonych igieł, szumi smętnie skargę wnucze swojej, wiotkiej sosence, która ciekawie ucho nadstawia.

— Bywało tu inaczéj — szemrze posepnie — cisza była i spokój, — sęp czasem przeleciał nad nami, góral oparł głowę o pień nasz i spoczął strudzony. A teraz, patrz asanna! Jakieś dziwolągi pozbierane co rok to inaczéj, co rok to dziwaczniej, snują się już od wczesnego ranka.

A trzepie się to wszystko, a hałasuje, a rozbija — nie wiadomo: czy tego żałować, czy tém pogardzać?

Oto na tamtych górach było nas wszędzie pełno. Jedna koło drugiej, rosłyśmy sobie, nie zawadzając nikomu. Przyszli ludzie, wyrąbali całe szeregi, tam aleję, owdzie placyk. Stawiają też jakieś budy, tu altankę, tam kiosk — a słyszałam, że tam na ich płaszczyznach dosyć miejsca na aleje, placyki i budy. Czemu nas wycinać?

Młoda sosenka słucha i przytakuje zielonemi gałązkami, ale tylko machinalnie, bo trochę ciekawa, co się koło niej dzieje, tego ruchu, tój hałastry, co rok dziwaczniej poprzebieranój, kiedy ona zawsze w jedną tylko sukienkę zieloną się stroi. Ot i teraz. Kto to tam idzie pod górę? Jakaś osóbką cała w bieli, — parasolik niebieski rzuca blade światło na jój świeżą twarzyczkę. Idzie i niesie pudełko, — za nią mały chłopezyk dźwiga stalugi i pakiet zwinęty w trąbkę.

Osóbką w bieli rozgląda się dokoła i szuka najbardziej malowniczego drzewa na studyum. Sosna-babcia, mówi do wnuczki, wiotkiój sosenki:

— Widzisz? będzie nas malować. Co tym krużynom w głowie? — takie to małe, a tak o niczym nie wątpi. Chciałoby się temu Pana Boga poprawiać i smaruje nam podobizny na płatkach albo na papierkach. Raz mnie jeden ślicznie wymalował! myślałam, że sobie drwi ze mnie, bo byłam więcej podobna do tój paproci, niż do sosny. Ale jemu się to

bardzo podobało i rzekł na zakończenie: — Sosny tak powinny wyglądać.

A młoda sosenka odparła: — Patrz, babciu, jeszcze się tu jedno dźwiga na górę, ale z trudnością.

Rzeczywiście, sapiąc i dysząc, i przystając co kilka minut „dźwigała się” do góry postać nieco skurczona, nieco zgarbiona, ale gdy się już dostała na polankę Michasiowój, żwawszym krokiem posunęła się naprzód wprost tam, gdzie osóbką w bieli stalugi i składane krzeselko umieściła.

— Ty tak pędzisz, Myszko, że cię nigdy dogonić nie mogę.

— Czemu mnie babcia goni? przecież nie jestem dzieckiem, nie trzeba mnie pilnować, — cóż w tém złego, że sama zostanę?

— Nic złego, kochanko. Ale, widzisz, mnie bez ciebie smutno. Starzeje się człowiek, czy się ty gniewasz, że tak za tobą chodzę?

— Broń Boże, babciuniu! — zawołała wnuczka, rzucając się babci na szyję, — przecież i mnie bez ciebie smutno. Tylko nie chcę, byś się zamęczała, galopując tak za mną dzień cały.

— Już nie! już odpoczęłam, — odparła babcia, siadając na ziemi, na rozłożonym pledzie. — Ale nie zgadłabyś co mnie zatrzymało tam na skrajcie! Myślałam, że skamienieję — no, zgadnij! my-

ślalam, że mnie apoplexya zabije. Zgadnij tylko! Wszystka krew uderzyła mi do głowy. A to historia!

— Moja babciu? Cóż takiego? Może upiór jaki, tak mnie babcia przestrasza...

— Zgadnij, proszę cię, zgadnij!

— Kogo babcia spotkała? Czy ja wiem! może hippopotama, albo Kubę-rozpruwacza? — Nie wiem, jak babcię Kocham!

— Wyobraź sobie! myślałam, że padnę, tak mi się nogi zatrzęsły. — Idę sobie najspokojniej w świecie, oglądając się za tobą, bo wiedziałam, że się tu wybierasz. Otóż wypłam już trzeci kubek — i tak sobie szłam, mówię ci, duszko, najspokojniej.

— No, dobrze, babciu, ale kogo babcia spotkała?

— Ot tam,—o dziesięć minut od Michasiowój,— na skrócie — tam gdzie ta ławeczka kulawa, co to raz o mało z niej nie spadłam.

— I kto tam był?

— Na ławeczce? Nie, nikogo nie było, tylko o kilka kroków, właśnie kiedy ja miałam usiąść, żeby trochę odpocząć, i usiadłam potem, bo mnie nogi unieść nie chciały, ażem ścierpła, takem się nie spodziewała...

— No, ale któż to był? moja babciu? Umieram z ciekawości!

— Kiedyś ty taka uparta: nie chcesz zgadnąć! No, no, już się nie gniewaj, duszko. Już ci powiem. Ten — ten — ten trzpiot, — ten obieżyświat, ten zdrajca, pamiętasz?

— Nie, babciuniu. Proszę powiedziéć nareszcie.

— Ten Tomcio, ten pędziwiatr! ten bisurman! Osóbka w bieli upuściła pędzel, zeskoczyła z krzesła, krzesło się przewróciło, potrącając stalugi, — stalugi się przewróciły — a tam w górze stara sosna zaszumiła do młodój:

— Patrz, wnuczko — dobrze jój tak, pewnie ją gad jaki uszczypnął, — jak się zerwała! — Malować mój portret! Widział kto takie pretensye!

Młoda wnuczka odszumiła: —Babciuniu, jeszcze tu ktoś idzie, proszę patrzeć. Babka spojrzała i szepnęła ponuro:

— Niedługo napakuje ich się tu tyle, że wszystkie kwiaty podepcą, wszystkie paprocie pozrywają. Byle niszczyć, byle się znęcać nad czéms, co się bronić nie może.

Wiotka sosenka spoglądała tymczasem na kogoś w kapelusiku windhorście otoczonym granatową wstążką; — ten ktoś trzymał laskę z toporem, góralską, ciężką, jakoby prosto z Krzywania wracał

lub z Krzepaką, ale „garniturek” miał świeży, w którym snadź tylko po deptaku przechadzał się dotąd.

Ten ktoś cudnie miał oczy czarne i wąsik czarny, i włosy czarne,—ten ktoś takim był ślicznym chłopcem, aż się jaśniej na Michasiowej zrobiło, gdy się u jój szczytu ukazał.

Ten ktoś rozglądał się ostrożnie, ale z wielką ciekawością, — i mruknął w końcu:

— Tak, bo ta sama stara, na której tak „piramidalne” wrażenie zrobiłem; czemu ona się tak zlekła?—bo się zlekła widocznie.

— Ja jój w życiu swoim nie widziałem. To ta sama stara; a obok niej — *sacrébleu*, co za prześliczna osóbką! Wszysecy święci aniołowie! Co za klasyczna osóbką!

— Przejdę. Przejdę, jakby nigdy nie.

—Stara gotowa paść trupem, jeżeli znowu tak piorunująco na nią podziałam, ale przejdę;—niechże mam satysfakcją tamtę lepij zobaczyć.

I przeszedł, — przeszedł, zukosa tylko spoglądając. Aż tu babcia wnuczkę chwytła za ramię i raptownie tyłem odwraca.

— Nie patrz! — woła — nie patrz! to on, to ten szalaput, niegodziwiec!

Wnuczka zdążyła się tylko profilem wykręcić, ale jakim profilem!

— Wszysecy święci pańscy! — zawołał w duchu młodzian w windhorście, — aż mnie mrówki przeszły. Ale czego ta staruszka może chcieć odemnie?

Szedł tak, szedł i namyślał się, i badał pamięć swoją, i przystawał, i znowu szedł, aż w końcu uderzył ręką po czole i zawołał: — tam do licha! Pewnie mnie znowu biorą za Tomcia. — Co ten łobuz przeszkrobał tój staruszce, że taka na mnie nie-laskawa?

Tymczasem babcia z wnuczką same zostały na Michasiowej; ten, który taki popłoch wywołał między niemi, znikł im z oczu.

— Widziałś?

— Widziałam — odparła osóbką w bieli, oczy rączkami zasłaniając.

— Udawał, że nas nie poznał.

— Ale-bo też, babciu, miał słusność, — odparła wnuczka, siadając na ziemi w pełnej wdzięku postawie. — On może mieć żal do nas. Ja taka głupiutka byłam wtedy! Czemu, czemu ja byłam taka niedorzeczna? — i znowu rączkami oczy przy-słoniła.

— Cóż znowu, kochanko? Chodził za tobą jak cień — jeździł za tobą, oświadczył ci się, i co? i ułotnił się jak kamfora bez pieprzu — i co? I my go mamy przeproszać?

— Tak; chodził za mną, jeździł za mną, bo ja mu głowę zawracałam, — oświadczył mi się, bo ja tak chciałam, — i kochał mnie, i ja go kochałam. A cóż on temu był winien, że go ojciec telegramem zawezwał? Ja mu wasy opaliłam i śmiałam się jeszcze, a on nie ma mieć żalu do mnie? Napisał przecież, — przepraszał, błagał, bym na niego czekała trzy lata. Młody był wtenczas, — miał nauki ukończyć, — i błagał, żebym czekała.

A ja co? Obraziłam się jakby jaka pensyonarka ograniczona, — i odpisałam, żeby mi się na oczy nie pokazywał, — że wychodzę za męża za Kazia.

I on nie ma mieć żalu do nas! — Jaka babcia niesprawiedliwa! Strach, jak niesprawiedliwa!

Babcia głową potrząsnęła. — Może to prawda — bo to kilka lat temu; bo tam jeszcze młode było. Dzieciak, o! mnie trzeba było pilnować. Ale tak myślałam, że wczesnego ożenku nikt nie pożałuje. Tylko mi się dziwnie wydało, że się rodzice nie śpieszą pokłonić o ciebie, — ale myślałam — pomaleńku, pomaleńku — wszystko się zrobi. A tu ten bisurman przepadł! No, tego się nie spodziewałam. Ale coś tam musiało być — musiało, — bo nie byłby listu pisał, gdyby się nie kochał.

Myszka zadumała się głęboko, babcia także.

Stara sosna mówiła do młodój: — Teraz inaczej tutaj! Dawniej, bywało, pszczoły tylko brzęczą i motyle latają i jedno drugiemu krzywdy nie robi. Jak wiosna przyszła, śniegi topniały, to się tu zielono robiło i strojno, — raj na ziemi! a teraz? wszystko zdeptane, brudne, połamane — gdzie spojrzeć ludzie i jeszcze ludzie — aż się życie przykrzy, — już te góry nie do nas należą, nie do nas!

Młoda sosenka pocieszała ją, mówiąc: — Przecież i teraz słońce przygrzewa i świeci wesoło; tam dalej mech pyszny — a paproci bez liku, — motyli mnóstwo i pszczoł także nie brak; podziwiają nas i cieszą się nami, ludzie nas kochają. Jaka babcia niesprawiedliwa! Strach, jaka niesprawiedliwa!

Stara pokiwała iglastemi gałązkami i rzekła zjecha: — Może to i prawda — ale tak dawniej lepiej bywało — i zadumała się głęboko.

Cisza wielka panowała na Michasiówej; tylko promienie słońca tańczyły po umajonej ziemi, tylko muszki pobrzękiwały a w dali świerszcze i polne koniki odzywały się srebrniuchnym głosikiem.

Aż babcia rzekła:

— Wiesz, Myszko, że to już pewnie czas na moją kąpiel.

— Pewnie, babciniuni.

— Pójdziemy?

— Niech babcia idzie naprzód i przyśle tu

po mnie Kasię; Kasia mnie odprowadzi, bo ja chciałabym zostać jeszcze chwilę i domalować sosnę.

— A nuż tamten wróci?

— O nie wróci! niech się babcia nie boi, przecież udawał, że nie poznał.

Ale pocichutku serce jej mówiło: — Może wróci, może...

Babcia poszła, posłuszna jak zwykle.

Tymczasem serce Myszki nie omyliło: — on wrócił.

— Przestraszyłem panie — rzekł zdaleka.

Myszka obie ręce wyciągnęła do niego.

— Myślałam, że mnie pan nigdy nie daruje, tak mi było przykro!

Młodzieniec w windhorście pomyślał: — Aha! to więc nie Tomcio zawinił, tylko ona. Już zaczynam zdawać sobie sprawę. — Przebaczyłem, dawno przebaczyłem. Nie miałbym pani przebaczyć?

— Już żadnej urazy pan nie czuje?

— Ani odrobiny!

— Mój Boże! jakie to dawne czasy!

— Jakie dawne!

— Trzy lata!

— Trzy lata!

— A babcia się tak przestraszyła.

— To babcia pani?

— Nie poznał pan?

Młodzieniec prędko się opanował. — Ale jakże! naturalnie, że poznałem, tylko tak się nie spodziewałem zobaczyć pań i zupełnie jestem odurzony.

— Czemuś pan przeszedł i nie ukloniłeś się?

— Widzi pani... ja... mnie, to tak słońce olśniła na Michasiowej. Potém zdawało mi się, że babcia pani gniewa się na mnie.

— Gniewała się bardzo, ale ja jęj wytłómaczyłam, że to przecież nasza wina.

— O! ja tego nie mówię.

— Bo pan bardzo dobry! Pan zawsze był najlepszym chłopcem pod słońcem. Jak panu wąsy urosły! Mnie wtedy było tak przykro. Co się z tym drugim stało?

— Z kim?

— Z wąsem.

— Aha! z wąsem. No, nie osobliwszego, odrósł.

— Odrósł prędko?

— Bajecznie prędko.

— Ja... ja wtedy byłam niegodziwa!

— Pani? tego ja z pewnością nie pamiętam.

— Bo pan taki dobry, panie Tomaszu.

I tak się to zrobiło, że sosny szumiały a młodzi przebaczali sobie wzajemnie urazy — i gdy kilka tygodni minęło, a Tomcio przyjechał do Krynicy, stęskniony za bratem, Romcio przyznał mu się, że jest po słowie.

— Z kim?

— Z Myszka, pamiętasz?

— Do stu tysięcy! Mój drogi Romciu, jesteś najszczęśliwszym z ludzi.

— Jestem — nie zazdrościsz?

— Ja? *tobie???* No, a ona co o mnie myśli? darowała mi?

— Najzupełniej; dawno się jój przyznałem, że nie jestem tobą. Z początku nie chciała mi wierzyć, ale teraz dowodzi, że nazajutrz już kochała mnie więcej, niż ciebie. Doprawdy, nie jesteś zazdrosny? powiedz prawdę.

— Mój drogi! Co tobie w głowie? przecież wiesz dobrze, jak bardzo kocham Zosię. Najszczęśliwszy jestem, że ci się Myszka podoba. A masz pieniądze?

— Ba!

— Żeby ci się tak nie przytrafiło, jak mnie onego czasu.

— Nietylko, że mam pieniądze, ale dziś miałem odpowiedź od rodziców, że się zgadzają i że mnie błogosławią i że przyjadą podziękować babci za Myszkę — no, i jestem bardzo szczęśliwy, dzięki tobie.

Kilka miesięcy później Tomcio był družbą Romcia, — a Myszka, aby braci rozróżnić, aby uniknąć niejednej pomyłki, przywiązała jednemu czerwoną, drugiemu niebieską wstążeczkę na rękawie.

Babcia niańczy prawnuki u państwa Romanowstwa, ale do téj chwili jeszcze nie wierzy, że ten, który tak tajemniczo zniknął z Wiednia, nie jest tym, który został mężem Myszką, i pomimo wielokrotnych prośb wnuczki, obstaje za tém, by Romcia Tomciem, a Tomcia Romciem nazywać.

PANNA DZIUBA.

(OBRAZEK).

Panna Dziuba to znakomitość w swoim rodzaju. Głupiutka, jak młody trznadel, a jednak ludzi ją za mądrą mają. Leniwa jak sultanka, a jednak najlepsze stopnie za pilność dostaje. Łakoma jak wróbel, a jednak je tylko niby z łaski i... ludzie myśla, że powietrzem żyje. Wygadana jak kos, a jednak pozuje nieraz na milczącego, zagadkowego Sfinksa. Ciekawa jak sroka, a ma najczęściej minę obojętną, zblazowaną, nieczułą na ludzkie komentarze. Zmienna, wrażliwa, nerwowa, pełna naiwności dziecka, rezonu studenta, rozwagi prababek: wszystko to się w niej mieści, na wszystko jest miejsce w jój głowie i sercu.

Nieraz bywa manierowaną, laleczką z saskiej porcelany, wrażliwą na każde trywialne wyrażenie, jak markiza z XVIII go stulecia. Jój szczupła figurka, jój cera, z pod której niebieskiej żyłki błęknemi literami twarzyczkę zapisują, jój wyrafinowane, delikatne rysy zupełnie się nadają do modelu dla Watteau.

W kilka godzin później wesola jak gil, niepohamowana w wybuchach śmiechu, urwisuje się z bratem, którego ochrzciła „Wielkim Panderanem”, jako wspomnienie z „Tysiąca i jednej nocy”.

Dziś wszystko ją nudzi. Zaledwie tylko z książką raczy się zadawać. Zasunęła się w najgłębszy kąt; nic i nikt jój ztamtąd nie wywabi.

Smutno w całym domu, bo uśmiech, młodość, wesele — wszystko to zasiadło wraz z Dziubą nad książką. Słońce niby to świeci, a nie świeci, bo długie, ciemne rzęsy rzucają cień na błękitnąwą cerę twarzyczki; powieki spuszczone, oczu nie widać, a co po słońcu, kiedy się w oczach panny Dziuby nie odbije!

„Wielki Panderan”, jako posiadający moc czarodziejską z „tysiąca i jednej nocy”, ma jeden władzę nad melancholią siostry.

— Słuchaj, Magali (Magali — to królewna z bajki, a brat i siostra tyle bajek razem się naczytali; to stanowi główny łącznik między niemi). Słuchaj, Magali, żebyś ty wiedziała, co ja mam w kieszeni?

Ale Magali nie raczy nawet spojrzeć na Panderana. Pogromca wielkiego lwa z Bagdadu, widzi w tej chwili tylko profil królewny, a profil ten jest tak imponujący, że nikt-by się nie odważył wywołać na nim oznaki niezadowolenia. Dziuba-Magali tak umie lekceważąco spoglądać, a wielki Panderan tego nie lubi.

— Mam coś w kieszeni.

Milczenie.

— Mam nawet różne rzeczy.

Cisza.

— Próbki takich jeszcze nie jadłaś.

Czary Wielkiego Panderana zaczynają działać. „Magali”, wzięta na ciekawość i na łakomstwo, nawet w dniu melancholii się nie ostała.

— Kurtyna się podniosła... słońce zabłysło — zawołał z tryumfem Panderan.

Ta metafora stosować się miała do oczu Dziuby, w tej chwili na niego zwróconych.

Ale, choć pooblebne były wyrazy takie, Dziuba jest przedewszystkiem dzieckiem *fin de siècle*: ma okropnie wydelikacowane podniebienie co do komplementów i nie lubi tego, co trąci garderobą: więc czar prysnął znowu.

Twarz stała się znów obojętną, niby z marmuru wykuta. Przysłoniła ją do połowy książką, a z po za niej wyglądały przedewszystkiem rzęsy — trochę za długie... Doprawdy, po takich rzęsach na żadne inne patrzeć nie można.

Wielki Panderan czuje, że zmylił drogę, a musi ją odnaléć; inaczej Dziuba, w kąt zaszyta, nie ruszy się ztamtąd dzień cały, a bez Dziuby dzień stracony; o tém wszyscy wiedzą.

— Ja nie żartowałem, Magali! Ty myślisz, że ja drwię sobie.

— Ja nie niemyśle; chcę, żebyś mi dał pokój.

— Ale ja ci chcę dać więcej niż pokój; coś, za czém ty przepadasz. Ale ty takich nigdy jeszcze nie jadłaś.

— Nie mogę przepadać za czémś, czego nie jadłam — odpowiada bardzo rozsądnie Dziuba; twarz jój jednak jeszcze wyrazu nie zmieniła.

— Ale to jest z rodziny, z gatunku, z familii, którą znasz?

Cisza.

— Zgadnij tylko?

Milczenie.

— Nieznośna jesteś! Nie cierpię cię! Nienawidzę! Jeżeli myślisz, że nie zjem sam, to się mylisz. A potem *Little Boy* i *Boy* i *Clever boy*, wszystko pójdzie na marne.

To był ostatni cios, wymierzony ręką Wielkiego Panderena!

Owi *Boys* — to kuc, groom i pies Dziuby; trójka, która droższą jój była od owoców i cukierków — *et, c'est tout dire!*

To też zmieszała się widocznie; na jój twarzy czkę wystąpił taki rumieniec, jaki zdobi zwykle alpejskie róże.

Ale duma nie pozwalała jój od razu zmienić frontu.

Poszedł Wielki Panderan, a Dziuba myśli:

— Zrobiłam mu przykrość, to źle! Przepraszę go ale jeszcze nie zaraz. Pójdą *Boys*, pójdą na marne...

Jakto na marne? przecież ich nie zabije, ani nie powiesi? On powiesił jednego psa, ale mojego nie powiesi,—gdzie tam! Zresztą *Boy* nie da ani sobie, ani tamtym krzywdy zrobić. A potem, Panderan to dobry chłopiec, on tylko tak grozi. Co on ma? coś do zjedzenia, ale co? Gruszkę? brzoskwinie? a może figi? ja tak figi lubię. Mówił, że nie jadłam! Czego ja nigdy nie jadłam? Ja wszystko jadłam, nawet rzepę, dawno temu, ale jadłam. Pójdę go przeprosić. Jemu widocznie bardzo było przykro. Mówił „próbki”. Jakie próbki? Nikt próbek nie je. A może banany? raz i banany jadłam. Granatów nie jadłam; pewnie granat. . Pójdę zaraz... on taki dla mnie dobry! Granaty też dobre podobno. A może to ten owoc, co na Tahiti rośnie, man—man—mangustan zdaje mi się. To dobry brat, on-by dla mnie wszystko zrobił. Czemu ja byłam taka nieznośna?

Kilka chwil później stoi dziuba przy Panderanie, i takie robi miny do niego, jak gdyby przestudowała cały traktat o kokietyryi, począwszy od niewiast biblijnych i asyryjskich, a skończywszy na XIX-ém stuleciu.

Tylko te wszystkie miny mają w sobie urok finezyi, delikatności, wdzięku. Każdy jój uśmiech, spojrzenie każde, to wdzięk nieokreślony; sam wdzięk nieokreślony — to Dziuba.

— Naturalnie, że jak ty dla mnie wybrałeś, to

musi być bardzo dobre. Ty masz tyle gustu, tyle zdolności do wybierania.

Panderan daje się „każolować” i słucha obojętnie.

Gdybyś był dobrym bratem, tobyś zrozumiał, że kiedy się książkę czyta...

— Aha, książkę? Dla ciebie książka znaczy tyle, co dla mnie parasol i kalosze, któremi nawet w czasie deszczu pogardzam.

— Nieprawda! Ja panią Craven pasyami lubię, i Syrokomlę, i pannę Maréchal także. Tylko pani Mouniot nie lubię... ona taka sentymentalna, egzaltowana... Ale to, co ma wartość jakąś, to lubię.

Śmiech ogólny przyjmuje replikę Dziuby, bo rodzina mniej jest o jej rozumie przeświadczone, niż ona sama i dalsi znajomi.

— Tak! co ma jakąś wartość. Naturalnie! A kiedy się ciebie pytałem, co napisał Wergiliusz, odpowiedziała: „Iliadę”.

Dziuba ma tę własność, że nigdy nie jest skonfundowana. Kuta na cztery nogi, z każdego pieca zleci jak kot, lekko i nieszkodliwie.

— Ja nie mogłam tego powiedzieć. Ciebie pamięć myli. Wergiliusz to mój faworyt. Wkrótce się po łacinie nauczę, żeby go czytać w oryginale, bo w tłumaczeniu nie warto. A wtenczas i „Iliady” na pamięć się nauczę.

— Po łacinie „Iliadę” w oryginale!!!

— No, ja taka mądra, jak ty, nigdy nie będę. Dla kobiety toby nawet nie uchodziło. Ja nie lubię emancypacyi. Powiedz mi, czy to mangustany?

— Jakie mangustany?

— To, co masz w kieszeni.

— Aha! poczekaj!

— Nie mogę czekać, widzisz, bo czas tracę, a czas to pieniądz.

— Niewiele-bym kupił za pieniądz z twego czasu czerpany.

— No, tybyś odemnie nie przyjął. Ja wiem, ty jesteś Wielki Panderan. Dumny, hardy! Bo widzisz, jeżeli to banany, to ja już jadłam.

— Ani mangustany, ani banany, daj mi pokój.

— Czekaj, ja ci dam coś lepszego; tak jak ty mnie przed chwilą dać chciałeś!

— Dawaj, ale prędkiej, bo mnie już nudzi ta komedia.

— Dam ci *Un baiser de papillon*; znasz?

— Romansidło jakieś! Czemu jej mama pozwala czytać romanse?

Ale zanim mama zdołała się obronić z zarzutu, już Dziuba stanęła przy Panderanie, pochyliła głowę nad jego głowę, przyłożyła oczy do jego twarzy, i mrugać zaczęła powieką, głaszcząc zlekka rzesą czoła brata, co sprawiało wrażenie niby trzepotania skrzydłem motyla.

— Kto cię takich głupstw uczy?

Ale Panderanowi podobało się to „głupstwo” i myślał zastosować je w zupełnie innym kierunku, na czole, o którego egzystencji panna Dziuba nie wiedziała. Tylko, że rzęsa Panderana nie była tak podatna do pocałunku motyla.

— Kto mnie nauczył? motyl, naturalnie!

Powiedziała to z taką minką, że mogło się wydać całkiem prawdopodobnym jój przestawianie z motylami, z kwiatami, z ptakami, ze wszystkim, co lekkie, pachnące, wiosenne, cudne.

— A teraz pokażesz mi coś przyniósł?

— Próbki.

— Jakie?

Wtedy Panderan wyciągnął z kieszeni kilkanaście drobnych paczuszek. W każdój po dwa cukierki innego gatunku.

Dziubie oczy błyszczały.

— Obiadu jeść nie będzie—rzekła mama ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo jakoś nie wypada być stanowczą, gdy nie jest się zupełnie pewną, o ile ta stanowczość w skutki obfitą będzie.

A tak Panderan, jak Dziuba, przekonali mamę, że wszelkie próby stanowczości z jój strony są tylko *pia desideria*.

— Zjem obiad i zjem cukierki — odparła Dziuba, która zabrała swój matce cały zapas pewności w decyzji. — Pyszne! zkąd wzięłeś?

— Nowa cukiernia. Patrz, to są *Nathalie* z bitych smażonych migdałów.

— Ze śmietaną, pyszne!

— A to *marons déguisés*.

— Ach! ja to tak lubię! Już-bym życia nie żałowała, żeby mi na tamtym świecie kasztany dawano.

— A to *pralines*, fabryki Massona. *Je ne te dis que ça!*

Dziuba je i pyta:

— Czy to dobre?

— Masz przecie w ustach: osądź sama.

— Ale ty powiedz. A te małe okrągłe, czy są dobre?

— Nie nudź. Jeżeli ci smakują, to powiedz; ja nie wiem.

Ale bo to taki już zwyczaj ma panna Dziuba, że lubi pytać: „Czy ta zupa dobra?”, gdy zjadła cały talerz; „Czy ten kościół ładny?”, gdy go już dziesięć razy widziała; Czy ta osoba miła?”, gdy ją zna od pewnego czasu — i gdy najlepiej sama sobie odpowiedzieć mogła. To tylko dowodzi słuszności przysłowia niemieckiego, które mówi: *Jedes Thierchen hat sein Manierchen*.

Czy panna Dziuba jest elegantką? niewiadomo. O suknie nie dba, albo udaje, że nie dba. Za to kapelusze, buciki, rękawiczki muszą być *corrects*.

Dziuba wyrazu *correct* używa z wielką pedanterią i z bardzo komiczną minką.

Pomimo tych pretensyj do *correct*, Dziuba lubi się gapić przy wystawach sklepowych, pasyami lubi; od tego nie można jęj odzwyczaić. Ma na to gotowy sofizmat, bo od czegoż jest kobieta?

— Tak się nie robi, ja wiem; ale ja to lubię, a ja się regułami dla pospółstwa nie krępuję.

Taka odpowiedź stawia tamę argumentom, szczególniej gdy jest z całym namaszczeniem wygłoszoną przez osobkę, której oczy dowodzą, że się sama swojemi wykrętami bawi.

Nie wiem, czy z zasady, czy dla innych przyczyn, panna Dziuba nie lubi zatrzymywać się przed wystawą jubilerów.

— To wszystko banalne. Ja o świecidełka nie dbam, szafiry mi się podobają, ale nie tak obsadzone (naturalnie, bo najpiękniej obsadzone są w jęj oczach). To dla parweniuszów.

Ale za to tam, gdzie wystawione były nożyki, pióra, modne papiery, albo chusteczki do nosa, *haute nouveauté* albo „breboryony” tam Dziuby od okna oderwać nie było można.

Chusteczki—to jęj słabość, i statuetki wyobrażające świętych patronów, aniołów stróżów, z pianki morskiej lub gipsu. Przed tém wpada w zachwyt. Bo panna Dziuba to bardzo pobożna osoba.

Czasem zdarzy jęj się przewrócić na ulicy, ale zawsze zręcznie — i z gracyą. Gdy np. widzi chusteczki albo figurki zdaleka, bywa roztrzępana i nie

patrzy przed siebie. Nagle *bum!* i leży na ziemi. Wtedy podnosi się bardzo zdziwiona, jeszcze bardziej obrażona na trotoar.

Ale bo téż, powtarzam, panna Dziuba jest bardzo głupiutka.

A jednak, jeżeli taka głupiutka, czemu umie wszystkich podbić, oczarować, ująć! Dlaczego potrafi delikatną rączką złagodzić ból niejednego, głęboko ukryty?

Jakim sposobem potrafi ból ten odgadnąć i domyślić się, że tylko pieczęcią, tylko serdecznością zagoić można ranę, ale nie słowem, nie zapytaniem.

Gdzie się wówczas podziała ciekawość panny Dziuby?

A kiedy taka głupiutka, czemu w jęj oczach takie rozczulenie się maluje, gdy słyszy o niedoli bliźniego, czemu twarzyczka w smutek się oblóczy i tyle myśli, tyle poważnych myśli, rysuje się na czole?

Skoro taka głupiutka, czemu potrafi prędko skierować rozmowę na inny temat, jak najwytrawniejsza dama światowa, gdy ktoś niedyskretny dotknie przedmiotu, który matkę albo drogą jęj osobę zabolęć może?

Może jęj główka jeszcze pusta, ale serce takie pełne — takie pełne, że jęj starczy za rozum, za skarby, za wszystko.

W przyszłości może mi ją świat zepsuje, może

mi ją odmieni, co nie daj, Boże. W przyszłości może będzie więcej interesującą, i nie tylko dla mnie.

Tymczasem ma lat piętnaście i jest bardzo daleko. Mgły cieśniny kaletańskiej otaczają jej głowę złotą.

A gdy mi za nią bardzo tęskno, wówczas piszę o niej, a zwłaszcza myślę, i to jest lekarstwem na moją tęsknotę.

Z E N A B.

((HISTORYA Z NAD NILU.))

Wyrok zapadł.

Zenab z więzienia wyjrzyć nie miała. Biedna Zenab! Jój cudne, czarne, smutne oczy nie spoglądały na świat wesoło. Ust jój karminowych uśmiech nie rozchylał.

Wieżenie jój całe w bieli. Alabastrowe kolumny podpierają kopuły i balkony, alabastrowe sale pokryte są kobiercami, alabastrowe ganki, krużganki, ściany i sufity: wszystko z alabastru. Więzienie Zenab smutne było jak śmierć, zimne jak śmierć, piękne jak śmierć, niby całunem pokryte z wierzchu, na wewnątrz, zewsząd.

Stróżami więzienia byli czarni niewolnicy, eunuchowie i czarne cyprysy. Te dla Zenab nie miały litości; wyprostowane, sztywne, nieme, serca nie miały. Stróżami jój były jeszcze olbrzymie imponujące, sykomy o pniu okazałym, o koronie wspanialszej niż wszystkie korony świata. Starce! one obojętnie patrzyły na uwięzioną, bo w nich już serce zamarło.

Zenab otoczona była strażą. Całe wojsko drzew

pomarańczowych, cały oddział mandarynek, gaje różane,—a tu i owdzie pozostawiane plantany rozłożyste. Od małych, drobnych, niskich anemonów, od heliotropów i lilij wodnych, skończywszy na drzewach kameliowych, na tujach i irysach, wszystko pilnowało Zenab, bo jej nie wolno było więzienia opuścić.

Dlatego nie cierpiała ona każdej roślinki z pięknego ogrodu, otoczonego murem szerokim. Jej się zdawało, że fiolety każdy, że chryzantemy i powoje szpiegują jej ruchy, aby donieść ojcu, oskarżyć ją, potępić. Dlatego nie śmiała myśleć nawet, bo posądzała kwiat każdy i ptaki i promienie słońca, że w jej serce ciekawie zaglądną, aby wyczytać w niem, czy niema tam uczucia, wzbronionego przez ojca.

Ojciec, bogaty Kiamil basza, nakazał jej kochać nie tego, którego jej serce wybrało.

Jeżeli jej chciał miłość nakazywać, to czemuż ją zawiózł między ludzi wolnych, czemu pozwolił jej uczyć się, czemu pozwolił się dowiedzieć, że serce jarzma nie znosi, i że on, ojciec nawet, władzy nad sercem córki mieć nie może?

Zenab przez trzy lata na Zachodzie pod mglistym niebem, w ciemnym, ponurym angielskim mieście, patrzyła wolnymi oczyma na wolnych ludzi i pokochoła wolnym sercem niewiernego.

Trzydzieści lat minęło, kiedy Zenab pierwszy raz oczy na świat otworzyła; trzydzieści lat, i z dziecka

zrobiła się kobieta. Wtedy zabrał ją ojciec z ciemnego miasta na Zachodzie i zawiózł z sobą nad Nil. Włożono jej jaszczak na głowę, zamknięto ją na pięknej, wiecznie kwitnącej wyspie, i powiedziano jej, że oczom kobiecym niewolno wybiegać za wskazane granice, że niewolno kobiecie serca niewiernemu oddawać.

Ojciec przyprowadził młodego Said beja. Said bej nie był podobny do tego, którego Zenab pokochoła. W oczach jego nie paliła się myśl jasna, szlachetna, ale dzikość zwierzęca i głupota. Głos jego nie brzmiał łagodnie i słodko, ale ostry i surowy bez dźwięku z ust wychodził. Stary basza powiedział córce: „Oto mąż twój będzie”.

Zenab wiedziała, że błaganie o litość na nic się nie zdać: więc nie prosiła, ale powiedziała stanowczo: Ojciec, ja nie chcę Said beja; nie będę jego żoną”.

Podobno alabastrowy pałac i najstarsze sykomyry nie widziały równie strasznych rzeczy, jak te, które wywołał opór Zenab. Odtąd stary basza zniechęcił córkę. Zostawił ją samą w białym więzieniu, otoczonego ogrodem. Ogród murem otoczony, mur falami Nilu dokoła. Kilkunastu nubijczyków, strasznych synów Chama, wejścia pilnowało, mieszkając przy bramie. Na małej łódeczce dowożono pożywienie dla uwięzionej.

Na tej małej łódeczce wszystkie nadzieje Zenab się

skupiały. Wiedziała, że ukochany zechce ją ratować i liczyła na niego, że się do więzienia dostać potrafi.

...Tygodnie, miesiące i lata mijały.

Od czasu do czasu, tuż pod murami ogrodu, łódka obcego człowieka przesuwała się, ale mur był tak bardzo wysoki, a oczy eunuchów tak czujne.

W środku ogrodu było jeziorko; z pomiędzy wód lazurowych, gdy grotty kamienne wydobywały się na powierzchnię — białe fale ku niebu wynosiły swe smukłe wielkie kielichy z pomiędzy kamieni, jak gdyby podwodne duchy na zwiady je posyłały, pytając, co się z Zenab dzieje: dlatego i fali dziewczę się bało.

Plączące róże gałęzie pokryte kwieciami w wodzie kąpały — całe gromady motyli, całe chmury libelul, muszek i komarów, wiecznie w około róż tych krążyły. Bała się ich Zenab, bo one mogły za mury się wydostać i ojcu powiedzieć tajemnicę jój serca.

Biedna Zenab! Ona tak drżała przed majestatem ojca swego. Oddech w niej zamierał, trzęsła się, gdy kroki jego posłyszała zdaleka. Sama się dziwiła, z kąd jój ta odwaga jemu opór stawiać. Rozum jój ojcu się poddawał i dobra wola także, tylko to jedno buntownicze serce nie chciało — i nie chciało.

Ojciec jój zagroził, że ją zabije, jeżeli dłużej upierać się będzie — a ona tak się śmierci bała.

Gorąco czasem było pod tém jasném niebem, tak gorąco, że nawet w pełnym chłodu śmierci alaba-

strowym pałacu trudno było oddychać, tak gorąco, że nawet libelle, motyle i muszki krążyć wokoło róż przestawały; a Zenab trzęsła się z zimna, trzęsła się w obawie śmierci, bo nie wiedziała, kiedy wybije jój godzina.

Niewolnicy, eunuchy, między sobą mówić zaczęli, że się coś w jój głowie popsulo, że się boi cienia własnego, że z trwogą patrzy, gdy się ptak wzbije w powietrze, że drży cała, gdy chamsin tumany piasku roznosi. Zenab nawet ziarnka piasku się bała, bo gdybyż ziarnko to ojcu wyszeptало, że jest w ogrodzie, tuż przy murze, altana, pokryta pęciami się różami, tak ocieniona, że nikt-by uwięzionej nie odszukał pod stokrotnie splecionymi róż gałęźmi. Nuż ziarnko piasku wyszeptaloby ojcu, że Zenab prześwidrowała w murze otwór z trudem wielkim, że przy tym maleńkim otworze, całe godziny spędza, patrząc na nury Nilu i na wybrzeże, szukając oczyma łódki z wybawcą! O tém przecież nikt wiedzieć nie mógł, bo ojciec byłby ją zabił natychmiast.

Tylko tych róż żółtych, które cieniem liści swoich ją osłaniały, Zenab się bała, tych róż, i palmy, co się nad niemi wynosiła, bo gdybyż ją miały zdradzić, to dawno już tajemnica jój byłaby wydana. Gdy siłą woli wrywała się z po za splotów różanych, trwożliwie oglądała się na wszystkie strony, niedowierzała, ani ptakowi, ani bambusom, bananom, irysom i liliom nawet.

Coraz wyraźniej szeptano między niewolnicami, że Zenab jest niespełna rozumu. Doszło to do uszu dumnego baszy, on nie chciał mieć córki szalonej.

Jednego dnia w alabastrowej sali siedziała Zenab na dywanie, nie śmiać oczu podnieść, nie śmiać spojrzeć dokoła. Straszny eunuch wniósł na tacy filiżankę kawy czarnej i podał jęj. Machinalnie podniosła do ust i do dna wychyliła aromatyczny płyn gęsty. Eunuch zabrał filiżankę i uśmiechnął się zło-wrogo.

Pół godziny nie minęło, gdy Zenab uczuła straszny ból, szarpiący jęj wnętrzości. Czowała, że śmierć się zbliża, więc poszła raz ostatni do altany wieńcami róż żółtych okrytej, położyła się na dywanie z roślin zielonych i tam zasnęła na wieki. Powiadają, że stary basza poświęcił duży dyament, aby zabić córkę swoją, niespełną rozumu. Podobno niewolnik eunuch skruszył na drobne atomy piękny kamień, zmieszał z kawą i podał uwięzionej. Powiadają, że ciała Zenab szukano długo, bo grobowiec, jaki sobie wybrała, skryty był za gęstwiną lasu bananowego.

Po śmierci jednak zostawiono ją w spokoju. Dół jęj wykopano pod baldachimem z pnących się róż, i tam spoczywa.

Umarła dlatego, że choć sama chciała, ale serce jęj słuchać nie chciało.

MAMY PANTOFELKI.

Miałam ośm lat wtedy i szalenie moją matkę kochałam. Kochałam ją nad wszystko w świecie, co się zresztą z biegiem lat nie zmieniło.

Miałam braci i siostry, kuca i wielkiego psa Niemoja, — wózki i ogródek, — domek w ogrodzie, gdzie się z lalkami na cały dzień latem wyprowadzałam — nie wielki był na zielono pomalowany, z czerwonym dachem, nie miał ani drzwi ani okien, ale był moim własnym, więc go lubiłam.

Miałam mnóstwo innych zabawek, ale o tamte nie dbałam — lubiłam tylko te, któremi na świeżem powietrzu w ogrodzie bawić się mogłam. Już wtedy zima była dla mnie ciężką karą za grzechy, bo groziła zamknięciem i chmurném niebem.

O ile latem byłam wesola, ożywiona i dosyć sprytna, o tyle w zimie stawałam się leniwą i uspio-ną. Latem duchów się nie bałam — zimą okropnie; smutny wiatr zimowy zdawał mi się zawsze czémś tajemniczym a groźnym, pozostającym w blizkich stosunkach z duchami.

Wtedy tylko czułam się zupełnie bezpieczną wieczorem, kiedy matka moja tuż obok mnie siedziała, — a szczytem rozkoszy było, kiedy śliczną jej białą, długą delikatną rękę na swój głowie czułam.

Słyszałam nieraz ojca mego, gdy się nad ręką mamy unosił — kochał się specjalnym uczuciem w tej klasycznej sympatycznej dłoni. Ojciec imponował mi zawsze — jego zdanie, sąd jego, nie przypuszczał apellacyi — nie było nad niego wyższej instancyi w domu, bo nawet mama posłuszną mu była.

Dlatego zachwyty ojca dla jej ręki napelniał mnie podwójnie wielkim zachwytem — a pierwsza klótnia z moim kuzynem była, gdy śmiał twierdzić, że jego matka ma ładniejszą rękę. Uważałam to za najwyższą impertynencyę z jego strony.

Otóż wieczory zimowe spędzałam zwykle przypięta do fałd sukni mamy. Czasem śpiewała — ojciec jej akompaniował — śpiewała „Kalinę”, a ja płakałam, zanosilałam się nawet od płaczu w kącie salonu. O ile lubiłam śpiew matki, przepadałam nawet za nim, o tyle bałam się prawie, gdy się zbliżała do fortepianu; coś smutnego było w dźwięku jej głosu — a mnie ton każdy za serce porywał — ból mi sprawiał; pamiętam to dokładnie, choć do dziś dnia nie wiem, dlaczego tak było.

Póki byłam obok mamy, póty nie rozumiałam,

że mogłoby być inaczej: dobrze mi było, bo ją widziałam — ale wtedy, gdy odrywano mnie od niej, wtedy czułam, że ona mi była potrzebną do życia więcej niż powietrze, niż słońce, niż wolność. A odrywano mnie czasem na dzień jeden, aby mnie psuć, pieścić, obdarowywać cukierkami, zabawkami — ale wszystko wydawało mi się okropnym z daleka od niej.

Jedno z najsilniejszych wrażeń, jakie odczułam, będąc dzieckiem, to gdy w smutny dzień listopadowy mama wyjechała. Obiecała, że za kilka godzin powróci; — robiło się coraz ciemniej, coraz wietrzniej, a jej nie było. Z desperacyą w sercu siadłam na ziemi przy kominku i co chwila na drzwi spoglądałam, czy nie wejdzie, a straszno mi się robiło, bez żadnego dobrego powodu.

Nareszcie zapytałam bony: czemu mama nie wraca?

— Jakto? — nie wiesz? Mama już nie wróci; byłaś niegrzeczną: poszła się utopiść.

Musiłam być bardzo mała, kiedy takiej bredni uwierzyłam, ale uwierzyłam prawie.

Co się ze mną działo, gdym tak na ziemi siedząc, w ogień patrzyła, przypuszczając możliwość śmierci matki, tego opowiedzieć nie mogę. Jak mogło takie dziecinne serce taki szalony ból, taką bezgraniczną rozpacz odczuwać, kiedy wspomnienie tej

powolnej agonii, jaką przechodziłam w owej chwili, tak bardzo dawno temu, jeszcze dzisiaj tak wyraźnym echem odbija mi się w pamięci?

Mama wróciła, naturalnie, i pieszczotom nie było końca. Pamiętam i to, że wieczora tego kładąc się do łóżka, stojącego tuż obok łóżka mamy, przed zaśnięciem powtarzałam w kółko: „Aniele Stróżu, dziękuję ci, że mama wróciła”.

Mama wróciła wprawdzie, ale mnie i siostrę moją starszą zabrano od niej — wtedy gdy ośm lat miałam.

Już się na wiosnę zanosilo, już z braćmi robiłam wiele projektów wypraw na kucu i zaprzęgu z czerwoną taśmą na Niemoja, kiedy Helenka, siostra moja, powierzyła mi tajemnicę: „Pojedziemy do Poznania na pensję do klasztoru” i cieszyła się. Nie umiałam zdać sobie sprawy z następstw, jakie projekt ten za sobą pociągał. Były chwile nawet, że imponowałam chłopcom, braciom moim, ową pensją, która mnie czekała.

Mama pieściła mnie jeszcze więcej — ale teraz pieszczoty jej nie wywoływały we mnie wesela, tylko smutek.

Nadszedł dzień, kiedy kufry nasze zapakowano, a ojciec siadł z nami do powozu i na najbliższy dworzec kolei nas odwiózł. Mamę zostawiliśmy w domu.

Nie pojmowałam całego ogromu mego nie-szczęścia, bo sobie z czasu sprawy nie zdawałam, a dotąd nigdy dłużej nad dzień jeden z matką się nie rozstawałam.

Marzec miał się ku końcowi, — nad wieczorem stanęliśmy w Poznaniu. Ledwie wjechaliśmy w mury miasta, a już mnie tęsknota schwyciła za gardło. Śnieg dużemi płatami spadał z nieba; przypomniało mi się, co mi niańka mówiła — śnieg to szarpie, które anieli w niebie skubią i rzucają na ziemię.

Ileż razy żalowałam później, że szarpie te nie mogą ludzkich ran zagoić i że anieli drą je tylko dla zabicia czasu!

Ojciec odwiózł nas prosto do klasztoru. Sam widok ciężkich drzwi klasztornych i zakratowanych okien zgrozą mnie nappełnił. Schwyciłam silnie rękę ojca i postanowiłam ręki tej nie puścić.

Gdy zawarła się za nami klasztorna furta, gdy wpuszczono nas za drugą ciężką bramę, do długiego ciemnego korytarza, zdawało mi się, że wybiła moja ostatnia godzina.

Przełożona, w swojej żalobnej sukni przyjęła nas serdecznie, ale mnie uśmiech jej mroził. Krew we mnie drętwiała — jak przez mgłę patrzyłam na wszystko; jedno tylko wiedziałam: że mnie tam ojciec zostawić nie może, — nie puszcę go.

Wstał, aby odejść; schylił się, chcąc mnie pocałować; ja mu obie ręce na szyję zarzuciłam i kon-

wulsyjnie ścisnęłam, błagając, aby mnie z sobą zabrał „do mamy, do mamy!”

Przemocą prawie wyrwał się z moich rąk dziecinnych, a tak silnych rozpaczą w owęj chwili — i poszedł.

Zaczęły się dni krzyżowe dla mnie. — Czułam się pewnie o wiele nieszczęśliwszą od dzieci głodnych, zziębłych i obdartych. Oderwano mnie od matki i zamknięto.

Gdyby rodzice moi choć w części mogli przypuścić, co się działo w duszy dziecka, nigdy nie byłiby popełnili takiego okrucieństwa. Wspomnienie to rzuca cień na moje dziecinne lata.

Chorowałam, — lekko wprawdzie, niedostatecznie, aby rodzicom donosić o tém, ale dosyć, aby ani móżdż uczyć się, ani jeść, ani sypiać nawet. Chorobą moją była tęsknota bezmierna.

W kilka miesięcy doniósł nam ojciec, że mamy nowego braciszka — że mama była chora, ale że zdrowa już prawie i że gdy się tylko będzie mogła ruszyć, przyjedzie do nas. Oczekiwanie mamy nadzieją osładzało każdą chwilę i trochę znośniejszym zdał mi się pobyt w klasztorze.

Przyjechali rodzice oboje. Była to jedna z największych radości w całym życiu mojem. Oddano nas mamie na tydzień cały — byliśmy z nią w cyrku, w operze — żyłam w jakimś zaczarowanym świecie, jak w bajce. O klasztorze nie myślałam.

Dzień każdy pozostał w pamięci mojej, jak rajskie wspomnienie.

Ale znowu kufry zaczęto pakować — nowe roztanie mnie czekało. Tym razem jednak nie chowałam na dnie duszy mojej rozpachy, tylko łkając, zanosilałam błagania, modlitwę, by mnie w klasztorze nie zostawiano. Mama mnie uspokoiła, mówiąc, że czas jeszcze myśleć o tém. Wieczorem czulęj niż zwykle ucałowała mnie na dobranoc.

W hotelu miałyśmy pokój obok rodziców. Nazajutrz rano, gdy się obudziłam, jakieś złe przecucie mnie tknęło; pobiegłam do pokoju mamy — pusty! Krzyknęłam — Helenka się obudziła. Ale nie wierzyłyśmy obie naszemu nieszczęściu. Raptem Helenka obok łóżka mamy znalazła jej pantofelki. Te pantofelki do śmierci pamiętać będę; — na nich skocentrowała się cała moja nadzieja. Kiedy pantofle są, to i mama być musi. Nie mogła przecież odjechać bez swoich rannych pantofelków — myślałam. Tak samo rezonowała Helenka.

Tymczasem cicho było. Rodzice nie wracali, gdy ja spodziewałam się ciągle, że może ze mszy z miasta powrócą.

W najokropniejszych emocjach, trzymając ciągle pantofelki mamy w ręku, przeżyłam jedną godzinę, która mi się wiekiem wydała.

O dziesiątej rano weszła nauczycielka z klasz-

toru, aby nas zabrać, tłómacząc, że mama pojechała, ale nie chciała nas budzić i martwić pożegnaniem. Że mi wtedy serce z żalu nie pękło, to tylko dlatego, że nie ból je rozsadza; — dużo później cierpiałam, ale myślę, że nigdy tak głęboko, tak dotkliwie, jak dnia tego.

Pantofelków matki mojej nie pozwoliłam sobie odebrać; całowałam je, ściszałam i spałam z niemi, choć się ze mnie pensyonarki śmiały.

Widocznie, cierpienie było już nad siły moje, bo wkrótce potem na dobre się rozchorowałam.

Febra wycieńczyła mnie i uczyniła niezdolną do niczego. Mama przyjechała po mnie, bo i wakacje się zbliżały — a ja o egzaminie myśleć nie mogłam.

Wróciłam do mego rajy w dzień słoneczny — bracia, kuc, Niemój i lan truskawek czekały na mnie. Skończyła się pierwsza faza tęsknoty mojej, bo już nie prędko na pensją mnie oddano; — mama nie chciała puścić mnie od siebie.

Tyle, tyle łez popłynęło od tego czasu — tyle, tyle nieszczęść, że możnaby z nich różaniec ciernisty spleść. A między każdym dziesiątkiem cierniowych gałeczek jedna gałka duża, najbardziej kolcami pokryta — to tęsknota. Pożerała mnie, serce moje trawiła jak pijawka, krwią jego żyjąc. Tęsknota za matką była głównym

cierpieniem życia mego; najserdeczniejsze łzy, potoki łez z oczu moich płynęły zawsze z tęsknoty.

Ile razy spojrzę na mamy pantofelki, tyle razy przypomina mi się pierwszy okres cierpienia. — Stały się one dla mnie emblematem tęsknoty.



92469

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
<i>Kto zwycięzca</i>	<i>1</i>
<i>Szkice i obrazki bulońskie</i>	<i>35</i>
<i>Powieść w dwóch tomach</i>	<i>115</i>
<i>Na Korfu</i>	<i>123</i>
<i>Nie, nigdy.</i>	<i>167</i>
<i>Ślub cioci Maryni. (Ze wspomnień dzieciennych)</i>	<i>181</i>
<i>Tomcio i Romcio. (Humoreska).</i>	<i>209</i>
<i>Panna Dziuba (Obrazek)</i>	<i>293</i>
<i>Zenab. (Historya z nad Nilu)</i>	<i>307</i>
<i>Mamy pantofelki</i>	<i>315</i>
